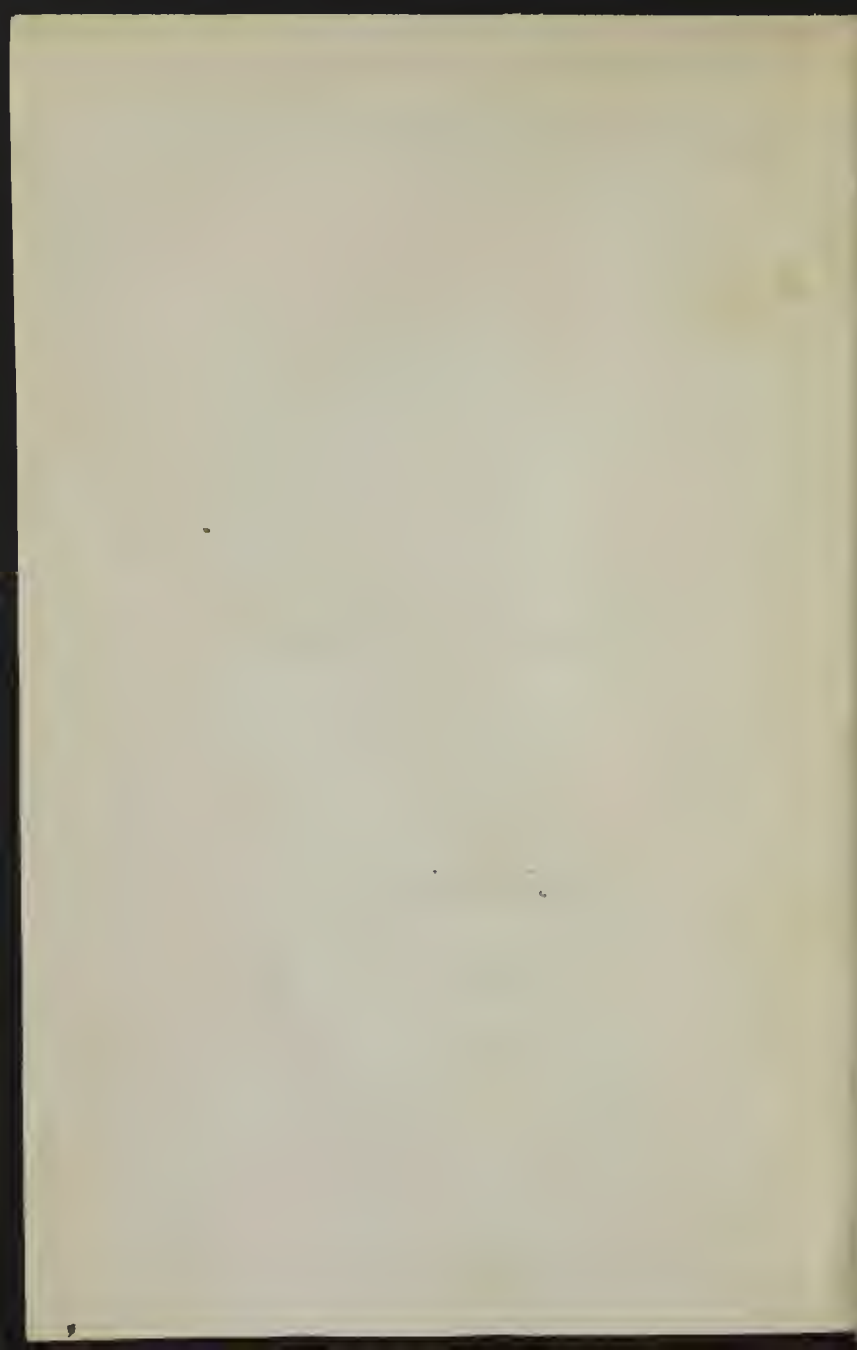


1111
2. 2. 2.

RAMUŁTOWIE.

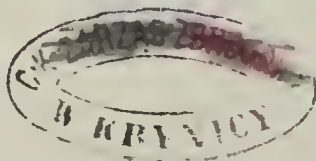


RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

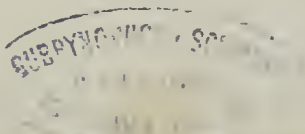
J. I. Kraszewskiego.

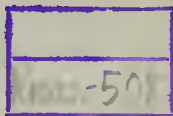


WARSZAWA.

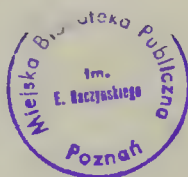
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1881.





Доволено Цензурою.
Варшава, 25 Ноября 1880 г.



Drukiem S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

I.

— Ale tu w tém powietrzu oddychać nie można — rzekł chmurno. Zadzwoń o rachunek i herbatę. — Uczty tego rodzaju placą się dosyć drogo; masz prawo budzić i być trochę niegrzecznym...

To mówiąc począł okna otwierać przybyły, aby ranne weszło powietrze. Towarzysz drugi przejrzał się w zwierciadło i poprawił włosy. Spiał kamizelkę — westchnął.

— Nie pięknie wyglądam dzisiaj — odezwał się: zmęczony jestem, niewyspany — okrutnieśmy hulali... i to od godziny dziesiątej wieczorem aż do trzeciej czy pół do czwartej... Szampańskiego co wypili — powiadam ci... i to Roed rer *Carte blanche*...

Sylwan twarzą zwrócony ku oknu jakby nie słuchał, drugi mówił ciągle:

— Poczciwy brat z ciebie, żeś się o mnie tu dowiedział... lecz... darmo... ty już potępionej duszy z szpon szatana-świata nie wyrwiesz... mnie dyabli wziąć muszą...

— Nie widzę konieczności, rzekł Sylwan, i dodał, jakby odwodząc od tej rozmowy. — Chodźmy.

— No — to idźmy do ciebie... zrobisz mi herbaty i położę się na kanapie.

To mówiąc począł szukać pan Herman kapelusza i paltota, nie mogąc ich nigdzie wynaleźć. Zamiast własnych, odkrył nareszcie palto ogromnych rozmiarów, widocznie zamienione, i zduszony kapelusz także cudzy.

— Patrzajże, proszę ciebie... oto ślicznie ztąd wyjdę wyekwipowany! Trzeba będzie do kosztów naszej wjeżdżaliny doliczyć nowe okrycie głowy i grzbietu...

Sylwan odwrócił się.

— Nikt twego stroju na ulicy o téj porze nie zobaczy, rzekł żywo, a po inny później poszlemy do mieszkania, Staszek ci je przyniesie do mnie.

— A no! naturalnie, muszę wszelkie konsekwencje biesiady rad nie rad podźwignąć — dodał Herman. Chodźmy.

Sylwan co najspieszniej chciał się wycofać i szybkim krokiem począł iść ku drzwiom: wstrzymał go mijając stół Herman i wskazał nań.

— Patrz, proszę cię, na te wymowne znikomości ludzkiej dowody: w jak prędkim czasie wszystko to zmieniło się w kupkę śmiecia!... Kieliszek, z któregośmy wypili rozkoszne szaty — śmierdzi trucizną... przepych obrócił się w brud... i żyje tu na tym świecie!

Sylwan kiwnął tylko głową — wyszli oba z salki.. W drugim i trzecim pokoju nie było nikogo, w osta-

tnim znaleźli kellnera z serwetą w ręku, z otwartemi ustami, twardym snem ujętego w krzesle... Herman nie mógł wyjść, nie splatawszy figla. Na kantorze stał kałamarz, w którym nmoczył palec i wąsy mu nmalował. Śpiący opędzał się jego ręce, jakby czuł muchy... i zasnął znów... Mimo groźnego spojrzenia Sylwana dopełniwszy co zamierzył, Herman z nim razem wysunął się wreszeie w ulicę... Tu dopiero się życie miejskie rozpoczynało od najtwardszój pracy. Słychać było po bruku wlokące się wozy ciężkie, bokami ulic szli powoli robotnicy, sngi na pół odziane do otwierających się piekarni i rozwożących mleczywo, otwierano gdzie niegdzie okiennice. zamiatano przed domami — przedmówkę powszedniego życia mieli przed oczyma przechodzący. Sylwan wpatrywał się w nią z pewném zadowoleniem, Herman oczy miał przymrużone, usta otwierały się ziewaniem. Szedł ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach. Stawał niekiedy i rozglądał się, czy jeszcze daleko byli od celu téj rannej przechadzki. Nareszcie z ulicy głównej zwrócili się w boczną, umajoną ogródkami, Sylwan otworzył furtkę, od której miał klucz i wprowadził brata w zacisny kąt swój. Domek maleńki stał wśród sadu i kwiatowego ogródka, bardzo czyściuchno utrzymanego... Był to raczej rodzaj altany niż domu i zimą trudnoby w nim było wymieszkać. Latem za to nie mógł milszego i cichszego nad to znaleźć schronienia. Kwitły mu jablonie, pachniały brzozy, miał zielone kobierce mu-

rawy i grzędy pstrych wesołych kwiatków. Duża salka i pokój sypialny z małą izdebką służącego składały cały ów dworek.

Pomimo licznych okien salka była przyciemna, bo krzewy wchodziły prawie do niej i przypierały do ścian. Umebłowanie bardzo proste, sofę, krzesła, fortepian, szafka z książkami, stół zarzucony papierami, ubierały skromnie pokój, w którym znać było pracowitego i cichego gospodarza. Na ścianach wisiały rysunki i sztychy, widoki i studia różnych kraju okolic... Tuż przeze drzwi sypialnia niewiele się od salki różniła... Sylwan otworzywszy drzwi poprowadził ciągle ziewającego jeszcze Hermana wprost do czystego łóżka, które mu wskazał... Nie dając się prosić zrzucił przybyły odzienie, schwycił szlafrok i pośpiesznie padł na posłanie.

— Czy mam czekać na przebudzenie z herbatą, czy do herbaty cię zbudzić? zapytał gospodarz.

— Naiwny jesteś, jeżeli myślisz, że ja tak łatwo usnę, zawołał Herman. Potrzebuję położyć się i spocząć, ale głowę mam pełną myśli—serce pełne wrażeń... sen mnie nie weźmie, choćbym go prosił. Każ robić herbatę a sam zostań przy mnie...

— Więc — zaraz wrócę — rzekł Sylwan — czekaj.

Jakoż w kilka minut, przywoławszy chłopca, który się zajął gotowaniem orzeźwiającego napoju — Sylwan przyszedł i siadł przy bracie. Herman leżał z otwartymi oczyma, błądy i widocznie zmęczony...

ale oprócz znużenia cielesnego, widać na nim było znużenie moralne.

Sylwan wziął go za rękę... W tym nścisiku braterskim gdy się dwie dłonie ich splotły, nie patrząc nawet na twarze, można było po rękach obu domyślić się dwóch natur, żywotów i zawodów odmiennych. Hermana ręka biała, delikatna, wypieszczona, z żyłkami sinemi, należała widocznie do człowieka który nie miał do czynienia i mógł się nią bawić zarówno i życiem; palce Sylwana zapracowane, silne, opalone, muskularne oznajmowały, że nie próżnowały i nie lękały się dźwignąć ciężaru ani podjąć walki... Chociaż ich łączył węzeł braterski krwi i przywiązania, nie bardziej nie mogło się różnić nad dwie twarze obu włódych, pokrewnych nawet rysów ludzi—natury tak odmiennój jak ich dłonie—Herman był bardzo piękny, blady... wybielony życiem pokojowém i pieszczotami; w ustach miał wiele dobroci ale razem szyderstwa... z oczu i czoła bilo sceptyczne rozczarowanie i lekceważenie wszystkiego, smutek razem i złość jakaś utajona, duma i boleść. Sylwana twarz podobna krojem, różniła się charakterem poważnym i łagodnym razem, pewną pokorą, która może była tylko rodzajem przekształconej dumy, w każdym razie nie waśniła się ze światem i spokojnie patrzyła nań, nie mając żalu, iż nie takim był jak chciała. Sylwan też starszym się wydawał o lat kilka i dojrzalszym... w Hermanie młodość burzyła się jeszcze i buchała.

II.

— No, cożeś ty się tam tak zadumał? szepnął Sylwan, wyczekawszy aby się brat odezwał sam; czego tak wzdychasz i oczy słupem ci stoją? Wczorajsza zabawa co cię miała rozweselić, widzę jeszcze uczyniła cię kwaśniejszym. Zrzucź ten ciężar z serca, mów... przedemną możesz się przecie spowiadać otwarcie...

— Mój Sylwku... a co to pomoże? pieszczotliwie począł leżący na łóżku.—Życie ze wszystkimi swemi tłómkami ciąży mi... kręcę się, rzucam i nie mogę tralić na drogę, którąbym mógł iść spokojnie dalej— a widzieć, że znajdę do jakiegoś celu. Widzisz jestem z tobą szczerzy, bo za nic w świecie przed nikimby nie przyznał się do tego, co ci powiadam.

— Mówże, no mów, spokojnie odparł Sylwan... słucham... spowiedź ta ulży tobie.

— Ze świata i z siebie jestem nie kontent, ciągnął dalej Herman. Prawdę powiedziawszy, nie wiem sam czego chcę... gdzie idę i — co potem?... co potem? na co to wszystko, kiedy się każda moja wy-

prawa argonauka kończy tak, jak wczorajsza wierzba?..

Podpoilem i nakarmilem najukochańszych przyjaciół moich, aby się dowiedzieć od nich, gdy się zaczęli wywnętrzać, że ostatecznie są nie wiele wariaci... Tak oni mi zbrzydli teraz jak to wino, które piłem z niemi... Więc wszędzie spotykam rozezarowanie... i tak ci ma być *in saccula saeculorum*?

Sylwan jeszcze nie odpowiedział, zapalił cygaro i słuchał z powagą nauczycielską a politowaniem pewnym...

— Mówże, no mów, mruczał ciągle.—Co dalej?

— A jeszcze w dodatku — rzekł nagle Herman,— głupiom się zakochał...

— Myślisz, żeś się zakochał? spytał Sylwan.

Brat spojrzał nań dziwnie.

— Szalenie, szkaradnie.. do wariacy! zawolał— zakochałem się!

— Który to raz? zimno znowu rzekł Sylwan... I znowu popatrzeni na siebie, Herman się uśmiechnął.

— Tante były — młodzieńcze plomyki... a to jest ogień piekielny! dodał z zapalem — zachwycająca istota!...

— Któż to taki? mówił Sylwan — boć nie prezesówna Iza?

— A! pfe! prezesówna! Krochmalna ta lalka; dzieło rąk guwernantki, która ją stworzyła na obraz i podobieństwo swoje... Jakże ty możesz mnie o coś takiego posądzać?

— Był przecieć czas, gdy wielbiłeś Izę?

— Dopókim się nie przysiadł do niej i nie rozmawiał z nią... przerwał Herman.

— Więc w kimże to nowe zakochanie?

— Mnie się zdawało, że ty powinienes odgadnąć! Oszczędziłbyś mi upokarzającego wyznania, bo osoba... osoba...

— Cóż? zameżna? z oburzeniem zapytał Sylwan.

— A! nie! nie! niecierpliwie rzekł Herman, uderzając ręką o krawędź łóżka — jakżebyś ty nie nie zgadł!

— Ja bo nie mam daru zgadywania — uśmiechając się począł Sylwan — a najniżej mógłbym się domyślać przedmiotu miłości takiego zapalczywego młodziana jak ty, który co kilka dni innemu obrazowi się kłania.

— Niestety — co teraz to podobno miłość na seryol

— A! na seryo — słucham więc i bardzom cię kawy...

— Byłeś w Teatrze? widziałeś Violę w rolach naiwnych dziewczątek?

Sylwan zmieszał się jakoś i zarnmiemil, lecz niepostrzeżenie dla brata; skinął głową nie chcąc się może zdradzić głosem, i mruknął:

— Tak — tak.

— Gdym ją po raz pierwszy zobaczył, podobala mi się, no — ale tak jak ładne dziewczę, młodzinchue a świeże podobać się może. Zapaliłem się do twarzyczki, buziaka i oczek. Po sztuczce, w której grała

poleciałem do Józka aby mnie zakulisy zaprowadził i zaprezentował.

— Co ci po tém? rzekł mi — jeśli Violkę bierzesz za pospolite dziewczę zalotne, z którym się myślisz pobawić i pożartować, żał się Boże zachodu... A cóż to za przebrana księżniczka? począłem śmiejąc się. Żadna księżniczka, rzekł Józiek, ale strasznie mądre stworzenie.. ani przystępu do uięj — kwaśna, ostra, obraźliwa...

Pomimo że mi ją tak źle zarekomendował, uparłem się, poszliśmy z nim za kulisy. Violka szła jeszcze ubrana po wiejsku, gdyśmy ją spotkali. Józiek mnie przedstawił; spojrzała, kiwnęła główką i chciała zaraz uciekać. Palnąłem siarczysty komplement, chcąc ją upoić kadzidłem; rozśmiała mi się w oczy. Śmieszek był nie wesoły, szyderski. Zastąpiliśmy jej drogę ażeby zmusić do dłuższej rozmowy; nie zamieszała się tém wcale, i odpowiadała — ale mówię ci z takim dowcipem, przytomnością, tak bez najmniejszej kokieterji, żem został oczarowany. Rzadko w salonie najlepiej wychowana panienka znaleźć się tak potrafi. Odszedłem, już za pierwszym razem mogę powiedzieć zakochany... Potém kilka razy starałem się z nią spotkać, i dobiła mnie, a to ci powiem, że najmniejszej nie zdaje się mieć myśli ani ochoty do tego, obchodzi się ze mną jak z dzieciakiem... dobrego słowa mi nie powie... a czarująca! czarująca!

Sylwan zaczął się śmiać sucho i dziwnie — Herman nań popatrzał.

— Z czegoż ty się śmiejesz?

— Z twojej szalonej miłości, która będzie pono trwała właśnie tyle, ile teatr ten gości u nas...

— Znasz że Violę?

— Widziałem ją — począł siadając Sylwan... a przypadkiem dowiedziałem się jej historii, powiem ci więc ją dla tego, żebyś nie marzył o tym owocu zakazanym.

Herman westchnął.

— Ojciec Violi był starym aktorem, znakomitego rodzimego talentu... komikiem nieporównanym. ale człowiekiem bez hamulca. bez obyczajów... który trawił życie po szynkowniach... żył z dnia na dzień i mimo najlepszego serca, starém zepsutém dzieckiem dotrwał do końca, wlokąc za sobą ofiary. Temi była żona jego, artystka także, najnieszcześniejsza istota, zmuszona walczyć z nim o chleb swój i dziecka, i dziecko to, które ledwo odrosłszy od ziemi, poznało wszystkie rodzaje nędzy i upokorzeń. Ojciec jej zszedł, coraz się bardziej upijając, do takiego upadku, iż ledwie w najlichszych truppach mógł na kawałek chleba zarobić. Zamykano go na klucz w te dnie gdy grać potrzeba było. Matka zmarła do rozpacz przywiedziona gdy Violka miała lat siedm czy ośm... a nie dziecko powierzała ojcu, ale tego nieszczęśliwego jej musiała powierzyć; miarkujesz jakie to było wychowanie. Kolysała ją niedola,

nędza przyspieszała dojrzałość, sieroctwo ją uczyło, sponiewieranie ojca kazało zmęczyć przed czasem by go ratować. Niemiała prawie dzieciństwa i to świeże, niewinne stworzenie co gra rolę niewinne z taką doskonałością nigdy nie miało czasu być dzieckiem... Życie całe swe brudy, rany i szkarady odsłoniło przed nią wprzód nim sama zamarzyła o ideałach. Talent ten wyrósł w ogniu nędzy okrutnej... Ojciec zmarł, została sierotą, sama... bez opieki wśród ludzi, co ani mogą ani myślą białej sukienki szanować... Musiała odgadnąć swe obowiązki, środki obrony, zebrać się na męstwo, nie złąknąć głodu nawet... Wyszła z tych prób zwycięzko, lecz miarkniesz, że taką niedolę, taką cnotę, takie sieroctwo należy szanować... i że płochu chcieć balamucić dziewczę, które w świecie całym ma jedno serce swoje... byłoby występkiem.

— Wszystko to w twych ustach ślicznie wygląda, rozśmiał się Herman; ale — czekaj — *audiat et altera pars*. Widzę prześliczną, różowuteńką, okrytą puszką młodości wisienkę dojrzałą na gałązce... Rozczulam się nad jej wdziękiem... nie mam serca zerwać i polknąć; w tej chwili szary paskudny wróbel wyrывa się gdzieś z kąta, schwycił ją w dziób i poniósł. To właśnie morał twój historyi sieroty Violi.. której ja będę się kłaniał z uszanowaniem dla jej niedoli, a jakiś młokos śmielszy zbalamuci.

— Byćby to mogło — odparł spokojnie Sylwan — lecz zaręczam ci, że ta wisienka lada wróblowi wzięć

się nie da. Daremne będą twoje zabiegi... Nazwałeś to miłością — dodał — jabym temu dał imię fantazyi tylko... Ty jeszcze nie umiesz kochać, i wątpię, żebyś już kiedy potrafił.

— Dla czego? podchwycił Herman.

— Dla tego, że jak cała młodzież dzisiejsza, puszczone swobodnie, nie hamowana w niczem — mało masz poszanowania dla kobiety. Ona dla ciebie będzie ideałem kształtów, wdzięku... ową wienką do zjedzenia o której wspominałeś, nigdy złotoskrzydłym aniołem, w któregośbyś serce uwierzył i chciał z nim życie podzielić...

— Viola jest z pewnością więcej warta nad polite dziewczęta... a ty jej ocenić nie potrafisz...

— To dobre! a skądże ty znowu tak doskonałe znasz ją, jej przeszłość, cnoty, serce i idealne złote skrzydła? zawołał Herman...

— Ja? rzekł Sylwan. Nie będę ci się zapierał tego, lubię teatr, znam kilku artystów, w ich towarzystwie poznałem ją, zbliżyłem się bez najmniejszej pretensyi ani podobania się, ani bałamucenia jej i siebie... i — spuszczać głowę dokończył Sylwan... poznałem ją bliżej, a poznanie to wzbudziło dla niej szacunek...

Herman się rozśmiał.

— Ty ze swoją powagą i wiarą jesteś zabawny! Ależ mnie opowiadano historję o niej! To porządny kopciuszek, ale wcale nie tak naiwny, jak ty go sobie wyobrażasz! Ho! ho!

— Jeśli ją lepiej znasz nie ma co mówić o tém — dodał brat; — ale zdaje mi się, że się mylisz... To co powiadasz, uspakaja mnie, bo z téj strony ją znając. jak sprytnego kopciuszka, niebezpiecznie zakochać się nie możesz... Fantazya ta przejdzie jak inne... Wybiję ci ją z głowy druga...

— Tymczasem ani przystąpić mi do siebie nie daje, odezwał się Herman... Mój drogi jak ty mnie kochasz, kiedy ty z temi artystkami jesteś tak dobrze... a masz tam wstęp — ratujże mnie!

Sylwan zerwał się z łóżka.

— Dajże mi pokój! Ja żebym ci pomagał do takich balamuetw! Hermanie — przecież mnie znasz!

Chłopak wnoszący herbatę przerwał na szczęście rozmowę; obaj zamilkli, Sylwan się wziął do samowara, Herman zamyślił się i wzdychał. Jakiś czas trwała cisza przerywana tylko brzękiem szkła i łyżeczek. Dzień już się był zrobił jasny i od ulicy żywy ruch slychać było... Miasto łudziło się, dzwony wołały do kościołów, powozy turkotały po bruku, z dala dolatywały rozmowy głośne i śmiechy idących na targ włościan...

— Wiesz ty? co — rzekł wypiwszy herbatę z cytryną Herman — należało by mi pójść do domu... ale w tym paltocie i kapeluszu przez ulicę przejść niepodobna...

— Weź co mojego...

— Masz tak anachoreckie ubranie, rozśmiał się Herman — doprawdy, niepodobieństwo... gdybyśmy

kogo roztropnego do mojego Staszka posłali — ale kogo?

— To znaczy chyba, żebym ja sam poszedł, odezwał się Sylwan. Zgoda i na to, lecz jest jeden warunek.

— No! jaki?

— Jeśli kto do furtki ogrodowej zadzwoni żebys nie otwierał.

— Dla czego?

— Dla tego, że ja sobie tego życzę... że cię o to — proszę.

— No, to nie otworzę... Kładę się na łóżko i odpoczywam...

Sylwan wziął swój szary kapelusz z salki i przyknuawszy drzwi sypialni wyszedł powoli.

Herman istotnie położył się na jego łóżku, przyknuął oczy i drzemać począł. Nie upłynął kwadrans gdy dzwonek od ogrodowej furtki się odezwał... Herman otworzył powieki, myśląc: — Ciekawa rzecz dla czego on mi otwierać nie kazał? Może kto z interesem i Sylwan zaraz powróci, mógłby sobie na niego poczekać.

Zadzwoniono nieśmiało po raz drugi... Herman wstał, poprawił trochę suknie... i wyszedł ścieżką ku furcie. Zbliżając się ku niej, usłyszał za murem rozmowę... Przyspieszył kroku, otworzył... Dwie osoby stały w progu: staruszek siwy, przygarbiony i zakwefiona kobieta młoda... Na widok Hermana

pierwszy się zmieszał, a druga żywo cofnęła i zwróciła tak, że twarzy jej widzieć nie mógł.

— Pana Sylwana nie ma w domu? — zapytał stary.

— Nie ma, ale natychmiast powróci... Możeby państwo przeszli się po ogródku i poczekali trochę; w téj chwili nadejść powinien...

Starnszek zwrócił się do kobiety jakby z zapytaniem; ta mileząco dała mu znak przeczący i odsunęła się od furtki żywo. Stary skłonił się i poszedł za nią. Herman wyjrzał jeszcze za oddalającymi się — i — byłby przysiągł, że tego staruszka gdzieś widział bodaj za kulisami teatru — a... ta zakwefiona pani... postawą i ruchami tak przypominała Violę!

Nie śmiał i niemógł pogonić, ale ścigał ją długo oczyma. w ostatku gdy znikli, furtkę przyinkuwał i zamysłony wrócił do sypialni.

— Otóż dla czego Sylwan nie życzył sobie, ażeby furtkę otwierał! — i dla czego tak się unosił nad ideałem panienki, która w towarzystwie szanownego suflera, przychodzi mu ranne oddawać wizyty! Dobryś braciszku! A! rozumiem! Taki pedant, purytanin, świętoszek, na moralach jeździ jak najlepszy berejter... a panny o świtanii u siebie przyjmuje.

Chód śpieszny od furtki przerwał rozmyślenia Hermana. Drzwi się otworzyły; wszedł najprzód Sylwan rzucając na brata wejrzenie chmurne, a za nim ładny chłopaczek w liberyi bardzo wytwornej,

z twarzączką roztropną, ożywioną, dowcipną — doskonale dobrany służka swego pana.

Staszek miał na ręku palto i kapelusz czarny, usta miał zakąszone i uśmiechnięte.

— Pani hrabina już się pytała rano o pana — rzekł wchodząc; — ja powiedziałem chwała Bogu nieźgorzej, że pan na wsi i że dopiero po ósmej powróci... Biegałem już do restauracyi, kellner mi powiedział, że pan nad rankiem wyjść musiał, a był czegoś złw i cytryną sobie pod nosem smarował... bo mu ktoś wąsy atramentem umalował.

Staszek począł się śmiać.

— Jaby'm przysiągł żeto pan!

Herman kładł palto spoglądając na brata, który stał milezący i widocznie nadąsany. Skinął na Staszka żeby szedł przodem i zbliżył się do Sylwana.

— Co ty tak pochmurniałeś? spytał

— Zrobiłeś mi przykrość — odezwał się szeptem Sylwan. Prosiłem cię ażebyś furtki nie otwierał...

— Lękałem się ażeby kto nie był z interesem, nie masz się gniewać za co...

— Prosiłem cię — dodał starszy — to dosyć; powinieś był choć raz posłuchać. Zaufałem ci... uczyniłeś mi przykrość! wielką przykrość!

— Wierz mi, odezwał się Herman, iż sam to sobie wyrzucam... ale mógłbym się u licha spodziewać, żebyś ty, anachoreta, o ósmej godzinie rano odwiedziły jakich pań przyjmował...

— No, nie żartuj — rzekł surowo Sylwan — jesteś płochym często, ale pocziwym zawsze... U tam ci — poznałeś w kobiecie Violę. bo ona ciebie poznała, i odeszła ztąd zmieszana. płacząca, przewidując, że z najniewinniejszej w świecie rzeczy zrobi się plotka...

Proszę cię więc na naszą miłość braterską Hermanie, zapomnij, żeś ją tu widział, i nie wspominaj o tém nikomu...

— A ta najniewinniejsza w świecie ranna przechadzka do twojego ogródka? zapytał Herman — cóż ona ma znaczyć?

— Właściem ci to miał powiedzieć — dodał żywo Sylwan. — Doktor kazał jęć pić wodę emską, przy wodach potrzebowała chodzić... Na publicznej przechadzce gdziekolwiek bądź, wyszpiewowanoby ją i ścigano; zaproponowałem mój ogródek, rękując, że tu nikogo nie wpuszczę. Przychodzi ze starym suflerem; widuję ją tylko gdy furtkę otwieram. Na to com ci powiedział, daję najuroczystsze słowo honoru...

— Wierzyłbym na proste twe słowo — z ironicznym uśmiechem odezwał się Herman... Widzę tylko z tego, że jesteś *du dernier micux* z tą śliczną Violą, żeś nawet o nią zazdrośny, i że mnie nie pozo taje nie nad pełne uszanowania wycofanie się przed panem starszym bratem..

To rzekłszy skłonił się Herman, smutnie i kwaśno

żegnając Sylwana, który go jeszcze raz pochwycił za rękę.

— Ani nawet jój nie powiem żem poznał. — Słowo... bądź spokojny...

— Hermanie słowo że o tém nie wspomnisz nikomu!

O! moralista! moralista! mruknął odchodząc...

Sylwan zadumany pozostał długo w progu, patrząc za odchodzącym. Dobry jego czynnek względem brata, dziwnie mu się wypłacił! Los prawie zawsze, z tą ironią wywdzięcza ludziom poświęcenie i miłość.

III.

Działo się w świeżo najętym d. m. w którym nowy lokator urządzał się zmęczony krzątaniem, ocierając pot z czoła.

Spojrzawszy nań każdy, najdobroduszniejszy nawet żydek, byłby od razu poznał wiejskiego obywatela, a dowcipniejszy domyśliłby się po pewnych znamionach, że pochodził z Kongresówki. Obywatel wiejski ma w sobie zawsze, mimo pumeksu, którym z niego starą barwę zetrzeć się starają cywilizatorowie i reformatory — coś z tych królewiat Szajnochy, którzy kilkaset lat panowali krajowi. Najpokorniejszy z nich zdradza to, że kiedyś był sam jeden wolny a drugim rozkazywał... Długie lata wykształciły typ, ruchy, mowę i obyczaje... Jest w nim coś średniowiecznego mimo fraka, coś rycerskiego mimo okularów, coś pańskiego mimo opuszczenia i zbrukania. Twarz, wzrok, głos, choć zdetronizowane, znać, że panowały niedawno... W naszym szlachecku było nieco téj staréj buty, ale rozmiękłéj pod wpływem sybarytyzmu... Mały, krągły, tłusty, rumiany, mimo lat około pięćdziesięciu ubrany po młode-

mu i nie bez pretensyi do elegancyi a wdzięku, pan Aleksander Junosza, chodząc, przeglądał się niekiedy w zwierciadłach, włosy poprawiał, suknie pociągał, niespokojny był widocznie, jak się tego dnia wydawać będzie. A wydawał się świeżo, może do zbytku różowo tylko, i choć zmęczony, chodził młodzieńczemi krokami, i gdyby nie zaokrąglenie, z daleka można go było wziąć za trzydziestoletniego kawalera. Był jednak wdowcem oddawna... a metryka świadczyła, iż zbliżał się do fatalnego kresu pięćdziesiątówki. Jeszcze go nie doścignął, ale już wzdychał nad okrucieństwem czasu, który zbiegł tak nielitościwie.

Okolo oczu występowały już zarysy zmarszczków, okolo ust częsty uśmiech popisał drogi którądy się ślizgał — na czole nie myśl ale zmęczenie pokreśliło pasy niepotrzebne... Wszystko to krasił rumieniec, a junacki wąsik podkręcony do góry, nastrzępiony był z młodzieńczą fantazyą. Ten pozór młodości i miły a przyjacielski charakter były przyczyną, że pana Aleksandra Junoszę do dziś dnia nazywano — Olesiem. Chodził pod tém imieniem... u znajomych i nieznajomych. pieszczotliwy przydomek stał za charakterystykę... Kochano Olesia, bo był dobrym kolegą do wszystkiego i nie pedant wcale, nikt go jednak nie brał na serio. Sam z siebie majętny, Oles ożeniwszy się ze starościanką M... nabył znacniejszego jeszcze majątku, a po najdłuższém życiu pani starościnej, teści swój, miał nadzieję dla jedy-

naczki córki wielki otrzymać spadek. Panna Hanna miała już lat dwadzieścia, a była śliczna, dobrze wychowana, rozumna, i tylko — jak młodzież utrzymywała — trochę za poważna na swój wiek, za śmiała na swój stan... Obawiano się jęj, ale kochano z daleka.. Ci co ją bliżej znali, byli dla nięj z uwielbieniem. Właśnie troskliwa babka, pani starościua, pod pozorem poradzenia się o swe zdrowie, wyjechała była z Hanną za granicę, i tylko co się na parę miesięcy urządzano tu... posługując Olesiem, który wyglądał tylko kimby się sam mógł wyżyć.

Z natury był kochany ów Oleś do pracv wszelkięj przymusowęj niezdolny — nudziła go... Wesołe gronko, smaczne jadlo, umiarkowany dobrego wina kieliszek, dobrane suche cygaro, dolce far niente na miękkim fotelu... najulubieńsze mu były. Książek nie czytywał, twierdząc, że z rozmowy o nich dostatecznie się dowiedzieć tego można; gazety rzadko, i z tych po obiedzie najwięcej go bawiły — ogłoszenia. Czerpał z nich znakomitą w swym rodzaju erudycyę.

W tęg chwili oczekiwał pan Aleksander na — przyjaciela... Pokładał on w nim nadzieję, iż go od wielu kłopotów uwolni. Przyjaciel ten nie jednego Olesia był druhem, ale można powiedzieć całej szlachty zamożnej, z której pochodził i do której należał; nie jednemu jemu, lecz mnogim znajomym niezmiernie był użyteczny. Zuano pana Maryana

Dolęga, jako najprzyjemniejszego z towarzyszków. On urządzał obiady, on gospodarzył na piknikach, pośredniczył w kupnach i sprzedażach, posłował przy pojedynkach, zagadzał zwaśnionych, a co najlepiej umiał — to dysponować ucztą i eleganckiego ich wykonania dopilnować. Zagadkową rzeczą była egzystencja pana Maryana od czasu, jak w młodości jeszcze utracił wioskę dziedziczną i znalazł się na świecie własnym zostawionym siłom. *Help your self* nie istniało jeszcze: odgadł je genialny Dolęga. Pozostało jego tajemnicą, w jaki sposób tego dokonał; to pewna, że nie mając nic i nic nie robiąc, nabierał się pańsko, pieniędzy miał zawsze dosyć, stawał w najlepszych hotelach, zjadał najdroższe obiady. a książąt i hrabiów po imieniu nazywał, będąc z nimi na stopie zupełnej równości. Sumienie dodać każe iż sposób jego myślenia i zasady zupełnie niesprawiedliwiały zaszczyty jakimi go okrywano: był bowiem ultrakonserwatystą, namiętnym przyjacielem porządku, legitymistą... mówił ślicznie po francuzku. Na żadnym liberalizmie poszlakowany nie był. Władzę wszelką szanował, i — daleko wprzód nim go genialny mąż stał — sformułował — odgadł ten aksjomat potężny iż siła idzie przed prawem... Wesolo więc spływało mu życie, bo go w najlepszych towarzystwach przyjmowano *à bras ouverts*, i miano za człowieka pewnego, nie wahając mu się w najdelikatniejszych powierzać sprawach.

Starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, zarówno się

w nim kochali... Tańczył z młodemi, grał w karty ze starszymi, z pobożnymi chodził na kazania, z innymi na teatr... ułatwiał przyjemne znajomości, sklejał małżeństwa, w potrzebie pomagał do rozwodów; słowem był to prawdziwy *homme à tout faire*. Dla Olesia, z którym go dawna talerzowa przyjaźń łączyła — miał ten cenny niezmiernie przymiot, iż znał się na jadle i wiedział gdzie co dobrego można dostać.

Pan Maryan Dołęga wyglądał dosyć młodo, choć także czterdzieści lat już przeżył na tym bożym świecie, i włosy, mimo różnych wysmienitych kosmetyków silnie mu już siwiały, twarz miał rumianą, oczy także jakby od pracy zaczerwienione, usta szerokie pełne dobroci i wesela. Należało do jego atrybucyi być zawsze w dobrym humorze, ten z sobą wszędzie przynosić, tak samo jak wszystko wiedzieć i znać wszystkich.

Silnie zbudowany, ramion szerokich, piersi wydatnych, postawy wojskowej (choć nigdy munduru żadnego nie kładł), zawsze ubrany starannie, pan Maryan choć nigdy passyi żadnej nie obudził, między przywiedlemi paniami miał wiele dobrych przyjaciółek; nikt jednak nie mógł wytknąć palcem osoby, którąby swą przyjaźnią skompromitował. Para szczęśliwych pojedynków postawiła go też dobrze, jako człowieka odważnego i na swój honor bacznego.

Posłyszawszy za progiem chód przyjaciela wzywającego ku pomocy, Oleś aż do drzwi wybiegł przeciwko niemu... Uścisnęli się czule i ucałowali.

— No, cóż? zawołał przybyły, jakże ci po wczorajszém?

(Tém „wczorajszém“ była właśnie wieczerza pana Hermana).

— A no! nie! rzeźwo mi i dobrze, miary nie przebrałem... jedliśmy rzeczy zdrowe, wino było wyborne... Zabawiliśmy się wyśmienicie.

— Bom to ja wybierał i urządzał, duszo moja! rozśmiał się Dolega — a już ty mnie znasz, że gdzie ja się wdam, tam źle być nie może.

— Ty jesteś jedyny! powtarzając uścisk rzekł Oleś. — Siadajże proszę, oto masz cygarko — mamy z sobą wiele do pomówienia.

— Służę ci — siadając i wyciągając się w fotelu odparł Maryan.

— Wczoraj mnie w restanracyi, mówił Oleś śmiejąc się — formalnieście skonfiskowali. Ja, jak wiesz, tego Hermana Ramulta nie znałem: pochwyciliście, kazali, musiałem służyć, jeść pić, śmiać się, ale teraz gdy mu wizytę zrobić wypada, gdy on nie chyłnie mi ją odda... młody człowiek, u mnie w domu córka, — radbym też przecie wiedział co zacz? Nazwisko mi bardzo znane!

— Zmilnij się! śmiejąc się ciągle, bo śmiech był akompaniamentem koniecznym jego rozmów, zawołał

Dołęga:—zmiłuj się —Ramulta ojciec mieszkał w waszém sąsiedztwie...

— W naszém sąsiedztwie? spytał Oleś bijąc się w czolo. No, tak! był u nas Ramult, ale czyż ten? czy ojciec tego? Nasz, Wojciech Ramult, ożeniony z Pawęczką, człowiek niemający. jedna wioszczyna... miał córkę i syna — obojga mi aż nadto dobrze znanych. Żona mu zmarła, z nią nie wiem co się stało. po śmierci jój desperując strasznie. wyjechał i — znikł. Dzieci się przy siostrze chowały...

— No, to ja ci reszty dopowiem — począł zapalać cygaro Dołęga... Ten sam Wojciech Ramult... z wielkiej desperacyi pojechał do wód w Galicji. tam gdzieś poznał majątną wdowę, hr. Borzechowską, ożenił się z nią, Pan Bóg mu dał syna wkrótce... a Ramultowi się zmarło... Syna tego. z hrabiowskim tytułem, który matka sobie i jemu nabyła — poznałeś wczoraj.

— A więc to przyrodni brat...

— Tak! przyrodni brat pani Lelii z Ramultów Matuskiej i pana Sylwana Ramulta...

— Cóż u licha za komplikacya niespodziana! podchwycił Oleś. Bo trzeba, żebyś wiedział — albo... no, o tém potém.

— Nie, nie, trzeba żebym wiedział o wszystkiém — rzekł Dołęga; gadaj co masz mówić, zaraz.

— Dla ciebie nie mam tajemnic, wiem, żeś człowiek dyskretny — począł Oleś jakoś smutnie... Tych Ramultów urodzonych z Pawęczkij, miałem u ich

cioci pod bokiem. Lelia, która potem wyszła za Matuskiego i owdowiała — śliczna i miła kobiecina... Znasz ją.

— Doskonale! bardzo miła — rzekł Dołęga... a pomimo to do téj pory wdową jest jeszcze...

— Przyznam ci się, że mam do niej słabość... rozśmiał się Oleś — takiego coś ma *agasyjcego*, taka dowcipna. taka żywa, taka...

— A! ty — stary bałamucie! jesteś gotów...

— Ts! cicho! uchowaj Boże kto posłyszysz? daj pokój, nie o nią idzie...

— A o kogo?

— O brata jej .. tu — wsk... Ten pan Sylwan wychowywał się niemal przy mojej Hannie, bo to było sąsiedztwo o ćwierć mili. Dzieci z sobą były ciągle.. prawie codzień my u nich, oni u nas, zwyczajnie na wsi, gdzie o ludzi trudno... Otóż (tu głos zniżył Oleś) mam obawę, żeby Hanna moja nie powzięła dla niego trochę sentymentu... bo że on się w niej szalenie kochał — to pewna. Starałem się tylko zawczasu mu dać do zrozumienia, że z tych wzdychań nic być nie może i — pozbyłem się go. Hanna będzie miała fortunę co się zowie pańską po starościni i po mnie... a to ubogi szlachciura i do tego głowa przewrócona, demokrat. liberal.. czerwony...

Wystawzę sobie, dowiaduję się, że on tu po 1864 roku osiadł, i zajmuje się jako inżynier przy jakichś fabrykach czy kolejach...

Jakże oni są z sobą ci bracia przyrodni? bo wczoraj go na wieczerzy, chwala Bogu, nie było.

Dolega głową trząśł w czasie opowiadania.

— Oni są z sobą jak najlepiej. tu się zbliżyli, po-przyjaźnili, i twój Ramułt demokrata mentoruje hrabiemu Ramułtowi... Hrabina matka wszakże nierada tym stosunkom, i bywa tylko prywatnie u niego Sylwan, jak słyszałem. .

Co się tyczy miłości dla panny Hanny, najprzód on sam już sobie musiał dawno wybić z głowy, po-wtóre nigdzie się nie spotkają pewnie, bo ten Sylwan nie bywa w naszych towarzystwach... trzyma sobie z mieszczanami, intelligencyą, jak oni ją tu zowią, z tym tam światem. którego my nie znamy. Nie masz się więc czego obawiać... byle — byle siostra jego Lelia, która tu jest...

— Lelia tu jest! krzyknął nderzając w dłonie Oleś — ona! tu! mój Boże! Ależ to przyjaciółka od serca mojej Hanny, ulubienica starościny... a i moja.. przyjaciółka.

— To najgorzej — przerwał Dolega — masz do niej słabość, do czego się sam przyznałeś... co to będzie jak ona zechce za bratem intrygować?

Oleś się za głowę chwycił.

— Ciszéj! rzekł — ciszéj! niedobrze to jest, bardzo niedobrze... A no, trzeba się naradzić co i jak poczynać... Chodźmy na śniadanie — pogadamy swobodniéj, bo tu się obawiam — może nas kto podsłuchać...

Dolęga wstał i szepnął.

— Ja cię zaprowadzę na taką przekąskę *vous vous en lecherez les doigts!* Chodź a na ojcowskie twoje troski znajdziemy radę! Ho! ho! nie takieśmy to rzeczy przebywali...

Wzięli się tedy pod rękę i wyszli po cichu...

IV.

Salonik. z którego wyniknął się Oleś, stał przez chwilę pusty., potem otworzyły się drzwi w lewo i weszła siwowłosa staruszka, milój pięknej jeszcze i uspokojonej twarzy, ubrana z wielkiem staraniem, ale czarno. Z nią razem szła słusznego dosyć wzrostu, piękna, zamyślonego oblicza panienka, równie wykwintnie a zarazem z prostotą i smakiem ubrana. W rysach jej. mimo młodości, ślady wewnętrznych walk i cierpień skrytych, jakaś zaduma nad przyszłością, coś dziwnie smutnego panowało. Uśmiech miała wdzięczny ale nie młodzieńczy—więcej w nim było politowania niż wesela, dobroci i pobożania niż radości. Czarne oczy przysłonięte rzęsami długimi miały tenże wyraz nieuleczonej melancholii. Na czole, ustach, w postacie całej, może przedwczesna powaga czyniła ją trochę starszą niżeli była w istocie. Mimo to dziecinna prawie prostota i naiwność przeglądała przez zasłony smutku i obłoki melancholii. Dwie te postacie obok siebie, starość wdzięczna i święta, młodość smutna i majestatyczna, stanowiły grupę, na której musiałoby się każde oko

jak nad zagadką zatrzymać... Młodego wesela trochę w twarzy starszki równie dziwilo jak powaga przedwczesna w dziewczęciu. Staruszką była babka, pani starościna — panienką Hanna córka pana Aleksandra... Obejrzały się wchodząc po salonie, w którym się goście znaleźć spodziewały, i starościna odezwała się z trochę niezadowolenia:

— Już go nie ma! tylko co słyszałam głos... Znowu gdzieś się wyniósł... Wczoraj dopiero podobno nad rankiem powrócił — teraz znowu już go nie ma... Ktoś go pochwycił — a — to niecznośna rzecz doprawdy...

Siadła staruszka.

— Niechże się babcia nie gniewa — odezwała się wmezka: ojciec ma tyle, tyle rzeczy do zrobienia... Widziałam wchodzącego Dolegę, poszli z nim razem pewno po jakie sprawunki.

— Ja się nie gniewam moje dziecko, bo na tego pocziwego Olesia niepodobna się pogniewać, tylko mi go brak. Pana Maryana Dolegę byłabym też z przyjemnością widziała, bo to bardzo usłużny człowiek i w mieście się bez niego obejść trudno... a tu mi tak prysnęli.

— Pewnie wkrótce powrócą...

Starszka spuściła głowę jakoś smutnie, Hanna rozglądając się w sprzętach przechadzała po pokoju... Służący wszedł oznajmując jakąś panią, która — nie chciała mu nazwiska powiedzieć.

— Cóż to znowu jest? spytała babcia... to może jaka żebraczka?...

Slużący się rozśmiał.

— A! gdzież tam, proszę jaśnie pani! przyjechała powozem...

Hanna dała znak głową, aby prosił. W tejże chwili ze śmiechem głośnym, wpadła młoda, zwinna, strojna ślicznie, zgrabna i miła jejność, która wprost do kolan babci przypadła...

— A! babcia tu! babcia kochana!... co za szczęście... I całowała ją po rękach! a potem Hannie się rzuciła na szyję ściskając ją, śmiejąc się — podskakując ..

Pomimo tej trzpiotowości nie była to młodziutka dziewczeczka, ale kobiecina, którejby znawca nie dał więcej nad lat dwadzieścia kilka, choć metryka mówiła już o trzydziestu. Jak większa część blondynek, zachowała cudownie świeżość, rysy, ruchy, całą powierzchowność pierwszej młodości, tylko troszeczkę pełniejsze formy zdradzały lata... Wyraz nawet okrągłuchnej twarzyczki, niebieskich oczu, różowych wydatnych ustek, przypominał więcej aniolki mitologiczne niż niewiastę i wdowę, którą była pani Lelia z Ramultów Matuska, siostra pana Sylwana.

— Że babcia tu, to nic dziwnego. bo chora, a ma starego doktora któremu ufa i przyjechała się poradzić, rzekła starościna; — ale że ty tu moja Lelciu .. to dziw nad dziwanami! Co ty tu robisz?

— Ja? moja babciu droga? ja — mam też tu kogoś

co był mi do zdrowia i życia potrzebny—westchnęła spytana.

— Kogóż! co? jak? czy wybierasz się znówu w święty stan...

— A! nie! nie! nie! śmiejąc się odparła Lelia — uchoвай Boże! Czyż pani starościna nie zgaduje o kim mówię?

Spojrzała ukradkiem na Hannę, stojącą przy niej, po której licu w téj chwili przepłynął rumieniec jak błyskawica i znikł.

— A jakże ja to zgadnąć mogę? zawołała starościna.

— Brat mój od kilku lat tu mieszka—rzekła Lelia ciszej, udało się nam wyrobić mu pozwolenie... a nawet więcej niż to, bo zajęcie i pracę. Przyjechałam się z nim zobaczyć.

Starościna zmilezała... Spojrzała na Hannę, spuściła głowę, zamruczała coś niewyraźnego...

— Siadaj, proszę.

Obie z Hanną pomieściły się na kozetce na przeciw fotelu babuni i wzięły za ręce... spoglądając na siebie ciekawie.

— Hanna mi się nie nie zmieniła, tylko jeszcze spowaźniała, mówiła Lelcia, powiedziałabym prawie posmutniała...

— A ty zawsze wyglądasz na trzpiota, którym nie jesteś—dodała Hanna. Ktoby cię nie znał, pomyślałby żeś najszczęśliwsza istota na świecie...

— A nie jestem ani wesołą ani szczęśliwą, ty

wiesz droga Hanno — mówiła Lelia — tylko przed światem wywieszam ten szyld fałszywy, aby pod nim skryć kontrabandę nieuleczonego smutku i zwątpienia...

Po co ludzie mają wiedzieć co się w mojem sercu dzieje, ażeby sobie żarty z niego stroili?

Gdyby nie to — ciągnęła dalej — żem wdowa, żem sama na świecie, że mi lata płyną szeleszcząc skrzydłami nietoperzowemi nad głową, zwiastując smutną starość z kabałą i mopsem na kolanach, gdyby nie mój własny, los brataby już wystarczał na osmuwanie méj duszy...

Na to wspomnienie brata, babunia zrobiła minkę zakłopotaną i smutną. Hanna się znowu zarumieniła poprawiając strój aby ukryć pomieszenie — obie zamilkły. Dopiero po długim milczeniu, starościna szepnęła:

— No — a cóż się z panem Sylwanem dzieje?

— Pracuje. Na tobym ani ja, ani on się pewno nie skarżył, mówiła Lelia — lecz praca to z dnia na dzień, a jutro niepewne... Chociaż dziś się jęć dorobił, jutro stracić ją może, każdego dnia intryga mu grozi wypchnięciem znowu na tulaństwo... Tu przybyszów nie lubią, a panowie Niemcy radziły się ich pozbyć, byle pozór najmniej do pozbycia się znaleźli...

Lelia urwała spuszczać głowę.

— Ale co bardzo dziwne, bardzo — że wypadkiem znalazł się tu razem ze swoim przyrodnim bratem...

excusez du peu, panem hrabią Ramułtem, dodała z przyciskiem.

A! a! z tymi — przerwała starościna, których rodzina pono was nigdy znać nie chciała... No, a jakże są z sobą teraz?

— Doskonale z nim; co się tycze hrabinęj matki, ta Sylwana ignoruje. Bracia są z sobą jak bracia... Herman ma być dobry chłopak... chociaż pieszczotami mamy, wychowaniem i dostatkami w niwecz popsuty... Jedynaczek, ładny chłopiec... a w dwudziestu kilku latach już tak życiem znudzony, tak mu się wszystko przejadło... aż śmieszny.

O! będziecie go tu państwo pewnie mieli, bo Sylwan mi mówił, że wczoraj u niego na wieczerzy był p. Aleksander, gwałtem go porwano i nie puszczo do rana...

— A tak! odezwała staruszka. Oleś jest słaby. zawsze się da wciągnąć.

— Więc to u niego był ojciec? szepnęła Hanna i głowę spuściła.

— Z hrabiną się także pewno panie poznać; co do mnie, mówiła Lelia, cisnąć się tam nie myślę. Nie rada ona Sylwanowi, nie mogę i ja tam bywać. Nie chciałabym jęj ogadywać, bo się to może wydać z mojej strony odwetem złośliwym, ale — całą gębą hrabina galicyjska... Próżna, dumna, mało wykształcona, elegantka, arystokratka... Francuzka i Niemka więcej niż Polka... słowem najnieznośniejsza baba pod słońcem... która mimo swych lat pięćdziesięciu

starannie tynkowanych, jeszczeby się chętnie za mąż wydała, gdyby znalazła pretendenta...

Nie nie robi tylko się stroi... szczebiocze... wieczorem gra, a rozpada się nad swym ukochanym gagatkiem.

Staruszka pogroziła na nosie Lelii.

— Widzisz jaka ty jesteś złośliwa... odmalowałaś ją karykaturalnie — a powinnaś była wiele przebaczyć, choćby dla tego, że syna tak kocha.

— I tak go psuje! dorzuciła Lilia—moja babciu! Nieznośna baba!

Hanna się uśmiechnęła.

— Ale *très comme il faut*?

— Jak najbardziej *comme il faut*. nawet jest damą gwiazdzistego krzyża... i bywała na dworze — rozśmiała się Lelia. Mówi w salonie o wszystkiém o czém się w salonach mówić zwykło, z wielkim talentem, aby się nie wyrwać z niedorzecznością — a nie umie nic... Czytają za nią, uczą się, dowcipkują drudzy; ona gotową naukę, lekturę i dowcip chwytac jak zgotowane potrawy przy obiedzie, i tém żyje.

— Jaka ty jesteś złośliwa! powtórzyła babcia śmiejąc się — pfe! moja Lelciu, powinnabyś się wyspowiadać.

— Cóż potem kiedy jutro znown, gdy śmieszność znajdę, nie wytrzymam, bym się z niéj nie śmiała, zawołała Lelia.

— No! to już ja tego nie chcę... wstając odezwała

się babcia. Jednakże mam zaległe modlitewki, pójde za ciebie Pana Boga przepraszać, a wy z Hanną. coście się tak dawno niewidziały szczebiocząc.

Pocałowała w głowę Lelię.

— Tylko mi Hanny nie psuj!

— Moja babciu, Hanny nikt nie popsuje, prędzěj ona kogo poprawi — odezwiała się Lelia całując w rękę babunię.

Przyjaciółki po wyjściu jēj uściskały się znowu, a Lelia popatrzała na Hannę długo i zawołała:

— Tyś mi jeszcze wyładniała — ale, jakżeś się zrobiła poważna! pfe! udajesz starą! to się nie godzi.

— Czuję się tak... westchnęła Hanna; a chwilami chciałabym być jeszcze starszą, ażeby od uciążliwych obowiązków młodości się uwolnić!

— Moja Hanko! cóż też ty wygadujesz! Jeszczem jak żyję nie słyszała o uciążliwych obowiązkach młodości, musisz mi je wytłómaczyć.

— Tyś tak domyślna, że je odgadniesz—zaśmiała się smutnie Hanna. Trzeba się stroić, chodzić, pokazywać, być wesolą kiedy się niechce, tańcować i bawić się gdy się czuje smutną: nie sąż to uciążliwe obowiązki młodości? Na wsi jeszcze się prędzěj od nich można uwolnić, ale w mieście?

— Na długoście przybyły do miasta?

— Ja nic nie wiem, i babcia nie mówi jak zabawić myśli, jest pełna tajemnic na ten raz... Skarży

się, że chora, że jój tutejszy stary doktor M. naj-
szczęśliwiej pomaga... ale...

Hanna zniżyła głos i spojrzała na Lelię.

— Rozumiem, poczęła przyjaciółka — mają jakieś
projekta dla ciebie — albo chcieliby, żeby się im
nastreczyły.

— Być może mówiła Hanna, ciężę ojcu, ciężę ko-
chanej babci, chcieliby się mnie pozbyć co prędzej...
Rozumiem i wierzę, iż pragną mojego szczęścia —
tylko nie pojmuję. żeby go tak na gościńcu szukać
można...

Spuściwszy głowę, jakiś czas Hanna i Lelia, która
usiłowała nadaremnie coś z jój oczu wyczytać, cho-
dziły po salce... obie dosyć posępne.

— A ty czy długo tu być myślisz? zapytała
Hanna.

— Mówiłam ci, jestem dla brata... pobędę aby się
z nim nacieszyć, a razem muszę mu zapewnić szczątki
majątku, który mi się udało dla niego ocalić. Jak
to potrwa długo, doprawdy oznaczyć nie mogę... ra-
dabym póki wy jesteście, nie wyjechać...

Rozmowa tak przerywana trwała jakoś się nie
klejąc. Hanna była widocznie nie swoja, pytania
na ustach jój zamierały, w ożywionej mowie nagle
coś zdawało się wstrzymywać jój dokończenie. Do-
piero siadłszy na kanapce w kątku, gdy po cichutku
z sobą szeptać zaczęły — pewne, że nikt ich nie do-
słyszysz, ożywiły się i zapomniały tak, że nie postrze-

gły nawet, gdy pan Aleksander wśliznął się cicho i stanął przed niemi.

Zobaczywszy go Lelia z okrzykiem wstała z kanapki. Łysy adonis już pochwycił białą jej rączkę i wyciskał na niej rumianych warg swych pieczęci, oczy i policzki śmiały mu się z radości... Zapomniał nawet owego strachu, z którego się spowiadał przed Dolegą, cały przejęty rozkoszą widzenia swój ślicznej Lelki, do której tak nieszczęśliwą miał słabość. Patrzał jej w oczy, a okrągła twarz jego, po dobrém śniadaniu, pod wrażeniem czaru niewieścigo i dobrego wina, nabierała wyrazu starożytnego Satyra, który Nimfę zastał w kąpieli. Nie spojrział nawet na rumieniącą się za niego Hannę.

— O! jakże, jakże mi pani inoja cudownie wyglądasz! zawołał głośno... co za świeżość! jakie czarujące wdzięki! Jakżem rad, że panią tu widzę!... Śliczności moje!

Lelia śmiała się do rozpuku i to jakoś wielkie zapaly Olesia obracało w żart na szczęście.

— Pani wie, mówił, że ja byłem, jestem i będę do zgonu jej adoratorem...

— Nic o tém nie wiedziałam, śmiejąc się odpowiedziała Lelia — lecz od dziś dnia zapisuję go na listę i wciągam do szeregów... Tylko pomnij pan, że to ciężkie wkłada obowiązki!

Na komplementa te weszła, głos posłyszawszy, babcia.

— O! o! wołała ode drzwi, już Oleś w adoracyach

dla Lelki... A! stary, stary, że też ty się nigdy nie poprawisz!

Odskoczył pan Aleksander trochę zmięszany, biegnąc całować ręce staruszki, która mu dała klapsa.

— Pfe! cóż to za balamut z asana! całą noc na hulance, cały ranek gdzieś lata, a teraz zastaję w umizgach do wdówki. Na pokutęby cię zasadzić należało... Gdzieżeś był?

— Babciu dobrodziejko — zaczął się tłumaczyć Junosza: wczoraj mnie Ramułt pochwycił — dobre jakieś serdeczne chłopczyisko, drzwi na klucz pozamykali i nie było sposobu wyjść.

Babka głową kiwała.

— A tobie w to graj.

— Dziś chodziliśmy z Dolegą po — po sprawunkach... Co się tycze przywitania dawniej naszej sąsiadki, w tém grzechu nie widzę...

Jeszcze się tłumaczył, gdy służący wszedł oznajmując hrabiego Ramulta. Usłyszawszy to nazwisko, Lelia chciała się wycofać z Hanną, babka nie puściła, Oleś wyszedł ku drzwiom na przyjęcie gościa, poprawiając trochę włosów rozpierzchnych po łysinie.

— Ty go znasz? zapytała Hanna Lelii.

— Widziałam go z daleka tylko, choć niby mój brat przyrodni, nie był ciekaw mnie poznać bliżej. Jam też nie śpieszyła. On jest hrabią Ramultem, a ja i Sylwan proste sobie biedaki.

Domawiała tych słów po cichu, gdy wyświeżony i wyelegantowany młodzieniec, w paliowych rękaw-

wieczkach, z głową świeżo od fryzjera, w surduciku leżącym jak ulany, w lakierowanych bucikach, ukazał się w progu z pańską pogardliwie-grzeczną miną, znudzonego swą wielkością człowieka.

Przywitali się po wczorajszej znajomości u wierzery, jak starzy przyjaciele z serdecznym dla wszystkich Olesiem, który natychmiast przedstawił starościni, swę córcę i... nie wiedząc co ma uczynić z Lelią rzekł:

— Państwo zapewne znajomi...

Lelia odwróciła się szybko — Herman począł się jęj przypatrywać zdziwiony, jakby po raz pierwszy z blizka ją zobaczył, i zmieszany rzekł:

— Wszak pani jest siostrą brata Sylwana... a zatem i moją...

Lelia nic nie odpowiedziała.

— Miło mi, że mogę się jęj przedstawiać.

Po tém szybkiém *intermezzo*, począł rozmawiać Herman ze staruszką, ale oczu z siostry przyrodnięj i Hanny nie spuszczał. Hanna ani nań spojrzała prawie.

Spędziwszy kilka chwil około starościnię, widocznie chciał Herman zbliżyć się do młodych pań, lecz Oleś swą niezmierną grzecznością pokrzyżował jego zamiary... Z pierwszą wizytą niepodobna było bawić długo... Ramułt mając zaledwie czas przemówić kilka słów do Hanny, która mu bardzo zimno na nie odpowiedziała... uklonił się i począł żegnać.

— Pani starościna pozwoli, rzekł, aby jęj matka

moja złożyła uszanowanie. Jest to jój gorącym życzeniem...

Wymieniono jeszcze kilka słów grzecznych i na tém skończyła się ceremonialna wizyta. Oleś odprowadzał go aż do sieni i słysząc było długie ich wesołe śmiechy.

— Bardzo ładny chłopak! odezwała się staruszka do Lelii i Hanny; nie prawdaż?

— A no — lalka, tylko już bez rumieńca i świeżości — poczęła wdówka; — żal mi tego braciszka... jakoś mu źle z oczu patrzy, choć ma ładne oczy...

— Trzebaby go widzieć przy wieczerzy w kawalerskiem towarzystwie — przerwał Oleś, który wszedł na te wyrazy; *c'est le convive le plus aimable, le plus animé qu'on puisse imaginer.*

Przymiot ten zwykle mało przez kobiety ceniony, nie podniósł go podobno w ich oczach; spojrzały po sobie i zamilkły.

V.

Byli niegodziwi ludzie którzy utrzymywali, że Viola, ulubienica publiczności, którą obrzucano buketami ilekroć występowała na scenę — przez rodzaj pychy z ubóstwa, mieszkała na poddaszu; bliżej znający ją zaręczali, że nie stawalo jój na lepsze pomieszkanie. Sławni artyści po wielkich stolicach — obsypywani złotem, opływają nietylko w dostatki, ale nawet we wszystko co najśmielsza wyobraźnia wyroić sobie może. Popsute dzieci sławy, częstoć dziwaczyć muszą, aby przesyciwszy się wszystkim, nie umierać z nudów. Tym talentom wybranym wady ich nawet cenią się i opłacają jak najcenniejsze przynioty.

Życie artysty prowincjonalnego teatryku wcale nie jest tak rajskim zawodem; a choć w nim czasem jaśniejsza kłysłnie chwilka — płaci się ona długimi dniami doskwierających niedostatków, walki i boleści. Olbrzymi talent zaledwie podjąć może temu zadaniu nad siły człowiecze. Tu słuchacze są eheiwi nowości, i nie artystycznego wykończenia wymagają, ale samój *fabuły*, bawi ich nie pędzel mistrza,

ale jaskrawo nałożona barwa i wydatne ruchy, a jędrne słowo. Nie obchodzi ich gra i tajemnicza zagadka Hamletowego charakteru... raz tylko chcieliby zobaczyć jakiego takiego Hamleta, jutro Romea, pojutrze Zbójcę Szyllera, Maryę Stuart, a na ostatek Pumpernika, byle nie Hamleta *da capo*. Nie jest to ta publiczność smakoszków, która każdy ruch ocenia i nad każdym lubuje się słowem,—ale parter głodny co klaszcze wyrazistości, śmieje się szczególniej z gestów rubasznych i smakuje w tłustém słowie... Jemu potrzeba coraz coś świeżego a zmiennego. Radby mieć wszystko i za tanie pieniądze... Dla zwabienia go muszą być czerwone afisze, poczwarne tytuły i bodaj, bodaj bębnienie u drzwi z piszczałką. Co mu po takiej komedyi, w której dwie osoby siedzące u stolika, dramat serdeczny w kilku cichych wypowiedzą słowach? On ziewa... jemu trzeba akcyi, a akcyja dla niego to podstawienie nogi i grzmocenie kijem po grzbietach... Od pań wymaga, ażeby się krótko stroiły, bo mu się też coś i nóg aktorek należy, żeby jak najmniej miały wstydu, a jak najwięcej cynizmu... Takie są wymagania znaczniejszej części prowincjonalnych publiczności... Tu teatr jest starą biedą i nędzą, o której jeszcze Scarron pisał... a aktor *clownem*, który dziś zabijać się musi w tragedyi, a jutro grać rolę arlekina.

Jeżeli w téj gromadzie cygańskiej zbieranéj po gościńcach na włóczędzie bez celu, znajdzie się istota

z czuciem, z talentem, z sercem a duchem — cóż ona tu wycierpieć musi!

Jaki był los owéj pięknej Violi, którą niedola wykształciła na wielką artystkę, a ubóstwo nie dało jéj przestąpić kola, po za którym znalazłaby uznanie talentu i nadgrode? Zmuszona dzielić losy towarzyszków, grać na prędce improwizowane role przed improwizowaną też publiką — nagradzana tak, aby z głodu nie umarła — nie umiejąc poniżeniem zyskiwać ulgi, wiodła najtragiczniejsze życie jakie sobie wystawić można. Grała ona od dziecka (ojciec ją rzucił na scenę nieposzanowawszy lat najmłodszych), ocierając się o ludzi zepsutych, zgorzkniałych, przekonanych, że tego co zepsuć się musi prędzej czy później... oszczędzać nie ma potrzeby. Lecz wśród tych wpływów rażących cynizmem, Viola, z obrzydzenia może życia, które się jéj od dziecka tak boleśnie czuć dawało, pozostała wyższą nad to, co ją otaczało, czystą w duszy i godną poszanowania. Śmiano się rubasznie z téj cnoty, którą nazywano rachubą, ale dziewczę ani na szyderstwa, ani na obelgi, ani na słodkie słowa nie zwykło było odpowiadać.

Sama jedna, rzadko komu dając się zbliżyć do siebie—pracowała, instynktem czując, że idzie drogą z której ustąpić nie powinna. Młoda, piękna, nieprzystępna, na scenie artystka niezrównana, wystawiona była na nieustanne napaści wielbicieli z grona współtowarzyszów i widzów, ale jéj to bynajmniej

nie poruszało — dawała im odprawę z krwią chłodną, z pogardą lub obojętnością pańską.

To postępowanie dawnoby ją było mogło wyrzucić z teatru, wśród którego miała nieprzyjaciół zawziętych, ale bez niej teatr obejść się nie mógł. Ona jedna w nim była prawdziwą, namiętną artystką. Najwięksi nieprzyjaciele musieli jęj przyznać ten ogień święty, którego uaprawdę w sobie szukali. Grała z równem przejściem się najmniejsze i największe role, młode i stare... a cudowny instynkt dozwalał jęj zgadywać odcienie, barwy, mimikę, które wywoływały u najobojętniejszych oklaski. Pomimo tych powodzeń, na scenie, uboga truppa nie była w stanie jęj opłacać tak, aby spokojnie sztuce oddać się mogła, a Viola nigdy nie przyjmowała żadnego daru od nikogo, życie więc było tak ciężkie jak wyrobnicy — z tém jeszcze, iż natarczywym miłościom płochęj młodzieży trzeba się było nieustannie oganiać.

Złota młodzież nie pojmowała, nie wierzyła, nie rozumiała, by artystka śmiała być tak surową, tak dumną i tak nielitościwie odpychającą.

Dla zabezpieczenia się od natrętów, sierota przysparnęła do siebie starego suflera z żoną, dwoje biednych a uczciwych ludzi, którzy dla nięj stanowili zasłonę i obronę. Sufler, który niegdyś występował na warszawskiej scenie, o czém bardzo opowiadać lubił, nie tłómacząc się dokładnięj, jakie *intrygi* dalszych go na nięj pozbawiły sukcesów, — oprócz nad-

zwyczajnej zarozumiałości i nieubłaganej krytyki, której się dopuszczał na swych kolegach, nie miał wybitnych wad innych. Zażywał tabakę, perorował, doznawał niekiedy dystrakcyi (nigdy jednak pełniąc swe obowiązki urzędowe), czasami lubił lampkę wina (nigdy kieliszkiem go nie pił), a był przytém bardzo znośnym i swój panienki żarliwym wielbicielem i obrońcą. Jejmość, vulgo pani Pawłowa Szerszeniowa, cicha kobiecina, na palcach chodziła przed nią. Oboje ich zmuszona utrzymywać. Viola ledwie skromną pensyjką sobie starczyła, a że za benefisem nie jeździła nigdy i nie narzucała się sama, nie przynosił on jój też tyle co innym zabiegliwym artystkom.

Razem z Szerszeniami zajmowała Viola trzy izdebki na trzeciém piętrze domu, który nie miał ich więcej, piętro to więc stanowiło rodzaj poddasza. Pokoiki były czyste i porządne, a że okna ich wychodziły na ogród, zielone gałęzie białych topoli i lipy zaglądały aż do nich. Z po za nich było widać mur okalający ogród, i popiętrzone a połamane dachy i kominy, wieżyczki i facjaty kościołów. Z téj strony przynajmniej nie szumiał wiatr i nie było gwaru ulicy; świergot wróbli i śmiganie jaskolek, których gniazda przyklepione były do muru, ożywiały obrazek... jakby z więziennego okienka wyjęty.

Miała tę odwagę Viola nie pożądać ani się popisywać z elegancyą żadną, na którą ją nie stało: sprzęty były nbogie, a białe czyściuchne firanki,

podłoga umyta świeżo i trochę kwiatów stanowiły całą ozdobę. Niegdyś stary kapelmistrz teatralny nauczył ją był trochę grać na fortepianie; lubiła muzykę, i liche klepadełko w kątku służyło jój w rzadkich chwilach wolnych do wygrywania śpiewek, które się jój podobały i starych sonat Mozarta i Haydna, które od pierwszego jeszcze nauczyciela w podarku dostała. Innych nut nie było kupić za co, pilniej się uczyć nie miała kiedy, muzyka była dla niej tylko rozrywką... Trochę książek na półce... a dużo robót ręcznych zalegało po sprzętach. Do ulicy i na scenę trzeba się było ubrać, często strój gdyby go szwaczka robiła zbytby się okazał kosztownym; musiała więc Viola, z pomocą Szerszeniowej w okularach, zszywać, łątać, garniować, aby jako tako pokazać się obok artystek imponujących jój tualetą ofiarowaną przez wielbicieli, usilujących zagasić wdzięk dziewczęcia pięknnością uzyskaną z pomocą sztuki i świecących gałganków... Viola ubierała się bardzo skromnie, z pewną nawet przesadą prostoty a było jój z tém tak do twarzy, że towarzyszy nie mogły jój tego przebaczyć.

Dzień każdy schodził szybko na zajęciach, często i rolę sobie przepisać samąj było potrzeba, i strój obmyślić a uszyć, i wyuczyć się sztuki... i odbyć próbę. Ledwie godzina czasu została na jaką książkę i pobrzdkanie na fortepianiku... Już od roku prawie z pracy i życia biednego zaczęła pokaszliwać, doktor kazał jój pić emską wodę. Chodziła więc

rankami do ogródka, który na jój użytek ofiarował Sylwan... A że on, choć bardzo grzeczny, nie naprzykrzał się jój zalotami i okazywał pełne uszanowania współczucie, z ufnością przyjęła jego ofiarę.

Tego dnia jednak spotkawszy się ze wstrętliwą twarzyczką Hermana, którego nie lubiła i obawiała się bardzo, postanowiła wód już nie pić lub chodzić po izdebce... Smutna wróciła z Szerszeniem do domu, i zamyślona padła na swoją sofkę... podparłszy się na rękę.

— Czego to panienka — rzekł stary zażywając tabakę i przestępując z nogi na nogę, bo miał obyczaj jak zwierzęta co długo na statku płynęły, przerzucać się z jednego boku na drugi i nigdy nie stał spokojnie, — czego bo panienka tak zaraz, mości dobrodzieju, bierze wszystko do serca? Nicze się nie stało... dla tego wodę tam pić można...

— Mój panie Pawle... a cóż ludzie z tego zrobią! zawołała Viola, czyż ty ich nie znasz?

— Ja ich nie znam? mości dobrodzieju! uśmiechnął się wracając do tabakierki Szerszeń. Trzymam o ludziach z nieśmiertelnym mistrzem naszym Szekspirem... mości, mości dobrodzieju, który powiada... ale nie pamiętam gdzie, że nie ma paskudniejszego zwierzęcia nad człowieka. I właśnie dla tego mości dobrodzieju — panienko, nie trzeba na te stworzenia dawać bacności. Ja sobie z tych ludzi *nic nie robię*?

Viola spojrzała i uśmiechnęła się.

— Nie idzie mi o nich panie Pawle, ale o własną spokojność.

Zupukano do drzwi, wszedł Sylwan, który zaraz po odprawieniu Hermana przybiegł się tłómaczyć.

— Daruj mi pani, stało się czego ja nie mogłem przewidzieć, albo raczej nie przewidziałem, bom zawierzył bratu... Pobiegłem dla chorego Hermana po suknie, zakazując mu otwierać gdyby dzwoniło. Ciekawy chłopak nie dotrzymał mi słowa, klnę się pani, że tak było.

Mówił to żywo z widocznym bólem, tak, że Viola wstała z kanapy, i podając mu ręce zawołała równie gorąco :

— Ależ ja pana nie obwiniam, bynajmniej! Już ciż bym go nie posądziła o żadną zdradę... Tylko ponieważ mój nieszczęśliwy los chciał, by mnie wyspiegowano — już mi nie wypada narażać się na złe języki.

— Złe języki, panienko — wtrącił Szerszeń, jak mówi nieśmiertelny nasz Szekspir — nie ukąszą dyamentu.

Mimowolnie z téj cytaty uśmiechnął się Sylwan... Viola téż smutnie rozśmiała się z pocziwego suflera, który tabaki zażył i ręką strzepnął.

— Przyszedłem wytłómaczyć się pani i — sam nie wiem jak — ale pragnąłbym z serca poradzić coś, naprawić — rzekł Sylwan... powinnaś pani wo-
dy pić aby nie kaszlać.

— Będę je piła w pokoju... westchnęła Viola; a pan przygotuj się do tego, że po mieście rozgłoszą o romansie jego ze mną... Ruszyła ramionami. Cóż mi tam! mnie to już nic nie zaszkodzi — a żal mi pana!

— Przecież i mnie szkodzić nie może to, czém-bym chyba miał prawo się pochlubić — odpowiedział Sylwan — ale głównie idzie tu o wody pani.

— A! cóż tam! co tam! mniejsza o to! śmiejąc się poczęła Viola. Dziękuję panu, pan jesteś dobry, serdecznie dobry człowiek... bardzom mu wdzięczna... Pięknemu, cichemu ogródkowi, w którym mnie tak było dobrze chodzić, a panu Pawłowi drzemać — trzeba posłać — *Adio!*... i wrócić do izdebki...

Przygotuj się pan pokutować za swój dobry uczynek...

Sylwan się skłonił tylko. Przyniósł kilka książek, które milcząc położył na stoliku, i chciał się wycofać zaraz, ażeby nie być natrętnym. Jakaś chmurka smutku przesunęła się po czole biednej dziewczyny, niedostrzeżona nikomu — trochę boleśnie jej było, że Sylwan tak od niej się śpieszył, tak prędko uciekał.

— Usiądźże pan trochę i odpocznij, odezwała się rzucając nań wejrzenie nieśmiałe i smutne a łzawe. Mam się pana poradzić o moją rolę...

Każą mi grać pannę Martę w *Pierwszej lepszej* Fredry... Wszak prawda, że w niej trzeba unikać

wszelkiej przesady, bo sama przez się, przez autora już rola ta, tak jest dobitnie nacechowana, że najmniejsze przebranie miary uczyni ją karykaturą?

— Masz pani zupełną słuszość — ale jestże ta rola dla niej stosowna? spytał Sylwan.

— Ja muszę grać co mi każą, odpowiedziało dziewczę... gdy nie ma komu, grywam zgrzybiałe staruszki...

Sylwan ruszył ramionami.

— Grałam na przemiany Anielę i Klarę w *Ślubach panieńskich* Fredry, odezwała się Viola... grałam w nich nawet ciocię... zdaje mi się, że kiedyś każą mi grać któregoś z Huzarów, gdy zabraknie artysty... ale cóż robić? — tak się u nas żyje!

Viola spojrzała na Sylwana całym wzrokiem swęj duszy, ale to, czém sądziła że go pociągnie ku sobie, przeraziło go tylko. Sylwan miał ku niej braterskie, niemal ojcowskie przywiązanie, serce jego było gdzieindziej. Po raz pierwszy postrzegł, że w biednej sierocie mógł obejściem przyjacielskiem rozbudzić więcej niż trochę wdzięczności. Tak było w istocie. Viola dotąd nie mogła pokochać nikogo ze stręczących się jej kochanków płochych i śmiesznych; ten młody człowiek poważny, nie prawiący jej słodyczy, nie ubiegający się o serce, pomagający jej skrycie a skromnie i unikający nawet podziękowania — pierwszy rozbudził serce uśpione. Takiego jakiegoś cichego, umiającego kochać, zasługującego na ufność marzyła zawsze dla siebie kochanka...

Znalazła w Sylwanie ideał i serce powiedziało sobie: Jego będę lub niczyją...

Młodość, sieroctwo, rodzaj życia rozbudzający uczucie, dopominały się od niej, aby kochała. Któż wie czy nie znalazłszy tego człowieka nie byłaby gorszego uczyniła wyboru? Wychowana w tej swobodzie obyczajów, na którą od dzieciństwa patrzyła, nie widziała w tém nic zdrożnego, że nie oglądając się na przyszłość, rzucała serce swe bez rachuby... wybranemu. W myśli swój należała już do niego. Sylwana chłód i obojętność zwiększały tylko uczucie... Cierpiała Viola — a samo to cierpienie było dla niej słodkie... mówiła sobie, że on ją ukochać musi, że chłód i obojętność udaje, bo nie chce zatruć jej przyszłości... ale ona mu ją złoży w ofierze i zmusi do przyjęcia... Giniemy wszystkie z nędzy, z próżności, nie dawszy serca, sprzedane głodem... czemużbym ja dla miłości méj zginąć nie miała?

Viola znajdowała to naturalném, konieczném, i tworzyła sobie dramat ze swego losu... Sylwan aż do tego poranku nie miał najmniejszego przeczucia, że serce jej drgnęło dla niego. Drżące jej ręce, łzawe wejrzenie, głos wzruszony po raz pierwszy dały mu poznać prawdę, której się wahał uwierzyć.

Zbroiło go przeciw temu czarowi miłości, dawne przywiązanie, zepchnięte w głąb serca i zapelniające je całe — a mimo to uląkł się szalu... uczuł słabym — postanowił jej unikać.

Byli sami, bo pan Paweł Szerszeń, usunął się z wolna do drugiej izby. Viola uśmiechała mu się z naiwnością dziecka, które nie zna niebezpieczeństwa.. Sylwan popatrzał na nią chwilę nie wiedział już co ma mówić...

— Wody więc pani pić będziesz?

— Pan mi każeś, ja go prędzej posłucham niż doktora... Dobrze... Gdzie mam je pić? U pana w ogródku nie można... szpiegowanoby mnie na drodze... zatem u mnie w pokoju... Ale teraz, dodała cicho — bardzo cicho — ja już pana nie zobaczę... W teatrze! tyle ludzi, tam jabym nie widziała choć przyjdiesz mi się z dala ukłonić... w ogródku się już nie zobaczymy... a do mnie, nie śmiem prosić...

— Owszem, kochana pani, rzekł Sylwan ujęty jej prostotą i szczerością: jeśli pani w czém użytecznym być mogę, przyjdę, dowiem się, dostanę książek... Znajdziesz pani we mnie dobrego brata, nie zaś namiętnego... wielbiciela!

Viola zarumieniła się mocno.

— Pan wiesz przecie, jak mi oni są wstrętni! bądź mi czém byłeś dotąd — ale — nie opuszczaj sieroty...

Zmieszana i prawie nie wiedząc co powiedziała, wyszepnęła ostatnie słowa, podała mu ręce obie, i gdy Sylwan jedną z nich ucałował żegnając, żywo rzuciła się na kanapę... Lzy miała w oczach — Sylwan nie widział ich może, odszedł wszakże poruszony mocno i smutny...

Wysiedziawszy tak dość długo na kanapie i nie widząc nawet iż oboje państwo Szerszeniowie podglądali ją potrząsając głowami, różne czyniąc wnioski nad jej zadumaniem i łzami, — podniosła się Viola nagle, schwyciła robotę, zawołała Pawłową i wzięła się żywo do przerabiania sukienki, która wieczorem była potrzebna.

Szerszeń siadł w przedpokoju przy stolicku u drzwi i odczytywał rolę, którą miał podpowiadać...

Nie upłynęło pół godziny, gdy żywy bieg po wschodach dał się słyszeć i drzwi się otwarły szeroko. Stał w nich z ogromnym bukietem w ręku Herman...

Nie pierwszy to raz trafiał się natręt na progu. Paweł Szerszeń był dla nich nieubłagany i żadną w świecie ofiarą przekupić go nie było podobna... Wyprawiał nielitościwie tych młodzików nie dając im progu drugiego pokoju przestąpić; tym razem napad był tak niespodziany, jak nagły, tak strategicznie i ze znajomością miejscowości obrachowany, że nim Szerszeń pospieszył rozstawić ręce i drogę zaprzec, Herman spojrzawszy tylko nań, rzucił się do drzwi i wprost szturmem do pokoju Violi. Stary leciał za nim próżno usiłując go pochwycić za poły... Zręczny napastnik, nie zwracając się nawet ku niemu, choć za sobą słyszał pogoń, prędzej wbiegł i stanął przed Violą, niż Paweł pospieszył drzwi przed nim zamknąć...

Dziewczę razem z Pawłową w okularach, robiło około sukienki... nastraszyło się stukiem, podniosło oczy — wyelegantowany Herman, z uśmiechem na ustach, stał w postawie pokornej, wyciągając bukiet ku niéj.

— Pozwoli pani złożyć u stóp swych w ofierze...

Aktorka odzyskała zwykłą zimną krew i akcent szyderski.

— Nie, panie — nie pozwolę! rzekła chłodno... a najprzód spytam, czy się tak godzi nachodzić moje spokojne mieszkanie?... Jakkolwiek biedna i nie nie znacząca... w oczach pana, mam prawo jak każdy do poszanowania mego progu, bom w tém mieszkaniu panią. Raczysz pan...

Wskazała drzwi...

Herman się z gniewu zaczerwienił.

— Gościłą pani jesteś, ale tylko dla wybranych gości...

— Tak, być może, odparła Viola: nikt mi nie ma prawa rozkazywać, przyjmuję — kogo mi się podobą...

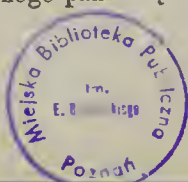
— A ja nie mam téj łaski...

— Nie — panie! zimno mówiła Viola.

— Dla czego?

— Dla czegobym się miała mu tłumaczyć?

— Choćby dla tego, z gniewem dodał Herman, zem widział panią z rana... i mogę głosić przed całym światem... kogo pani swą łaską zaszczycaasz...



Dziewczę rzuciło nagle robotę, wstało wyprostowane, groźne, z zachmurzoną brwią.

— Możesz pan głosić co mu się podoba! zawołała podniesionym głosem — nie wstydzę się tego co czynię. Ta groźba tak pana pięknie maluje, iż się dziwić nie będziesz, gdy mu powiem, że zasłużyłeś na moją wzdarcę...

Załamala ręce...

— Za kogoż mnie masz, zawołała podstępując krok ku niemu — za kobietę, która gdyby jednemu dała serce... trzymałaby je otwarte dla wszystkich?... Precz! precz!

Tak gwałtowne były te słowa, ruch i twarz tak groźne się stały, że Herman uląkł się i pożałował swojej lekkomyślności. Bukiet wypadł mu z rąk.

— Daruj mi pani — odezwał się cicho, — bądź lepszą i wspaniałomyślniejszą niż ja byłem... Miłość może przyprowadzić do szaleń...

Viola opamiętała się, ręce jej opadły, poszła do okna płacząc i powtarzając: — Miłość! to ma być miłość!

Herman zawstydzony, wzburzony, upokorzony, wymknął się po cichu, a Szerszeń drzwi za nim na klucz spuścił.

VI.

Dom hrabiny Anastazyi z Borzechowskich Ramułtowej odznaczał się przepychem i wystawnością, jaka się dziś rzadko spotyka. Po największych domach skromniejsze są już daleko przyjęcia, i życie powszednie nie kusi się o nieustanny okaz pańskości i dostatku... Przy wielkich uroczystościach występ bywa i wysilek wielki, na codzień oszczędza się każdy. Pani hrabina Ramułtowa na tém zasa-
dzała pańskie utrzymanie domu, by u niej codziennie przepych był jednaki. Liberya paradna nie zrzucała się nigdy: zastawa stołu choćby Jaśnie Wielmożna hrabina raczyła obiadować sama jedna, była zawsze bukietami i srebrami strojna; kamerdyner od ósméj rano wdziewał czarny frak i krawat biały... Cereino-
niał dworu nigdy się nie zmieniał... Było to naśladowanie etykiety monarchicznój i dworów książę-
cych... Do godziny pierwszój hrabina nie była dla nikogo oprócz syna widzialna, wiek czynił niezbę-
dném przygotowanie się przed wystąpieniem na świat. Strój do obiadu był inny, inny na wieczór w domu lub wizyty... Dwa razy w tydzień były

wieczory, w które przyjmowała znajomych... w inne dni schodziło się mniejsze kółko poufale przyja- ciół domu na małego wiseczka, bez którego żyć nie mogła.

Wedle przepisów Herman obowiązany był stawić się na dzień dobry do śniadania, potem na obiad jeśli się od niego nie uwolnił z rana o tem oznaj- mując — nareszcie wieczorem powinien asystować matce. Bardzo jednak często pod różnemi pozorami wyłamywał się z tego, a choć hrabina niepokoiła się, gniewała, posyłała, umiał ją potem uściskami i całusami przebłagać...

Mieszkanie Hermana przytykało do apartamen- tów hrabiny, ale było od nich zabarykadowane sza- fą, gdyż u niego zbierało się czasem tak szumne i wrzaskliwe towarzystwo, że przez wszystkie salony aż na drugi koniec domu słychać je było.

Od mentorów i guwernerów uwolnił się młodzie- niec oddawna, nadzór zaś pieczołowitej matki ogra- niczał się na posyłaniu, dowiadywaniu się o niego. westchnieniach, gderaniu i całusach. Herman robił co chciał, a pieniędzy brał ile tylko mu się wziąć udało...

Przy hrabinie bawiła daleka jej kuzynka, panna Złocińska, mająca lat około trzydziestu, niegdyś bardzo ładna, dziś jeszcze wcale przystojna... przez którą Herman, gdy sam nie mógł zręcznie wyrobić co u matki, umiał sobie przygotować drogi i wyzy- skać co zamarzył. Panna Złocińska miała słabość

do młodego chłopca, który czasem za to poobiednie godziny spędzał u niej, paląc cygaro, na samotnej gawędzie...

Oprócz panny Złocińskiej, zwykle towarzystwo wieczorne składał jeden ksiądz kanonik, przez grzeczność tytułowany prałatem, który doskonale grał w wista i umiał zręcznie prowadzić rozmowę o niczem... nie zaczepiając o żaden przedmiot drażliwy — jeden stary doktor, człek zabawny, dowcipujący nie szkodliwie, tak, że bawił wszystkich a nikogo nigdy nie zranił — i prezes, którego tytuł starożytny niewiadomo do jakiej odnosił się prezydentury. Prezes miał dwie wstążki orderowe u fraka (miał je i u paltota) — minę urzędową, twarz wygoloną starannie do włoska... Uchodził za polityka... ale nie mówił nigdy nic, chrząkał w najgorszym razie, w innych usta podnosił, brwi ściągał, głową trząsk, ramionami ruszał, a z tych znaków ludzie go znali, wyciągali wnioski najpewniejsze co do przyszłej konjunktury polityki europejskiej.

Jest rzeczą pewną, że gdy miała nastąpić wojna z Austryą, prezes ilekroć mówiono o zgodzie, kładł rękę za kołnierz, tarł szyję i chrząkał... Nie było to bez znaczenia. Później doktor i kanonik przypomniaли to sobie, a prezes się śmiał, ale ani przeczył ani potwierdzał że był prorokiem... Hrabina go za takiego uważała.

Wieczorem tego dnia, gdy Herman dostał tak srogą odprawę od Violi, było zwykle przyjęcie

wszystkich znajomych, raz na zawsze zapraszanych. Matka wymagała od syna szczególniej w te dni, aby się u niéj w salonie koniecznie znajdował. Herman nudził się, ale w tém woli matki posłusznym być musiał. Zapraszał tylko zwykle kilku z młodzieży, z którymi wycofywał się do bocznego saloniku, i tam małą grą zabawiali się jak mogli najciszej.

Przez czas swojego pobytu hrabina koło znajomości umiała sobie wyrobić; bywali mniej więcej wszyscy do zachowawczego obozu rachujący się, i co tylko lepszym towarzystwem się zwało. Niektórzy nawet po dobrej wieczery nazywali ją szanowną matroną polską...

Schodzono się na te wieczory po godzinie ósméj, ale punkt o ósméj hrabina już siedziała na kanapie, w miejscu, na którym hołdy zwykła była przyjmować.

Spojrzymy na nią, dopóki nie zaczną schodzić się goście...

Przy świecach z dala — pomimo otyłości, hrabina wyglądała dosyć świeżo. Na szerokich ramionach osadzona mała główka z rysami drobnymi i regularnymi, usteczka zeszurowane, nosek spiczasty, oczy wielkie czarne, wyraz twarzy melancholiczny, czyniły wrażenie miłe... Rączkę miała białą, pulchną, i nadzwyczaj starannie ntrzymowaną. Zdobiły ją kosztowne pierścienie, a do stroju téż nigdy nie brakło łańcuchów, bransolet i świecących jubilerszczyzny.

Złotą lornetkę prawie ciągle musiała trzymać w ręku, gdyż wzrok miała osłabiony... Jakkolwiek starzy partnerowie do wista byli jej mili, hrabina też lubiła młodzież i mężczyzn średniego wieku szczęśliwie zachowanych, niekiedy posuwała uprzejmość dla nich do tego stopnia, że całemi godzinami bawiła ich rozmową, wdzięcznemi ruchami ręki popieraną.

O ósmej z wybicciem zegara weszła w długiej czarnej sukni hrabina, wprost na swe miejsce do kanapy dążąc. Zwykle panna Złocińska, brunetka z żywemi czarnemi oczyma i ślicznemi zębami, towarzyszyła jej tu, dopóki się goście schodzić nie zaczęli... Herman powinien się być stawić na godzinę ósmą we fraku, rzadko jednak bywał punktualnym.

Tego dnia wyjątkowo stawił się na porę i siadł nawet przy matce... obok panny Złocińskiej, która się jego bladości z pewnym wyrazem złośliwości przypatrywała.

Matka go wzięła za rękę i pociągnęła ku sobie.

— *Mon cher*, coś ty dziś blado wyglądasz... po tój wycieczce na wieś...

Złocińska się uśmiechnęła.

— A chciałabym, mówiła matrona, abys właśnie mi jak najlepiej wyglądał. *J'ai des projets sur vous*. Schyliła mu się do ucha.

— Panna Hanna Junoszanka...

Spojrzała: Herman oczy trzymał spuszczone.

— Widziałem ją, rzekł sucho.

— A cóż?

— A! bardzo ładna panna... ale—z góry na świat patrzy...

— Na świat, bardzo dobrze—byle nie na ciebie... inówiła matrona. Panna Hanna pochodzi z pięknej rodziny, a po babce staroście i ojcu weźmie kilka milionów...

— Jeśli się ojciec nie ożeni — dodał Herman.

— Ale cóż znowu? *il n'est plus jeune*.

— A jemu zdaje się, że nie stary...

— Sam macierzysty majątek ogromny i panienkę bardzo chwałą.

Herman zamilkł.

— Proszę cię, miej to na uwadze...

Nadchodzący pan Paprzyca, obywatel wiejski, człowiek wielce poważny, przerwał rozmowę. Panna Złocińska, widząc się niekoniecznie potrzebną przy kanapie, wyśliznęła się ku oknom, gdzie wkrótce potem Herman poszedł jęj coś szepnąć.

Paprzyca młody jeszcze... przystojny mężczyzna, siadł zaraz przy hrabinie, która się nieco przysunęła do niego... Wiedziała z reputacyi, że to był człowiek którego posłuchać warto... Dla całej okolicy stanowił on wyrocznię, słynał z rozumu, drudzy mówili z przebiegłości. Sama twarz niewiele była obiecująca. ale chłodny rozsadek i zimną rachubę dobrze z niej widać było. Cechą główną charakteru i przekonań szanownego Paprzycy było rachowanie się

z rzeczywistością — w marzenia i sentymentalizmy nie wdawał się żadne, szedł drogą jaką mu okoliczności wyznaczały, posłuszny, porządny, regularny, spokojny, nienawidził opozycji — kłaniał się sile... zresztą jako żołnierz należący do chorągwi i obozu, tam kroczył gdzie chorągiew niesiono, nie pytając żadnych własnych przekonań. Nieprzyjaciół liberalizmu i demokracji — występował przeciw nim otwarcie... Dla służących pod swoją chorągwią był wyrozumiały aż do pobłażliwości, dla przeciwników nieubłagany i zjadły.

Rozmowa z Paprzycą nie mogła się zawiązać o czém inném, tylko albo o Włoszech, bo ztamtąd powracał, lub o interesach pieniężnych... bankowych i fabrycznych — hrabina więc zagadnęła o wrażenia z podróży, i byłaby się ciekawych dowiedziała rzeczy, gdyby nie nadszedł pan Lubicz...

Lubicz jeszcze bardziej przypadł do smaku hrabinie, niż sztywny i imponujący Paprzyca. Był to wprawdzie bardzo ubogi chłopak, którego nawet pochodzenie szlacheckie mimo nazwiska herbownego, ulegało pewnym wątpliwościom... ale wyglądał świeżo, prawie przystojny, był wesół, zabawny, i okazywał dla pani domu szczególne uwielbienie... Wiedziała, iż Lubicz oprócz stosunków znakomitych, nie miał nic, że potrzebował małżeństwem wniknąć do społeczności, do której się wcisnął pochlebstwem i uniżonością a chętnemi służby... mogła więc pomyśleć sobie, że gotów się był — nawet ożenić,

Lubicza przyjmowano w najpierwszych salonach na mocy głoszonych przezeń zasad zachowawczych, niezmiernéj jego religijności aż do fanatyzmu posuniętéj i bezwzględne go zaprzędania się w poddaństwo stronnictwa, o którego protekcyę się ubiegał.

Z ubogiego chłopca, podejrzanego szlachectwa, z pomocą kilku śmiałych wystąpień i łatwéj szermierki językowej, w którój sensu wiele nie było, ale blagi podostatkiem, Lubicz dostał się do salonów arystokratycznych, i uważany był za obrońcę prawdy, na którego można już było rachować. Popierano go silnie i obiecywano mu wiele, nie zważając na to, że życie jego prywatne wiele zostawiało do życzenia. Lubicz był namiętnym graczem, pokątnym wielbicielem płci pięknej, do hulanki stawał chętnie. gotów był weksel sfalszować, ale nazajutrz szedł na sumnę i widziano go w pierwszej ławce na nieszpórach... W potrzebie podpisałby artykuł do gazety choćby najbrzydszy. W towarzystwie był to człek przyjemny, z ogromną przytomnością umysłu, z heroiczną błagą i kłamstwem tak łatwém i zręczném, jakby go nic a nic nie kosztowało.

Nikt tendencyjnych potwarzy na przeciwników nie roznosił zręczniéj, nie rozsypywał na dobre grunta gdzie najlepiej rosnąć mogły... nie zaostrzał i nie zatruwał z większym kunsztem nad niego... Starzy wodzowie ściskali go ze łzami jak ukochaną dziecinę wielkich nadziei...

Lubicz nie był bardzo ładny, ale spryt nadawał

jego fizyonomii pewien wyraz, który się mógł podobać. Ubierał się starannie i perfumował umiejętnie, tak, że nie można było powiedzieć nigdy czém śmierdział. *Au moral et au physique* — zażywał tego środka. Czarne oczy gospodyni ze szczególną czułością zwróciły się ku niemu; wskazała mu miejsce blisko przy sobie. Lubicz z uśmiechem wdzięcznym i nadszkakiwaniem bijącym w oczy przysiadł się do jejmości.

— Patrz-no panie Hermanie. szepnęła Złocińska do niego: jak Lubicz hrabinę balamuci.

— Nie mam obawy, ziewnął syn — Lubicz lubi dobre obiady... to cały sekret...

— Ej! ej! dodała Złocińska — żeby nie pomyślał o czémś więcej...

— Nie, odparł Herman — innie się będzie bał — jakby mnie nie było, nie ręczę...

Już zaczęli inni goście przybywać, wszedł znajomy nam już Dołęga, śmiejąc się od progu i klepiąc poufale po ramionach kogo spotkał, potem prezes milczący... powitany z uszanowaniem, prałat i doktor razem, na ostatek pauowie Kuczaba i Ostoja...

Dwaj ostatni zasługują, aby im parę wierszy poświęcić, należą bowiem do typów epoki i kraju w którym liczną mają rodzinę, mniej więcej do siebie podobnych.

Pan Kuczaba nie stary człowiek, z dobrej i majątniej rodziny pochodzący — acz liczył się do towarzystwa, kółka i obozu, który w salonie był reprezento-

wany, acz gardłował za jego zasadami, nie zupełnie tak był pewnym i nie zawsze tak gorliwym. W innych towarzystwach wdziawał przekonania mniej wybitne i stawał na jakiejś linii pośredniej, — a czasem, mówiono, że śmiał się przeciw niektórym osobistościom za daleko rzeczy posuwającym, odzywać; lubił popularność i to go gubiło. Gdy szala opinii przechyla się na stronę przeciwną, Kuczaba utrzymywał, że właśnie te zawsze przekonania głosił które zwyciężały; gdy zwrot nowy nastąpił, nikt krzykliwiej nie twierdził nad niego, że doń pomaagał i dlań tylko pracował.

— Nigdy mnie ludzie nie rozumieją, — mówił gdy go obwiniano. Zdaje się, że on sam siebie nie rozumiał też nigdy. Wielka obawa zdepopularyzowania się pchała go ciągle z jednego miejsca na drugie... zawsze tak aby na pierwsze mógł wrócić. W stosunkach z ludźmi posłuszny był swojemu systemowi, ze wszystkimi dobrze, nieźle, znośnie, tak żeby w przypadku mógł nagle stać się dla nich serdecznym. Wymowny, obfity w słowa, nie zawsze jasny, ale zawsze krzykliwy — słynął Kuczaba z tej łatwości prawienia i mało było posiedzeń, obiadów, zgromadzeń na którychby głosu nie zebrał.

Uśmiechnięty do wszystkich, przyjaciel każdego serdeczny, miał ten talent, że od czynnego okazania swych uczuć zawsze się uwolnić potrafił.

Wejście jego do salonu szmerem przyjemnym dla jego serca powitane zostało.

Towarzysz jego Ostoja... był małym człowieczkiem zamaszystego kroju... Znać w nim było ową setną owieczkę nawróconą, która czas długi błąkała się po manowcach... W istocie Ostoja dawniej do najczerniejszych demokratów należał, liberalizm jego przechodził gwałtownością znane i praktykowane w Polsce, nie było spisku w któryby się nie wmieszał, kozy, w którejby nie siedział—aż nareszcie przyszła godzina opamiętania, skruchy, i Ostoja rzekł głośno:

— Już mi ta polakerya obrzydła! mam jój póty. To do niczego nie prowadzi. Basta...

Przyszedł tedy z pokorą do ludzi dobrze myślących... Nie zaraz ani łatwo go przyjęto, wzięto na próbę i dopiero po pewnym przeciągu czasu otrzymał absolucyę zupełną. Ale też zasłużył na nią takiem zadusycuczynieniem, iż stał się chlubą tych, z którymi wprzód wojował. Jak dawniej jaskrawo był czerwony, tak się teraz stał skrajnie białym i konserwatystą... A że wtajemniczony był niegdyś we wszystkie arkana demokracji i wszystkich jój baków był czynnym uczestnikiem, miał pole do popisu, drwiąc z tego co wczoraj tak gorąco popierał.

Towarzystwo tak szczęśliwie z harmonijnych złożone żywiołów, wesolo rozpoczęło wieczór od gawędki o sprawach i bezprawiach wieku, o jego niegodziwościach i zepsuciu. Godzili się wszyscy na to, że nigdy jeszcze tak źle nie było na świecie i nigdy społeczeństwu nie zagrażały takie kataklizmy jak dzisiaj.

— A wszystko to—zawołał Lubicz, który perorować lubił—z tój fałszywój i zgubnój powstało zasady, że ludzkość ulega prawu postępu. Gdzież ten postęp? jaki? Stary porządek społeczny oparty na tradycjach, na bożém objawieniu, na wiekuistém doświadczeniu obalono, a nikt nowego zbudować nie umie. Negacya stworzyła ruinę i zniszczenie tylko, niepokój w umysłach—chaos w pojęciach—ten miły stan, wśród którego żyć mamy niezrównane szczęście!

— Brawo! brawo! poklasnął Paprzyca; złotemi literami drukowaćby to należało na pożytek powszechny. Nikt zdrowiej nie pojmuje zadania nad pana—postęp i fałszywa jego idea przyczyną wszystkiego złego... Dla postępu tego zaczęto szukać formuł nowych, miedrkować, obalać, wyzwalać, oświecać... stworzono ideał ludowy, massy odciągnięto od pracy... zasypiano nas proletaryatami bez końca... żadnej powagi... żadnego rządu, żadnej władzy z góry, zdetronizowano nawet Boga, a posadzono na jego miejscu roznm ludzki, który od grana opium w szal się obraca...

U starój szlachty polskiój był zwyczaj pić wódkę przed obiadem; tu zaś w salonie hrabiny i innych tegoż wyznania rozpoczynano zawsze wieczorną biesiadę od podobnych drastycznych deklamacyi, któremi uspokoiwszy sumienie (załawszy robaka), siadano potem do wista i do obmowy bliźniego. Temat to niewyczerpany, waryacye z niego bardzo łatwo udatne się tworzą... Paprzyca więc i Lubicz przy

towarzyszeniu Kuczaby odegrali koncert na konserwatywnie, a Lubicz go dokończył, następującym wykrzykiem:

— Oświecanie ludu w modzie! oświecanie! Nie są im w stanie dać więcej oświaty nad to, żeby poznali, iż są siłą i że społeczeństwo obalić mogą! Niedouczony mędrak łaknąć będzie wszystkiego, i rzuci się na wszystko! Oświecanie ludu chyba dla tego, by nim nikt rządzić potem nie mógł, i panowanie nieładu wprowadzić...

Był właśnie w tém miejscu perory, gdy nowy gość wszedł po cichu.

Był to zaproszony niepotrzebnie a bez złej myśli pan Sylwan Ramułt, którego Herman tu wciągnął. Na widok jego zamilkły usta i zgroza odinalowała się na twarzach. Hrabina mimo różu i bielidła zarumienila się z niezadowolenia. oddając mu jego ukłon bardzo nieznaczniem skinieniem głowy; inni przytomni nadęli się, usta powykrzywiali i zaczęli ustępować jak od zapowietrzonego.

Sylwan wcale się nie zdał zmieszany tém przyjęciem, wytrzymał je mężnie, spokojnie i poszedł powitać brata, który teraz dopiero spostrzegł jak niepotrzebnie wprowadził tu radykała znanego ze swych zasad, w koło, które się ze wstydem od niego odwracało. Matka domysławiając się, że była winną tę przykrość Hermanowi, z ukosa rzuciła mu okiem zagniewaniem... Mileczenie głucho, ciężkie, przykre, rozeszło się aż do ostatnich kończyn sali. Sylwan

doskonale zrozumiał, iż on był przyczyną tego wrażenia; skinął na brata i wyszedł z nim razem do sąsiedniego pokoju.

Przez jakiś czas jeszcze milczano, w końcu Paprzyca przysunął się z krzesłem do gospodyni.

— Pani hrabino dobrodziejko, zawołał zniżając głos — z jakimże zdumieniem spotykam tu tę figurę w jęj salonie! Czyż być może ażebyś hrabina przyjmowała u siebie ludzi tak skrajnie przeciwnych swoim przekonaniom, jak ten pan inżynier?

— Ale to jest *jakiś* przyrodni brat mojego Hermana — odparła hrabina — pojmuje pan...

— Święte są węzły rodzinne! lecz gdzie zagraża zaraza moralna, gdzie idzie o ratowanie duszy! Czy się pani hrabina nie lęka wpływu tego szkodliwego, zdolnego a upartego człowieka na młodociany umysł pana Hermana?

— A! ja to wszystko wiem, szanowny panie, i gryzę się a martwię, mówiła hrabina wdychając — ale jakże się go pozbyć?

Paprzyca się zamyślił.

— Położenie jest wyjątkowe — rzekł; a jednak przestrzedzby należało Hermana... nakazać mu, by nikał...

Tu schylił się do ucha hrabiny.

— Mam podejrzenie, że hrabiego wprowadza w złe towarzystwa, zapoznaje z aktorkami, ułatwia widywanie się z niemi...

Hrabina ręce ze zgrozą największa zalamiała...

— O, mój Boże ! odezwała się, byćżeby to mogło ? mój Herman który dotąd był tak czystym, tak niezepsutym i niewinnym !

Lubicz siedzący obok, ażeby się nie rozśmiać, zrobił minę nadzwyczaj surową... Hrabiua oczy w niebo podniosła.

Gdy w salonie cichła ta rozmowa rozpoczyna jak preludyum nową i gwarniejszą, w drugim pokoju Herman przechadza się z Sylwanem.

— Powiedz mi, spytał Herman, coś ty im zrobił że tu na widok twój nosy krzywią ?

— Ja ! im ? rozśmiał się Sylwan — ale ja z nimi niemam nigdy nic do czynienia, żadnego stosunku, jakżebym im co mógł uczynić ? Widać moje przekonanie sprzeciwia się ich opiniom, i dla tego jestem dla nich niewygodnym gościem...

— Aż mnie śmiech brał, gdym zobaczył wejście Paprzycy, Kuczaby i Lubicza, jakim cię powitali...

— Po cożes mi tu przyjść kazał ?

— A ! rzekł Herman ściskając go — na umyślnie — ja tych trutniów cierpieć nie mogę. I wiesz ? dodał — to szczególna rzecz, większa część naszej demokracji tak mi jest wstrętliwa jak oni — każde w swoim rodzaju, ale to i tamto po większej części — lisi kome-dyanci.

Sylwan popatrzał nań — Herman poziewał.

— E ! co mi tam odezwał się — jedno i drugie niewiele warto ! klerykały i jezuici szalbierze, a twoi ludowi adwokaci i demokraci — szarlatany !

Sylwan zdumiony bardzo, stanął patrząc mu w oczy.

— Wiesz, rzekł, nie spodziewałem się, żebyś tak głęboko wszedł w naturę rzeczy.

— Głęboko? ja? głęboko? ruszył ramionami Herman. Z powierzchowności sędzę tylko i tych świętoszków, którzy żegnając się grzeszą z westchnieniami, i tych deklamatorów, co bohaterami być obiecują jutro, a dziś o swojej tylko pamiętają kieszeni. Ale — dodał Herman — wiesz kochany Sylwanie? wolę jeszcze świętoszków, bo mają formy, chodzą w rękawiczkach i nie pluja na podłogę.

Sylwan śmiał się, lecz gorzko...

— Ja ci powiem, że zarówno nie cierpię szalbierzy w sutannie jak szarlatanów w stosowanych kape-luszach z piórami; lecz szarlatan śmiesz i na nim każdy się pozna, a świętoszek jest chodzącym fałszem i kłamstwem... zatem najpodlejszą istotą.

— Wierz mi — *ambo meliores!* dodał Herman... a nam wolno się śmiać z obojga... Przepraszam cię tylko bardzo że nieopatrznością moją naraził cię na chwilową nieprzyjemność... Wiedziałem, że tobie nie będzie zbyt przykro, boś wyższy nad nieprzyjemność, a im popsulem humor na długo...

— Bylebyś, nieznosny figlarzu, rzekł Sylwan, i sobie tém niezaszkodził. Szukasz zabawki nawet w tych rzeczach które wcale są niezabawne.

— Muszę, zamknął drugi — bo się okrutnie nudzę...

Tu z werwą komiczną poczał bijąc się w piersi

opisywać Herman, jaką niedorzeczność popełnił idąc z bukietem do Violi.

Sylwan się oburzył.

— Nie gniewaj się bracie! na Boga! nie gniewaj! popełniłem niegodziwe szaleństwo, ale to będzie ostatniem. Odtąd po policzku jaki mi dała, — szanuję ją.

— Jakto! po policzku? krzyknął Sylwan.

— A! *au moral!* kazala mi iść precz za drzwi.

Westchnął Herman i dodał:

— Tyś szczęśliwy, pracujesz, jesteś spokojny, — w zgodzie z sobą; ja... rzucam się jak zwierz w klatce... wielce przebaczyć mi można... Niepowinieneś nigdy się gniewać na mnie, ale mną kierować i prowadzić.

To dobre słowo rozbroiło Sylwana.

Nie dano im się wszakże rozmówić dłużej, gdyż Dolega pod rękę z Kuczabą weszli śmiejąc się do tego pokoju, i ogólniejsza wszczęła się rozmowa...

VII.

W małej salce Sylwana, której drzwi na ogród były otwarte, siedziała w fotelu Lelia... przeglądając album z fotografiami... Sylwan przechadzał się zamysłony...

— Mnie się zdaje — mówiła siostra — iż najprostsza grzeczność każe ci, bądź co bądź złożyć uszanowanie staroście, i oddać wizytę panu Aleksandrowi!... *C'est de rigueur!*

— Nie przeczę! a jednak — będę otwarty z tobą — waham się — dla wielu powodów... Na co mam w sobie przygasły ogień odżywiać? po co niepokoić pana Aleksandra? Na co babci robić przykrość, a biednej Hannie już nie wiem kłopot czy — niepokój?

— Ty łudzisz się kochana Lelio — tobie się chwilami zdawać może, iż cuda się dzieją na świecie, że pan Aleksander może się dać przebłagać i spojrzeć na mnie lepszym okiem... że — nie mówmy o tém.

— Owszem, mówmy o tém, śmiało podchwyciła Lelia — ty kochasz Hannę i Hanna ciebie kocha... to założenie.

— Ale nie trzeba nigdy z fałszywego założenia

wychodzić, odparł Sylwan. Że ja kocham ją, to nie ulega wątpliwości, a żeby ona mnie kochać miała jest więcej niż wątpliwém...

— Mylisz się...

Sylwan zmilczał.

— Babcia, rzekł po chwili, ledwie mnie znosi... ojciec jawnie okazuje wstręt, i dał sam do zrozumienia, abym się nie uwodził marzeniami. Hanna sobą nie włada.

— Jesteś samą prostotą i niewinnością, przerwała Lelia. Babcia, pocziwa staruszka, ulega wpływom i kocha Hannę... ojciec jest najsłabszym z ludzi. którego ja nawet, istota wątła, mogę uśmiechem i słodkiem słowem poprowadzić gdzie zechcę. Jest więc wiele do zrobienia ..

— *Vous comptez sans votre hôte!* chłodno począł Sylwan nie patrząc na nią, z oczyma spuszczone mi w ziemię — tym gospodarzem jest klika, obóz, stronnictwo, nazwij go jak chcesz, do którego babcia i Oleś, sami o tém nie wiedząc, należą... Jakżeby to stowarzyszenie dopuściło milionowej pannie wyjść za ubogiego inżyniera, który nie udaje ani panicza, ani szlachcica i chce mieć własne przekonania, nie ulegając komendzie z góry? Potwarz, intryga, gwałt, oszczerstwo, postrach, użyte zostaną byle nie dopuścić tego uronienia siły... Majątek ten musi się dostać komuś nieposzlakowanemu o radykalizm i swobodę przekonań — a gdyby nawet Hannę potrzeba poświęcić, poświęcą ją nie wahając się, byle majątku

nie stracić i nie dać go w ręce tych, których uważają za swych przeciwników. Do tak wysokich celów... o jakich marzą — wszelkich środków użyć wolno; a teologowie stowarzyszenia znajdą wyborne argumenta na uniewinnienie. Wyższy cel oczyści nawet z szalbierstwa, z gwałtu zadanego woli i t. p.

— Wiesz kochany Sylwanie, że mi się słuchając ciebie na śmiech zbiera... odezwała się nie dając mu dokończyć Lelia. Hrabia Rzewuski, autor „Soplicy“, mówił jednemu z wyższych urzędników, jeśli się nie myślę p. B.....wi, że zna dwóch śmiesznych (wyraził się ostrzej) ludzi, z których jeden zawsze się czegoś boi, drugi wiecznie czegoś spodziewa... Wiadomo do kogo to było zastosowane. Ja znam dwóch takich co się wzajem straszą, sami nie wiedzą czém... jedui skrytą potęgą Lojoli... drudzy massonami i tajemniczymi spiski... W średnich wiekach można się było może obawiać takich machinacyj podziemnych, dziś to są straszydła na wróble... Jezuici chcieliby może udawać potężny zakon Lojoli i mają ogromne siły finansowe, które umiejętnie zużytkowują—a massoui i ludzie postępowi na jaw wyciągają wszystko, i bóg musi się toczyć nie po ciemnych kątach, ale na szerokim placu pod słońcem jasnym.

— Tymczasem, mówił Sylwan, jezuicka potęga. tak czy inaczej się ona zowie, potęga wstecznictwa jest jeszcze wielka; wszystko co jest w posiadaniu mienia, władzy i intelligencyi broni monopolu.

— Ale cóż do tego Hanna należy? śmiejąc się spytała Lelia — *c'est une lubie!*

— Hanna ma majątek! Hannę nawrócą... głowę jej zawrócą... i pójdzie za ich wybranego lub... do klasztoru na ksienię... Wmówią jej missyę obrony społeczeństwa, porządku... religii.

Zerwała się Lelia z krzesła, rzuciła album, pobiegła do brata i pocałowała go wołając:

— Jesteś monoman!...

Potém wróciła do krzesła...

Śpiewka dochodząca z ogrodu i uderzenie silne furtką nie dały jej mówić dalej: w progu, w kapeluszu, niepostrzegłszy jeszcze Lelii — stał Herman.

— Sylwanie! zawołał, ratuj! umieram...

W téj chwili postrzegł Lelię i zmieszał się; ona parsknęła śmiechem.

— A! przepraszam! nie widziałem pani.

— Cóż ci się stało? zapytał podchodząc Sylwan.

— Nic, spokojnie odparł Herman: moja chroniczna choroba — nudy.

— Kobiety, dawniej słynęły jako lekarki — wtrąciła Lelia szydersko na niego patrząc, na nudy mam doskonałe lekarstwo...

— Dajże mi go... pani... siostró... wahając się jakiego ma użyć wyrazu, odezwał się Herman i spojrzał na nią tak, że się jej tego biedaka żal zrobiło.

— Siadajże — panie lub bracie, jak chcesz, poczęła wesoło... Przyznam się, że ja! na rodzeństwo jeste-

śny w dość szczególném położeniu — nie wiemy nawet jak się nazywać.

— Ale siostró i bracie! wtrącił Sylwan — po staropolsku...

— Moje lekarstwo? podchwycił Herman, ratujże mnie, siostró...

— Na nudy?

— Tak jest, na chroniczne nudy...

— Jedno w świecie, wypróbowane — trzeba się mocno zakochać...

— Sylwan zaręcza, że ja tego nigdy nie potrafię, bom nadto zepsuty.

— Napraw się! zawołała Lelia...

— Człowiek jest jak zegarek, który im więcej się naprawia, tém gorzej idzie — rzekł Herman, — to do-
wiedziona rzecz. Ja mam zwyczaj, gdy mi się psuje zegarek, darowywać przyjacielowi...

— Piękny mu robisz podarek, rzekł Sylwan.

— Zresztą co się tyczy zakochania, ciągnął dalej Herman: z tobą jako z siostrą droga pani, mogę mówić bardzo otwarcie. Jak tu się dziś zakochać w jednej z tych panienek, które mówić nie umieją, czuć nie potrafią, sztywne, zimne, nudne... a wyrachowane jak tabliczka Pitagoresa. Są to kandydatki do stanu małżeńskiego i swobód jego... a nie do kochania. Dla nich miłość się zaczyna dopiero, gdy jest już zabroniona.

— Ślicznie nas malujesz...

— Cóżem winien, że mam taki wzór przed oczy-

ma? mówił Herman — mógłbym się chyba zakochać w istocie żywej, swobodnej, rozumnej... a takiej nigdzie nie ma... myślę się... może jest jedna tylko... Pomiędzy garderobianą co śpiewa Filona, a hrabianką, co piszczy *Casta diva*... w środku braknie istot tych, którymby pieśń ich własna z serca i ust popłynąć mogła.

— Oleś powiedział, że jest jedna? podchwyciła Lelia.

— Tak... jedna się przypadkiem znalazła — odparł Herman, i dodał z emfazą, patrząc na Syiwanę: — i ta cudzym przykuta pierścieniem.

— Cóż? mężatka? zapytała Lelia.

— Gdzie tam! nawet nie mężatka, bo gdyby nią była... gotowy dramat, i jużbym się nie nudził...

Lelia śmiała się, lecz z ciekawością spoglądała na Hermana, który po raz pierwszy tak się jęj dziwnie a otwarcie malował... Wyobrażała go sobie gorzej daleko...

— Jest jeszcze drugie lekarstwo — począł Sylwan — ale gorzkie.

— A ja gorzkich nie przeżykam; ale jakże się zowie?

— A! stare jak świat, pewnie jak chinina od febrы — praca...

— Doskonale — a no, trzeba się nauczyć niém posługiwać... bo to coś nakształt gimnastyki...

— A spróbować?

— Nie mogę, rzekł Herman. Cóżby powiedziała

mama! gorzej, coby powiedziało jej świątobliwe otoczenie. Praca zaraz pachnie demokracją, radykalizmem, my jesteśmy *ortodoksy*... modlić się nam wolno a pracować tylko na chwałę bożą, i — zresztą praca tak to coś nieoznaczonego... *vague*... wołałbym się zakochać.

Śmieli się z Hermana, on na Lilie patrzył, ona na niego.

— Widzę, że z ciebie braciszku bardzo biedne stworzenie... rzekła cicho — my ubodzy choć tych waszych chorób nie mamy... to pociesza.

— Na świecie kompensuje się wszystko, *c'est connu!* mówił Herman. Mama, która zapewne musi się też domyslać, że ja się nudzę, chce mi się zapędzić w święty stan małżeński...

— Doprawdy? i już dobrano bratu towarzyszkę nudy i niedoli?

— A jakże! komitet na większą chwałę bożą czuwa, bym megaliansu nie popełnił. Ale kochana siostró — (*si vous permettez*) — mogą się strasznie omylić w rachubach...

— Kogóż przecie swatają?

— Najpiękniejszą, najbogatszą, najrozumniejszą jak powiadają, prawdziwy ideał, o którym wy może najlepiejbyście mi coś powiedzieć mogli — pannę Hannę.

Sylwan obrócił się zdziwiony, Lelia aż krzyknęła.

— Jaki! już postanowiono?

— Już, *c'est dit*! — mówił Herman wzdychając. Nie

pytając ani jój, ani mnie. ułożono to w komitecie polecono mi tylko wykonanie dekretu...

Brat i siostra spojrzeli na siebie.

— Co wy na to? zapytał Herman...

— Jestem Hanny przyjaciółką, choć o wiele od niej starszą, odezwała się wdowa, znam ją jak siostrę... kocham... jak mego brata... i nie zdaje mi się, ażebyście państwo dla siebie byli stworzeni, ani by Hanna była owemu komitetowi posłuszna...

— Ja zaś, o ile siebie znam, rzekł Herman, przewiduję, że nie potrafię się ożenić z dyspozycją... ale że mi spokój miły... nie będę się klócił...

Odwrócił się do Sylwana.

— A powiedz też ty mi, proszę, coś tym panom zrobił, że ciebie tak nienawidzą czy się lękają? Zdaje się, że wczoraj musiała ich wielce zgorszyć twoja przytomność na wieczorze, i mamie coś napletli, bo mi zakazała wasze towarzystwo... a owoc zakazany — najsmaczniejszy.

— To było do przewidzenia—rzekł Sylwan: mam niezасłużoną reputację herezyarchy i rewulucjonisty dla tego, że w religii oprócz formy pragnę ducha i czynu, a lud uważam za braci. Dla tych panów tego wszystkiego aż nadto do potępienia człowieka, bo im religia narzędziem, formą tylko i administracyjną machiną, lud zawsze poślednim materiałem, stworzonym, by go wyzyskiwano...

Ruszył ramionami Sylwan... brat patrzył na niego długo milczący.

— Dalipan! tyś bardzo odważny człowiek, rzekł w końcu... z twojém wyznaniem wiary... wiekuiście musisz być prześladowany, na indeksie. Ja — mój Sylwku — wolę w te rzeczy się nie wdawać... Gdy kto porządek i społeczność ratuje siedząc na kanapie, a mówi obrazowo jak Lubicz... poklaskuję — gdy kto głosi braterstwo ludu... admiruję... gdy kto staje w obronie wiary unosząc się.. gdy fatalizm gnębi... podziwiam... ale mi to wszystko jedno... byłem się nie nudził.

— Tak młody! tak młody! — przerwała Lelia — i już takim jesteś sceptykiem.

— No, że też sceptykiem! zaśmiał się Herman: tobym choć wątpliwego coś miał tu — uderzył się w piersi — ale ja jestem... indyferentem...

Paprzyca powiada, że kraj może być zbawiony przez pieniądze tylko; ja... już dziś całą wartość życia przywiązuję do nżycia.

— Pfe! to szkaradnie! zrywając się z miejsca — przerwała Lelia... Co za świat! co za ludzie! Któż cię wychował, mój bracie?

— Najświętobliwsi księża jezuici — rzekł Herman spokojnie, — potem mamine pieszczoty serdeczne, dużo pieniędzy... i — ot... XIX wieku powietrze!

— Żal mi cię!

Sylwan się zbliżył do brata i ujął go w ramiona z uczuciem wielkiém...

— Kochany Hermanie, zawołał: tybyś mnie do prawdy nawet z jezuitami pojednał — tak z całą swą

biedą, jesteś szlachetnie otwarty, tak z twego sarkazmu bije serce, tak wiele w tobie żywotnego materiału! tak wiele w tobie pragnienia dobra... O mój drogi, cheiś tylko na to życie, z którego sobie robisz igraszkę, spojrzeć poważniej, głębiej, z téj wiary Chrystusa. z której oni robią petle i bieże kręcą. odłącz boże ziarna... uwierz w dobro na ziemi, szukaj idealu, stwórz go w sobie... zadaj sobie pracę nad sobą, namiętnością, słabością, upadkiem ducha, — a wyrobisz się na wyższą istotę, na prawdziwie godnego imienia tego — człowieka...

Tak—życie nędzy jest pełne, i ludzie słabi, i świat nie wiele wart: lecz wywalczyć z nędzy téj bogactwo ducha, ludzi słabych krzepić, świat przejść nie walając się o niego a litując mu się—toć piękne i wielkie zadanie. Dla czegoż go nie podjąć?

— Kto ma sily — amen — zakończył Herman i zwrócił się do Lelii. Kochana sestro — rzekł — choć Sylwan na mnie gderze... ja go kocham... On jeden wierzy, że z tego zbrukanego gałgana jeszcze coś być może.

Lelia z politowaniem i współczuciem podala mu rękę ..

— Zaczęliśmy wesolo a skończyli aż nadto jakoś smutnie, rzekła — przerwijmy... Co robisz wieczorem ?

— Wieczorem postanowilem być posłusznym, odezwał się Herman: mama się wybiera do starościny, ja jój towarzyszę.

— Cóżtu zrobić? z zakłopotaniem zawołała Lelia patrząc na brata: myśmy tam także być mieli?

— A! to się endownie składa! rzekł Herman... chociaż, chociaż mama może nie zupełnie będzie temu rada... bądźcie koniecznie... ja was żegnam, idę, ubieram się i do zobaczenia...

Scisnął rękę Sylwana, Lelii, i szybko wyrwał się z ogródka...

Po jego wyjściu długo pozostali nie przemówili do siebie.

— Osobliwszy chłopiec — odezwała się w końcu wdowa — żal mi go, mam dla niego współczucie siostry .. ale co się z nim stanie...

— Nikt nie odgadnie gdzie go burza poniesie, odpowiedział Sylwan. Ciężko uwierzyć temu, ale to są zwykłe owoce tego wychowania religijnego pozorze, które tworzy takich sceptyków i nieszczęśliwe istoty wyżyte, nim żyły... Cokolwiek bujniejsza i bogatsza natura przywiązana do kołka, wykrzywia się tak poczwarnie nie mając swobody rozwinąć się wedle praw natury swój; słabsze cherlają i z nich karłowaty chiński tworzy się ogródek.

Na tém skończono rozmowę... Lelia poszła się ubierać na wieczór, Sylwan miał ją przyjść zabrać... o naznaczonej godzinie... Herman wróciwszy do domu położył się z cygarem na kanapce i przedrzemnął do wieczora... ledwie zdążył się potem ubrać, gdy paradny ekwipaż hrabiny oznajmiono, matka po niego przysłała.

Strój hrabinój, dobrany jak najstaranniej był przepyszny, i *matrona* wydawała się w nim majestatycznie. Suknię miała aksamitną fioletową z koronkami czarnymi, trzy sznury pereł na szyi. bransoletę ze szmaragdem ogromnym na rękę... a we włosach gwiazdę brylantową wielkiej ceny. Wyglądała jak królowa... i spodziewała się, że u starościny toaletę jej kobiecą przynajmniej ocenić potrafią. Lekko licząc miała z półtora tysiąca dukatów na sobie... Herman blady, z bólem głowy, znudzony ale wylegantowany starannie, podał jej rękę do powozu.

Podróż całą, krótką zresztą odbyli w milczeniu, hrabina wkładała upartą rękawiczkę numer sześć, która żadnym sposobem na małą wprowadzić lecz pulchną rączkę wnijść nie chciała... Karetę stanęła, Herman wyskoczył... i powoli zaczęto wchodzić na pierwsze piętro ..

Starościna nie miała ani takich salonów, ani przyborów wspinających dla przyjęcia gości, lubiła też prostotę i wyszła do hrabinój w czarnej sukni swój jedwabnej, koronkowej chustce, z włosami siwemi gładko przyczesanemi... Hanna także, nie mogąc być czarno, ubrała się białą. W salonie znajdował się już wcześniżej przybyły Sylwan, który stał skromnie u okna i Lelia uchodząca tu za domową... Oleś z kamizelką okrutnie otwartą i olbrzymiemi mankietami białymi, we fraczku paryzkim, zdawał zakrawał na kawalera.

Oprócz tych osób był już przyjaciel domu nieosza-

cowany Dołęga (z wiecznym swym śmiechem papuzim), który miał zabawiać, a w razie potrzeby służyć do wiska dla hrabinéj. Posadzono ją naturalnie na najpierwszém miejscu. na kanapce, a starościna zajęła się rozmową... tymczasem oczy Sylwana i Hanny przez pokój cicho mówiły ze sobą o przeszłości — starościna i ojciec Hanny widocznie zaniepokojeni byli spotkaniem jéj z Sylwanem. Dołęga zdziwiony, że ich tu spotkał...

Hanna zdawała się wahać z razu, czy się zbliżyć do dawnego przyjaciela, czy mieć odwagę... czy osłonić się obojętnością — serce nareszcie przemogło. Ujęła Lelię pod rękę i wysunęła się z nią z kąta w którym siedziała, krążąc tak, ażeby Sylwan łatwiej się do nich mógł zbliżyć. Pierwszy jednak podstaąpił do Lelii — Herman.

Tu znowu hrabina trochę się zaniepokoiła... obawiała się téj siostry i jéj wpływu. Ponieważ Dołęga i Oleś zajęci byli zabawianiem dwóch pań starszych, młodzież była zostawioną sama sobie... Obok saloniku w którym hrabina miejsce zajęła, był drugi większy, pusty... ale oświecony... Lelia z Hanną stanęły w progu, i siostra skinęła na Sylwana by szedł z niemi; Herman z kapeluszem pod pachą, także się w tę podróż wybierał.

Gdy młodzież tak wysliznęła się z pod oka starszych, chociaż to nie przerwało ich rozmowy, głównie lękano się zbliżenia Sylwana do Hanny... a Le-

lia właśnie tak prowadziła partję szachów. aby je ułatwić...

Herman, jak zwykle gdy nie był gadatliwy i szyderski — miał minę złego humoru i milczał nadąsany... Wzrok Hanny spokojny, łagodny, niby obojętnego zupełnie widza, chodził po obu braciach... Jakby się to było złożyło, gdyby dłużej sami pozostali nie wiem — lecz na szczęście Hanny i Sylwana, nadjechała pani prezesowa z córką Izą, ową właśnie o której Herman powiadał, że się w nią kochał dopóki się z nią nie rozmówił. Prezesowa zasiadła na kanapie obok hrabinęj, głośną i żywą rozpoczynając rozmowę, bo była w słowach niewyczerpaną i należała do tych niewiast, które Rzewuski zwał *matkami kościoła* — Iza wysunęła się szukać towarzyszek w drugiej sali. Nie wiem co Hermanowi przyszło na myśl i jaka go fantazya ukąsiła... ale od wnijscia prezesównęj przywiązał się do nięj.

Panna Iza była skromném dziewczęciem, wychowaném w *Sacré-Coeur* i tak na pozór skromném a bojaźliwém, że zdawała się nie módz trzech zliczyć. Trwożyła się i rumieniła co chwilę, spuszczała oczy i ładna jęj twarzyczka mieniła się jak sensytywa za każdym słowa powiewem... Taką była zwykle, gdy we cztery oczy wiodła rozmowę z narzuconym jęj partnerem w tańcu, lub zaprezentowanym kawalerem w białych rękawiczkach; taką ją znał Herman... nie domyślając się wcale, iż Iza, gdy czuła po za sobą zastęp niewieści a nie miała przy

sobie czujnego oka i ucha mamy, była najzupełniej inną. Naiwność dziecinna kryła w niej szatańską złośliwość.

Po pierwszych przywitaniach tych pań, Lelia rozrachowała, że potrafi strategicznemi ruchy trochę oddzielić od grupy, do której się wcisnęła, Hannę i Sylwana... Dopomógł jej znudzony Herman, który jak na łatwą ofiarę rzucił się ku prezesównie.

— Pani. rzekł, bosko dziś wyglądasz?

Iza spojrzała nań i z wielką seryą szepnęła.

— Musisz się hrabia jutro z tego wyrażenia spowiadać...

Herman trochę się zadziwił.

— Pani jesteś niezmiernie surową... i niełitościwie łapiesz za słowa...

— Bardzo lubię grać w wolanta! szepnęła prezesówna; Herman nie zrozumiał, zamilkł chwilkę.

— A pan? zapytała Iza...

— Ja, będąc studentem grywałem tylko w piłkę — dosyć zręcznie...

Lelia przerwała śmiechem. — Osobliwsza rozmowa jakby pensyonarki i studenta — odezwała się.

— A o czém że moglibyśmy mówić z hrabią — śmieliej rzekła Iza... chyba o najowej pogodzie... ale to przedmiot wyczerpany od dawna... A! prawda — dodała ze złośliwością skrytą — mamy teatr... Mówmy o teatrze... Widział pan sławną Violę?

Spojrzała mu tak w oczy, że Herman się zmieszał... i milczał.

— Całe miasto mówi o cudownym bnkiecie jaki dziś rano otrzymała, od któregoś ze swych wielbi-
cieli — i — niegodziwa wyrzuciła oknem precz do
ogródka... gdzie go w najopłakańszym znaleziono
stanie.

Znowu spojrzała na Hermana, który zebrał się
wreszcie, mocno zdumiony tą szczebiotliwością nie-
spodzianą, na odpowiedź.

— Szczególna to rzecz, jak panie wiecie o wszyst-
kiem nie wychodząc z domu ?

— A! tak, o wszystkim, nawet co robią aktorki
i ich adoratorowie, nśmiechając się rzekła Iza...

Na ostatnim wyrazie położyła nacisk widoczny,
patrzac Hermanowi w oczy.

— Czy to pani znajduje tak dziwném, że te panie
mają adoratorów? zapytał.

— Na scenie zupełnie to pojmuję, ale za sceną
mniéj...

— Czyż tylko aktorki na scenę występują? rzekł
Herman — mnie się zdaje, że i kto inny czasem ode-
grywa role pewne?...

— Ale przy tych paniach myśmy dyletantki!
wzdychając naiwnie odezwwała się Iza.

Herman, dla którego zjawiała się zupełnie nową ta
Iza, co wprzód prawie mówić nie umiała, z podzi-
wienia głupiał.

— Pani, rzekł, trzeba przyznać talent prawdziwej
artystki... To mówiąc skłonił się jéej nisko... Lelia
bardzo zręcznie dorzuciła do tego początku rozmo-

wy słów kilka i poszła dalej, jak fajerwerk błyszczący...

O trzy kroki od nich Hanna o stół oparta, miała przy sobie niedaleko w milczeniu stojącego Sylwana... Wiedziała, że nie łatwo jój przyjdzie zbliżyć się drugi raz do niego... trzeba było z chwili korzystać.

— Smutno mi pan wyglądasz — rzekła po cichu...

— Bo też ciężkie przebyłem koleje — odpowiedział Sylwan — na własny los, aniby miał prawa, aniby mi przystało się skarżyć — ale... inne — ogólne wszystkich losy.

— Nie mówmy o tém... nie chcę byś sobie serce zakrwawiał, i przynajmniej tu, dziś, radabym inny znaleźć przedmiot.

— Ale jakież?

— Mówmy o czém inném! dobitnie i żywo, szepnęła Hanna — o czém pan chcesz, byle nie o tém, co pana zasmuca, masz i tak boleści dosyć... Słyszałam od Lelii.

— Dziękuję pani za jój współczucie...

— Znajdziesz je pan *zawsze* u mnie.

Zawsze, powoli wymówiła Hanna spoglądając ku niemu. Ręka jój wyciągnięta na stole, leżała tak blisko, że wzruszony Sylwan zaponniał się i byłby sięgnął po nią, gdyby uważniejsza Hanna, nie szepnęła śmiejąc się.

— Patrzą na nas... mój ojciec...

— A! prawda! Ojciec pani mojemu przybyciu tutaj wcale nie musi być rad... témbardziej rozmowie; chce pani przejść do salonu?

— Jeszcze nie — nie, odparła Hanna. Nie wiem prawdziwie kiedy drugi raz będziemy mogli równie swobodnie pomówić słów parę...

— Pani jesteś aniołem dobroci.

— A! nie panie Sylwanie, jam tylko wierną przyjaciółką waszą... Pamiętasz pan zabawy dziecinne? Te święte, dobre nasze czasy, gdyśmy ani marzyli, że pan będziesz kiedyś czém jesteś — a ja...

Spuściła głowę Hanna...

— Pani przynajmniej życie się uśmiecha.

— Mnie? chyba ironicznie...

— Pani powinnaś być szczęśliwą, bo na to zasługujesz, i ja w cichości sercem się o to modłę...

— Trudno być szczęśliwą wśród nieszczęśliwych, na to potrzeba obojętności lub cynizmu, a ja obojga mieć bym nie chciała, choćbym za nie szczęście kupiła...

Słowa ich były raczej pośpiesznym szeptem, niż głośną rozmową; Sylwanowi twarz się mieniła tą niespodzianką szczęścia...

— A pani, — zawołał, nienmiejąc powstrzymać wzruszenia... Dla mnie... jakimże szczęściem ta kradziona chwila! Każdego dnia spodziewać się mogę, że mnie ztąd fantazya czyjaś lub zła wola może wygnać... poniosę z sobą przynajmniej tam, gdzie się

już widzieć nie będziemy mogli, wspomnienie tego... pożegnania.

— Nie rozumiem, odpowiedziała Hanna, dla czego byśmy się żegnać mieli; co do mnie — ja słysząc nie chcę o pożegnaniu...

— Możemy się zobaczyć w życiu — zapewne, ale gdzie — i kiedy?

— Najprzód... zapewne tu jeszcze nikt nam się widzieć nie zabroni — potem, ja sądzę, że panu wrócić pozwoli.

— Na ślub pani... lub by ją zobaczyć szczęśliwą żoną...

— Panie Sylwanie... tego byś pan nie powinien był mnie powiedzieć!

— Przecież to nieuchronne... masz pani tylko kłopot wyboru...

— Pan sądzisz, że tak łatwa?

— Ale babcia troskliwa .. ojciec... oni skłonią.

— Ani oni, ani w świecie nikt nie zmusi mnie pójść przeciw sercu mojemu.

— Lecz i serce pójdzie wreszcie gdy mu samotność zacięży...

Hanna zwróciła się bladą twarzą ku niemu, oczy jej błyszczały łzą potajemną...

— Czy pan? pan niewiesz i niewierzysz, że ja to serce oddała i że go odebrać nie mogę?...

Ledwie dokończywszy tych strasznych słów, wymówionych z pośpiechem, zarumieniona Hanna zwróciła się ku Lelii... a Sylwan jak przykuty w miejscu

pozostał. Zdawa można było posądzić, że coś go boleśnie zraniło... on tylko rażony był swém szczęściem jak pioruném... Hanna wmieszała się do ogólnej rozmowy, a z pierwszego salonu śmiech tubalny Dołęgi, który każdemu swemu konceptowi pierwszy robił honory, napelnił wszystkie pokoje.

— Ten się śmieje za całą publiczność — szepnęła Iza...

Niespokojny Oleś wpadł zapraszając panny do kanapy hrabinój...

VIII.

Przez kilka dni napróżno wyglądała Viola przyjaciela Sylwana. Zamknięty u siebie pracował i napałwał się wspomnieniem ostatniej rozmowy, biedne dziewczę nawet mu na myśl nie przyszło... Odebrała za to długi bardzo list od Hermana, którego charakter tak był podobny do ręki brata, iż go omyłką rozpieczętowała. Sylwan dawniej nieco upartł się był przepisać jój rolę na której kopię czasu nie stało, znała więc jego pismo i cała rozradowana rozzerwała pieczętkę. Jakież było zdziwienie i smutek, gdy zamiat upragnionych słów kilku, znalazła arkusz najdziwniejszój w świecie prozy pana Hermana...

Rzuciła ją w kąt z razu... później przemogła ciekawość, podniosła papier i zaczęła czytać. Herman z pokorą i smutkiem tłómaczył się przed nią i opisywał jój życie swoje, żartował nie litościwie z ludzi i z siebie... Tyle było jednak uczucia w tych sarkazmach, bólu, ironii i pokory w całym liście smutnym i znękanym, iż Viola, rozpoczynszy czytanie ze wstrętem, skończyła z politowaniem.

— Ten jeszcze, rzekła w duchu, lepszy może tro-

chę od drugich... głowę ma przewróconą, lecz serce dobre. Cóż mi potem, dodała — to nie mój Sylwan jedyny! Ten którego serca ja pragnę, nie myśli o mnie — ci których ja odpycham, garną się. Co mi po nich!

Trzeciego czy czwartego dnia smutna, znudzona, szukała pozoru już tylko, aby Sylwana przywabić. Zdawało się biednej, że on się niechce narzucać, że szanuje ją i boi się być natrętnym. Postanowiła więc, pod pozorem roli Julii w *Romeo i Julecie* Szekspira... ściągnąć do siebie Sylwana. Wahała się z tém długo... Niechciała pisać, bo się lękała czegoś w liście coby ją mimowoli zdradziło, musiała więc udać się o pomoc do pana Pawła.

Paweł w pierwszej izdebce rozpatrywał się właśnie w rękopismach, goryczą zapływało mu serce...

— Nie, mówił sam do siebie — nie, mości dobrodzieju, czasy takie są gałgańskie, artyści są fuszery a te trutnie pisać nie umieją. Smarują, smarują, że ich człek wyczytać, mości dobrodzieju, nie może... Wszystko po dyable!

— Panie Pawle! ozwał się głosik znany z trzeciej izby...

Paweł zdjął okulary i pośpieszył. Viola siedziała z książką rozłożoną na kolanach...

— Mój panie Pawle — rzekła — ja sobie z tą rolą rady nie dam!

— Panienska! zawołał Szerszeń, panienska sobie z tą rolą nie da rady, mości dobrodzieju! Począł się

śmiać stary. Ale — przepraszam — graj panienska jak chcesz, to ich wszystkich zakasujesz, ani pojęcia tego nie mają co czynią... fuszery! siano wożą za panienką! wszyscy, jak mi Bóg miły. Talentu za grosz... E! co to mówić aktorowie żadni! zbierana drużyna... panienska by, mości dobrodzieju, stołecznej sceny nie oszpeciła... Jak powiada nieśmiertelny mistrz nasz Szekspir...

— Ale mój drogi, panie Pawle — przerwała żółciowe ekspektoracye Viola — zawsze chciałabym grać jak najlepiej — potrzebuję porady czyjejs.

— Co, co? krzyknął Szerszeń — a któż z tych z pozwoleniem, osłów, może paniencie radzić, która masz gieniusz, to jest, mości dobrodzieju, panienska byś ich wszystkich uczyć mogła! Czy nie ten Romeo? Ale, ten się też umywał do Romea... piękny mi kochanek! Do Don-Kiszota podobny... a jak się to zacznie miotać i wiereć po scenie! Któż, mości dobrodzieju tak kocha! Tfu ja mu to mówiłem wiele razy, ale to zarozumiałce... jemu się zdaje, że ja sufler... tak! sufler! a niewie drugi taki cygan, mości dobrodzieju, że ja monarchów grywałem. . i to w Warszawie.

Szerszeń gdy raz się puścił trudno było powstrzymać. Zwykle hamowania podejmowała się żona ego, która ten defekt znała... I tym razem pani Pawłowa, siedząca w okularach nad suknią Julietty, poczęła sykać.

— Dałbyś pokój — stary — dałbyś pokój.

— A no mi nie przerywaj! rzekł Szerszeń. Gdzie tu kogo się radzić!

— Ale żadnego z nich, uśmiechając się odezwiała Viola — chciałam cię prosić czybyś się nie pofatygował do pana Sylwana... on od wielu artystów ma więcej czucia i... czytał a widział tyle.

— To już jest co innego, mości dobrodzieju, panienko — odparł Szerszeń, to rozumiem i na to się zgadzam — pan Sylwan — tak że mi mówić proszę.

Uderzył się w czoło. Ten mości dobrodzieju, ma tu! ma. I tu (uderzył się po sercu) całą głębią człowiek! Z nim pomówić miło i szanuje ludzi zasłużonych scenie... jak ja, mości dobrodzieju do niego to pójde...

Zawracał się już Szerszeń.

— Mój panie Pawle, rzekła aktorka, a przepraszę go iż śmiem trudzić. Musi mieć robotę.

— O! ten człowiek, co on ma roboty: zawołał Szerszeń, ja wczoraj byłem u niego z wizytą... dał mi lampeczkę wina! Gadaliśmy o Szekspirze ..

— A o mnie, nie wspomniał? naiwnie zapomniawszy się spytała Viola.

— Jaktó, jaktó? mości dobrodzieju — owszem, pytał o zdrowie i czy panienka wody pije i czy nie kaszle?

— A czemuż się sam dowiedzieć nie przyjdzie? smutno mruknęła Viola.

To taki człek, rzekł Szerszeń, delikatność sama... Młody zwyczajnie, krew nie woda... a wie,

z przeproszeniem panienki, że tu u niéj umizgi daremne...

— At, pleciesz ofuknęła Pawłowa, widząc rumieniec na twarzy Violi — co bo to zagadanie Pawle...

— Oto — kwoka! mości dobrodzieju! oburzył się na żonę Paweł. Cóż to? złe gadanie gdy ze szczerego serca i szacunku dla osoby, która tego jest godną? Co tobie się do tego mieszać, gdy wyżej wykształcone osobistości konwersują... Jak mówi mistrz nasz... z łopataą na słońce! mości dobrodzieju!

Pawłowa ramionami ruszała...

— O czemże chciałem mówić — ciągnął niepowstrzymany Szerszeń—a! o tym godnym Ramulcie... Niech panienka mi, mości dobrodzieju, daruje co powiem... jemu także za złe mieć nie można, iż rzadko bywa! Człek rozumny... Panienka masz ku niemu sympatyę... a on też... co pewna... co pewna... jak powiada nasz mistrz, z ogniem nie igrac, z sercem nie żartować...

Viola rumienila się zmieszana, Pawłowa klapnęła starego gadułę po ramieniu.

— A no! dosyć! dosyć! widzisz że się panna rumieni od tego płochego gadulstwa...

Viola uznała też słusznóm przerwać nlewę słów, powtórzoną prośbą, — aby szedł pana Sylwana na jaką chwilę dla porady zawezwać.

Paweł wymrukując resztę niedopowiedzianą... odszedł nareszcie, a Szerszeniowa dla bezpieczeństwa zarygłowała drzwi za nim.

Z pewnym żalem do żony, którą uważał za dobrą lecz nposłedzoną istotę—pan Paweł wyszedł z domu, w myśli udania się wprost do mieszkania Sylwana. Los zrządził, że Herman, który krążył ciągle w okolicach domu Violi pochwycił go na drodze. Hermana znał nawet sufler teatralny, bo miał zawsze lożę, i zwano go panem grafem, znał go też z ostatniej bytności nieszczęśliwej... z bukietem. Stary był grzecznym dla wszystkich, tu czuł się w podwójnym obowiązku salutowaniu grafa, któremu o mało nie był w konieczności oberwania poły od surduta... Herman też chciwie go przywitał, znajomość dobra z Szerszeniem była dlań nieocenioną.

— Gdzie to tak Pan Bóg prowadzi?... zapytał.

— Za interessami teatralnemi, panie grafie — odparł Szerszeń uśmiechnięty wspomnieniem owęj sceny z bukietem.

— A pilno?

— Dosyć — dosyć! w ogóle, mości dobrodzieju, panie grafie — rzekł Paweł, sprawy teatrów niecierpią zwłoki. Chwila dla artystów stanowi o ich losie! jak mówi mistrz nasz Szekspir... chwytaj minuty jeśli chcesz mieć godziny swobodne.

— W jakiejże to sztuce — począł Herman chcąc rozmowę przedłużyć—znakomitą tę prawdę Szekspir ogłosił?

— A tego panu nieumiem powiedzieć... zastanawiając się rzekł Szerszeń, albo w którymś Henryku, lub Makbecie...

— Myślę że w Makbecie! potwierdził Herman.

— I ja tak sądzę, dodał Szerszeń, mości dobrodzieju, panie grafie. Jestem tak przejęty nieśmiertelnym mistrzem, iż cały nim żyję...

— Prawdziwy artysta, rzekł Herman.

— Co pan myśli i ja grywałem monarchów i to na warszawskiej scenie, rzekł Szerszeń z pewną dumą... Koneserowie znajdowali w mojej grze takie rzeczy. panie, takie rzeczy, że nieboszczyk Dmuszewski tak mi powiedział, o czém nigdy zapomnieć nie mogę: Szerszeń, ty nowe światy odkrywasz! Ale cóż! Intrygi, zazdrość... wykłuły mnie, wysadziły, sponiewierały... zszedłem na suflera... A niech pan, mości dobrodzieju, spyta ich — tych niewdzięczników, ile ja im dobrych rad daję... A cóż myśl podchwycą... i Bóg zapłać żaden nie powie.

Herman bawił się gadulstwem jego...

— Słuchaj, panie artysto, — jeśli ci nie pilno — chodź na lampkę wina...

Postawiony pomiędzy lampką wina, powolnym uchem sympatycznego młodzieńca — a obowiązkiem spełnienia rozkazu Violi, Szerszeń sądził, że potrafi nie tracąc, pogodzić wszystko...

— Chwileczkę małą, mości dobrodzieju! panie grafie... mógłbym mu poświęcić jeśli wola i łaska — lecz małą.

Herman zobaczywszy magazyn win naprzeciw pościągnał go z sobą, znalazł izdebkę osobną i kazal podać węgryna...

Nektarem on się wydał staremu Szerszeniowi, łyż wdzięczności wycisnął mu z oczów, dawno, dawno nikt go tak po pańsku nie częstował — czuł się przejętym.

— Pan graf, rzekł — umiesz prawdziwie oszacować i świątynię i sługi Melpomeny, mości dobrodzieju... bo to dla ludzkości instytucja wielka... *castigatio* mości dobrodzieju — *mores*. Za zdrowie protektora sztuki dramatycznej i artystów...

Ledwie wypił już mu Herman nalał drugi.

— E! panie artyście, odezwał się — dla czegoż to tak był dla mnie srogim a nielitościwym, gdy w myśli niósł hołd uczuć i kwiatów pięknej Violii?

Szerszeń się zmieszał niespodziewaném tóim wspomnieniem, aż mu głowa wrosła w ramiona...

— Mości dobrodzieju panie grafie! odezwał się skonfundowany. To trzeba znać skład okoliczności. jak mówi mistrz — wedle stawu grobla... Są obowiązki, które człek spełnia, choćby gardłem nałożyć przyszło... Jest to dziewczica powierzona pieczy naszej, niby to mojej i pani Pawłowej — osoba wielkiego talentu... która cienia korupcyi się lęka...

— Ależ ja nie miałem żadnych złych zamiarów! i nie mam ich, a tyle ona we mnie wzbudziła sympatyi...

— I godną jej jest! przerwał z zapałem Szerszeń... dziewczica udarowana nader szczęśliwie, będzie to kiedyś ozdoba sceny stołecznej — panie grafie, osoba uczuć delikatnych... chociaż ojciec, bo ojca znałem,

szelma pijaczysko był ostatni, cośmy go na klucz zamykać musieli, gdy mu grać przypadło... ale też był artysta osobliwy. Pił to pił... a grał... chyba już nie można lepij... nieraz łzami zlewałem rękopism... takiem się śmiał gdy genialnie począł leka zapieczętowanego przedstawiać.

Herman słuchał, usiłując utrzymać poważną twarz i uważne oblicze. Szerszeń raz puszczony... paplał ani go było powstrzymać.

— Omyliliście się przypisując mi jakieś zwodzielskie intencje, rzekł w końcu — ja tylko przez miłość dla sztuki niezicie chciałem jej kapłankę.

— Kapłankę! powtórzył Szerszeń — ślicznie powiedziano — kapłankę... ona jest w istocie kapłanką sztuki... ale to dziecko... niewinności i delikatności pełne (Szerszeniowi wino płało już wyrazy).

— Spodziewam się, że inną razą, gdybym przyszedł... mój panie Szerszeń, wy mnie za drzwi nie wyszlecie.

Stary sufler zamilkł nagle; wino mu zgorzkło, nczuł podstęp — odstawił lampkę wstał od stołu i przybrał postać tak poważną, jak gdy grywał monarchów na warszawskiej scenie.

— Panie grafie, rzekł — święte jest uczucie obowiązku... przepraszam, — ale sumienie by mi nie dozwalało pobłażać... nigdy! Raczej — śmierć, raczej męczarnie, niż honor postradać.

Herman się zaczął śmiać i uściśnął go...

— Idźże sobie z Bogiem rzekł, nie mamy co dłużej gadać z sobą...

Oślupiały Szerszeń... którego zostawił samego z lampką i sumieniem, obejrzał się... wypił wino, otarł usta i z zadowoleniem a dumą opuścił świątynię Bachusa... spóźniwszy się do Sylwana już go w domu nie zastał... chłopcu tylko w długiej dobranemi wyrazy wyrzeczonej mowie oznajmił, iż Viola upraszała pana Sylwana, aby ją był łaskaw wolną chwilą — odwiedzić...

Zabierając się całą swą przygodę powierzyć żonie i wykazać jej heroizm z jakim się oparł pokusie — Szerszeń zwolna zażywając tabakę, ze spokojnem sumieniem powrócił do domu.

IX.

Przybycie starościniej z Hanną — poruszyło całą młodzież i wszystkie rodziny, których latorośle mogły mieć jakakolwiek nadzieję zbliżenia się do pana Aleksandra Junoszy i jego córki. Ile nowych surducików i fraków pozamawiano u krawców, wyliczyć trudno; jak starannie badano gdzieby te panie spotkać i widzieć można, jak się weisnąć do ich domu — domyśli się każdy, co wystąpienia na świat nowy — młodej, pięknej i bogatej dziedziczki był kiedy przytomnym.

Starsi liczyli na wpływy, młodszy przeglądali się w zwierciadłach, muskali wąsy i wzdychali. Szczególniej powabne — trzeba to wyznać ze smutkiem. były miliony panny Hanny — o nie się też najstaranniej dowiadywano. W tym wieku niezmiernie praktycznym związek małżeński jest przedewszystkiem — dobrym interesem, rachuje się dochody — reszta dodatkowo i podrzędnie przychodzi. Zalety panny, jej piękność, wykształcenie, charakter nie jeden raczej za przeszkody i ciężary uważał niż na ponętę. W kolach poważnych ojców, matek, dziad-

ków i krewnych, wiedziano tak dokładnie co panna Hanna mieć może po najdłuższem życiu ojca, po najdłuższem życiu (forma zwyczajna) babki, w ziemni i kapitałach jakby urzędownie stan ich majątkowy zbadano. Znano położenie dóbr, gatunek ziemi, dochody, ciężary i bilans wypadł tak świetnie, iż Hannę ogłoszono za najpiękniejszą — *partycę*, jaka się w tych czasach nastroczyć mogła. O Hannie mówiono też czasami, lecz z pewnem ubolewaniem nad wpływami, które — jak się domyślano, nad umysłem jęj zapanowały. Godzili się wszyscy na to, iż należało przez babunię oddziaływać na wnuczkę, starać się usunąć Lelię, a nadewszystko jęj brata i czuwać nad płochym Olesiem.

U pana prezesa wieczorem nazajutrz cichą radę złożono w kątku salonu — byli sami ludzie poważni.

— Jest to okoliczność, rzekł Paprzyca, na pozór malęj wagi — panna na wydaniu, lecz zważywszy towarzyszący jęj skład rzeczy... przedstawia się inaczej. W tym stanie społeczeństwa wojującym w jakim my się znajdujemy, gdy wszelkie siły gromadzić trzeba ku obronie porządku i zdrowych zasad — majątek stanowi dźwignię — wypuścić go z rąk ludzi dobrze myślących a dać we władanie tym co go przeciwko nam użyją — byłoby niedarowanym grzechem.

Panna musi wyjść za jednego z tych co do naszego obozu należą. Ręka jęj może być nagrodą za-

sługi... środkiem do podtrzymania imienia — słowem... my nią dysponować powinniśmy...

Niektórzy zatem kandydatów zaczęli przedstawiać między którymi był i Lubicz... był i hrabia Ramult, byli i inni młodzieńcy.

Kuczaba uczynił uwagę iż Sylwan, dla którego jak słyszał, panna miała dawną sympatyę — niebezpieczną stawał się przeszkodą do przeprowadzenia planów...

Narada była długa, i ograniczyła się do małego kółka adeptów — a ostatecznie postanowiono wciągnąć nazajutrz Dołęgę i z nim o tém pomówić, jako z przyjacielem domu. Dołęga mógł być bardzo użytecznym.

W tym rodzaju podziemnych robótkach, miał zręczność, znał drogi, umiał nie okazując po sobie i ludźmi obracać i przekonania szczepić i plotki jak miny podsadzać lepiej niż dziesięć starych dewotek. Zgodzono się więc na to, iż bez Dołęgi obejść się nie podobna. Dano mu przez jednego z afiliowanych schadzkę w najpierwszej restauracyi na śniadaniu; zalecając, aby przyszedł sam i Olesia z sobą nie brał.

Jakoż około jedenastój spiskowi zadysponowali już byli bifsztyki, gdy pan Maryan ze swym śmiechem potężnym i szerokimi plecami się pokazał. Cicho dotąd siedzące towarzystwo, natychmiast się ożywiło, pozamykano drzwi na wsze strony. Dołęga, którego używano często i do wielu spraw wielkiej

wagi, gdzie chodziło o to aby szwów nie było wi-
dać... poznał zaraz iż śniadanie jeść będzie nie dar-
mo. A śniadanie jak obiad i wszystko co szło przez
usta do żołądka, było dla niego rzeczą najwyższej
wagi. Nim więc zdjął rękawiczki i siadł — znie-
rzywszy tylko okiem przytomnych, po których dobrze
już się domyślał mniej więcej o co iść mogło. Do-
łęga najprzód się dowiedział co zadysponowano na
śniadanie, czy bifszyk miał być angielski i czy wino
czerwone zagrać kazano. Uspokojony w tym wzglę-
dzie usiadł dopiero, poprawiając włosów i zabierając
się słuchać sprawy.

Panowie ci nie przystąpili jednak do rzeczy od
razu... przebaknięto o tém i owém, aby przedmiot
najważniejszy przyszedł na stół jakby od przy-
padku.

— Słuchaj no Maryanie — odezwał się Paprzyca
po obojętnym wstępie — ty jesteś pono jak domo-
wym u Olesia — znasz go dawno.

— Oleś przyjaciel mój od szkół... serdeczny człek
— niemylicie się — wołał Dołęga — nikt się wię-
kszym na niego wpływem nie poszczyci — na to
wam daję słowo...

— No — wiesz co — dodał pierwszy — idzie o rzecz
ważną... po tobie społeczność nasza wymaga usługi,
którą ocenić potrafi... Aleksander Junosza ma córkę
na wydaniu. . panna milionowa...

— Rozumiem! ach! tego mi długo wywodzić nie

potrzeba — rozumiem! nie godzi się, by i panna się zmarnowała i majątek w złe poszedł ręce.

— Mądrój głowie, dość na słowie — otóż to jest dodał Kuczaba. Cóż za człowiek właściwie ten twój pan Aleksander, my go tu mało znamy.

— Ale najpocześniejsze stworzenie jakie sobie wyobrazić możecie! Nie święty, nie anioł, nie każdemu nim być dano — lecz człowiek prawych zasad, szlachcie całą gębą...

— A głowa? spytał Paprzyca.

— No, głowa? głowa! odezwał się Dołęga — głowa nie jest zbyt silnie uorganizowaną — ale człek nie głupi... Lubi zjeść dobrze i wypić smaczno, zagrać trochę... a... choć łysy, jeszcze się i poumizgać... Jeśli chcecie to są jego wady.

— Ludzkie rzeczy! szepnął ktoś z boku... ale nie demokrata, nie żaden marzyciel, nie radykał.

Dołęga się rozśmiał.

— A! nie! zawołał, brzydzi się tém jak wszyscy ludzie uczciwi — w duchu konserwatysta...

— A babka. Starościna spytał Ostoja.

— Osoba pobożna, dobroczynna... spokojna, do wnuczki przywiązana.

— Kto ma wpływ na nią lub mieć może.

Zamyślił się Dołęga.

— Ktoś poważniejszy z duchowieństwa rzekł, hierarchię społeczną szanuje bardzo...

— A panna? dokończył Paprzyca.

Na to pytanie długo odpowiedzi nie było. namy-

ślał się Dołęga biorąc z tacy kieliszek wódki, który właśnie przyniesiono.

— Panna? rzekł w końcu — panna! ja najmuńię ją znam, a zdaje mi się, że węzel kwestyi jest tu właśnie. Zdaje mi się, że ona ma więćej rozumu i determinacyi niż oni wszyscy razem.

Milczenie trwało chwilę. Paprzyca szepnął:

— Na ten rozum by ją wziąć można, podnosząc go... i sławiąc... pochlebstwo jest wielkiemu narzędziem, gdy dobrze zaostrzone...

Dołęga brał zakąskę właśnie i nie śpieszył ze swemi uwagami.

— Któż tam wpływ ma w ogóle? zapytał Ostoja...

— Jeśli chcecie to ja — przez żołądek i gardło Olesia do jego serca, odezwał się Dołęga.

— Ale czy Oleś tam wszechmogący?

— Wszech — nie, ale wiele mogący to pewna.

— Drudzy mówią, że wcale nie może nic.

— Ale! przesada ozwał się Dołęga — ojcem panny jest

— Rozumiesz więc o co idzie — zagadnął Paprzyca.

— A juściż — rzekł pan Maryan — rzecz zresztą jasna i łatwa do pojęcia... Jacyż są kandydaci.

Zaczęto wyliczać powoli, wezwany milczał i głową rzucał niekiedy, aż Paprzyca przerwał nagle.

— Trzeba zrozumieć o co idzie? niech się żeni kto może i potrafi — byle nie żaden z tych proletar-

ryuszów, przybłędów... agitatorów... rozumiecie mnie... w tém rzecz główna...

Szmer zgodny, potakujący. stwierdził, że to była myśl powszechna i życzenie...

— Otóż kiedy tak jest, to wam powiem otwarcie — odczuwał się Dołęga, że jest wielkie niebezpieczeństwo. Choć niby nic nie widząc dobrze pannę obserwowałem na wieczorze u nich, gdzie hrabina była z synem... wyraźną okazywała sympatyę dla tego Ramulta numeru pierwszego inżyniera... co to wiecie. Były szept ciche, obracanie oczów, a bodaj nawet potajemne rąk ściskania...

— A to dobre! zakrzyczał Lubicz bijąc o stół... toć chyba nie wiedzą, że ma romans *reglé* z aktorką, z Violą od której wszystkich odpędził.

— To dobrze wiedzieć — rzekł Dołęga ale czy pewna.

— Wcale się z tém nie kryją! Chodzi do niego co rano niby pod pozorem picia wód... a on do niéj wieczorem; kartki sufler nosi...

— Na biedę — dorzucił Dołęga — wdowa siostra tego Sylwana zawraca głowę temu balamutowi Olesiewi... i ona tam robi interesa brata...

— To mi się niepodoba! zawołał Paprzyca — to źle... to źle... Olesia ty masz w ręku... jeśli balamut trzeba mu kogo innego podstawić.

— Ale kogo!

— To się obmyśli... dodał Ostoja... ale sposób

jedyny, bogdajby przyszło komu do pani Leli się poumizgać trochę.

Zaczęli się śmiać wszyscy...

— Rzecz się jednak bardziej zawiklaną przedstawia, niż zrazu sądziliśmy inówił Paprzyca... Słuchaj — Dolega, jeśli panna się nam z milionami wyśliznie... na ciebie spadnie odpowiedzialność cała...

— Wy mnie znacie — wyperorował Dolega — zasady moje niezachwiane. Gdzie trzeba ręki przyłożyć do dobrej sprawy, nie żaluję trudu — zrobię co będę mógł — to pewna, ale i inni też powinni mi pomagać.

— To się rozumie! to się rozumie zakrzyczeli wszyscy...

— A więc kogo popierać mamy?

Wymówił ktoś nazwisko Hermana.

— Za pozwoleniem wtrącił Paprzyca, są pewne zasady postępowania, od których nie należy bez potrzeby ustępować—Herman ma sam z siebie majątek znaczny, możnaby go ożenić z nboższą panienką zasłużonej rodziny... a majątkiem panny Hanny nagrodzić chłopaka zdolnego, który się poezciwój sprawie poświęcił! To według mnie dobra i zdrowa nakazuje polityka.

Dolega coś nucił sobie pod nosem.

Wszyscy Paprzycy potakiwali, Lubicz, który miał powody domyslać się, że jego kandydatura przyjsć może na stół — spuścił oczy skromnie.

— Mojem zdaniem odezwał się Dołęga, wyczekać, rozpatrzyć się i zorientować, a tymczasem starać o zajęcie korzystnych stanowisk...

Tak zawsze wielcy strategowie postępowali. wiedząc, że wygrana zależy od pozycyi.

Sam pierwszy wedle zwyczaju zaczął się śmiać z mniemanego dowcipu swego.

— Na to wam daję słowo, zakończył — że pilnować będę, patrzeć i *komunikować* co się w domu stanie... Pozycye zaś strategiczne przy babci, pannie i Olesiu zająć należy nie tracąc czasu... Do babci posłać księdza prałata, któryby dobrze umiał po francuzku, a nie był zbyt surowym i drapieżnym... i nadto często z piekłem nie wyjeżdżał...

Surowo przerwał Paprzyca.

— Tych rzeczy proszę żartem nawet nie tykać.

— Dla informacyi mówię — zaśmiał się Dołęga. grzechu nie ma. Olesia nie bierze się inaczej tylko dobrém jedzeniem... Co do panny... dalipan nie wiem... może trzeba deklamatora i literata...

Przez chwilę słysząc było ciche szepty. Słuchano doradcy z uwagą, ale nie postanowiono.

— Ważniejsza daleko rzecz — rzekł Paprzyca, unikając wypowiedzenia co myślał o zajęciu pozycyi — odciągnięcia Lelii i tego pana Sylwana... Na babunię podziałać trzeba.

— Zatem skonkludował Dołęga — czekam rozkazów... i obiecuję się do nich zastosować...

Mileżąco zaczęli *patres conscripti* chodzić po po-

koju, szepcząc sobie coś kiedy niekiedy do ucha i naradzając potajemnie... Dołęga nie obraził się temi cichemi umowami... Kazał sobie podać kawę i likwor i zapalił cygaro...

Niektórzy z tych panów mający pilne posiedzenia i urzędowe obowiązki zaczęli się wymykać, tak, że pozostał tylko Lubicz sam i Dołęga...

Nie miał ten wymowny młodzieniec łaski u pana Maryana, który wiedział iż był goły, a miał to sobie za zasadę żeby się o ludzi tego rodzaju nie ocierać. Dla niego byli oni wcale nie *procentujący*; żyjąc zawsze kosztem cudzym, pan Maryan potrzebował zamożnych... a na łasce ich zostawał, w takich jak Lubicz dorobkiewiczach widział tylko współzawodników... Obchodził się też z niemi, nawet gdy mieli tyle talentu i zręczności co ów młodzian, z protektorską wyższością. Spostrzegłszy Lubicza, który nie bez celu tak długo kapelusza szukał, Dołęga zapytał go...

— A panu jakże się tu powodzi?

— Dosyć dobrze, nie mam się na co skarżyć..

Znali się od dawna, gdy jeszcze Lubicz w dziurawych butach chodził, nie zostawszy z profesyi pobożnisiem.

— Ale coś lata upływają, a asindziej o sobie nie myślisz — należałoby...

Dołęga obejrzał się i kiwnął na młodzieńca, który posłuszny przystawił mu się z uchem. Pan Maryan poufale rękę mu na ramieniu położył.

— Mam ci jedną dobrą radę do dania. Stara hrabina ci się wdzięczy — czemu ty tego na seryo nie bierzesz... To jak uszył dla ciebie...

Lubicz się skrzywił.

— Czyżem już nic innego nie wart!

— A cóż ty chcesz? Majątku nie masz... cały twój posag trochę sprytu i młodość... hrabina wcale nie źle wygląda jeszcze... majątek znaczny i kolli-gacye.

— A syn?

— Syn! głowa przewrócona... zużyty, wyczerpany... Kto wie czy długo pociągnie...

Lubicz nic nie odpowiedział.

— Chcesz, to ci pomogę?

— Ja myślę, że gdybym się ryzykował i bez pomocy bym może tego dokazał.

— Ale by ci ułatwić można i przyspieszyć.

Przeszedł się Lubicz po pokoju z miną kwaśną.

— Sądziłem, szepnął, że mi do czego innego zechcecie podać rękę... umiałbym się odwdzińczyć...

Dołęga pogardliwą zrobił minę.

— Hej! słuchaj — przerwał — o tém nie marz nawet... to rzecz nie możliwa... na toby potrzeba cudu. Jakby Hanna miała iść za człowieka bez pozycyi i majątku, wybrałaby Sylwana.

Na to nieodpowiedział nic zagadnięty...

— Gdybyś chciał usłużyć ogólnej sprawie — dodał śmiejąc się Dołęga, mógłbyś jeszcze inaczej

postąpić — udać się do wdówki. do Lelii... i téj zawrócić głowę... trochę skompromitować...

— Daj ty mi pokój — boję się jéj. raz widziałem — ale prędzójby ona mnie niż ja ją skompromitował!

Śmieli się rzucając tłustemi konceptami, które znać lubili oba, z tą tylko różnicą, że Lubicz mówił je cichuteńko ledwie dosłyszczanym głosem. a Dołęga krzykliwie... Wpadli na przegląd ogólny kobiecego towarzystwa, dokonywając go z cynizmem, który po śniadaniu nawet trudno było wybaczyć.

Lubicz jednak spojrzawszy na zegarek przekonał się. że czas było przerwać tę miłą rozmowę i iść się pokazać na sumie w kościele. Dołęga nie mógł mu towarzyszyć, gdyż potrzebował dopilnować Olesia, bojąc się aby kto inny go nie opanował... Poszedł więc zaraz do niego.

Pan Aleksander jadł tego dnia śniadanie u siebie i był w dosyć fraszobliwym humorze — w swoim pokoiku. Stał przed nim prosty pasztet tylko i butelka czerwonego wina...

— Cóż ty anachoreto tak smutnie o marnościach światowych rozmyślasz! zawołał donośnie wchodząc Dołęga...

— A bom zły, aż mnie głowa boli.

— I pasztetem się leczyleś?

— Nie — winem... a i to nie pomogło.

— I — zkadźże złość...

Gospodarz się obejrzał, na zamknięte drzwi do

dalszych pokoiów prowadzące wskazując. Dołęga przyszedł do ucha. Co ci to jest?

— Bruździ mi ten Sylwan Ramult... Był raz nie mówiłem nic... wczoraj go Lelia przyprowadziła, trudno wypędzić... a na dziś Hanna bez mojego pozwolenia, *proprio motu*, zaprosiła go na obiad. Cóż ja miałem zrobić? Hannie trudno znowu burę dać; a musiałem jęj jednak prawdę powiedzieć... Jak mi tu tych demokratów naprowadza do domu, nikt z naszych progę nie przestąpi...

— Kochanie moje, tyś winien, rzekł Dołęga...

— Ja?

— Ty—masz słabość do Lelii—trzeba się z tego otrząsnąć... rozpatrz się i zakochaj w czém takim coby ci nie zawadzało; jeśli już ta choroba do życia ci potrzebna...

Oleś mocno począł wzdychać.

— Niemogę, rzekł płacząco—jużem sobie czynił to postanowienie, by o niéj zapomnieć, kilka razy... nie widywałem jęj po roku i dłużej. Cóż powiesz? wróci. zacznie mi się uśmiechać, spojrzy mi w oczy... wszystko się we mnie burzy... fiksuję za tą kobietą, powiadam ci fiksuję...

Pomyślawszy trochę, Dołęga mu się do ucha nachylił...

— Tylko to—między nami... począł szeptać—ona ma romans z Lubiczem.

— Nie może być?

— Daję ci słowo! doszedłem tego...

Twarz biednego Olesia okryła się purpurą.

— Cóż on zenić się myśli?...

— Gdzie zaś! młody chłopak podobał się jejmości... a nie lubi próżnować! cha! cha!

— Niechże ją jasne pioruny... krzyknął Oleś jeśli to prawda.

— Ale na miłość boską! cicho! mnie nie kompromituj! To złe towarzystwo dla panny Hanny... powiedz o tém cicho starościnie... Ona zgubny wpływ na nią mieć może. To stara kokietka! powiadam ci...

Spojrzał na zegar.

— A dalipan po dwunastój! do widzenia! czekają na mnie...

Ścisnął rękę strapionego Olesia i wyszedł.

X.

Przybywając do miasta, starościna, Hanna i Oleś obiecywali sobie z tego pobytu wiele miłego i dobrego. Staruszka chciała dla Hanny znaleźć stosowną partję i los jęj widzieć zabezpieczonym. Hanna miała przecznie, że się przynajmniej dowiedzieć potrafi o Sylwanie, pan Aleksander więcęj się po kuchni miejskiej spodziewał niż w nięj znalazł. Prócz tego chmurzył się jakoś horyzont do koła... Starościna chodziła wzdychając i lżę nawet kiedy nie kiedy ocierała ukradkiem, pan Aleksander zły był i zafrasowany tak, że go odpadł apetyt, Hanna choć starała się zachować spokój ducha i umysłu... cierpiała widocznie. Często po całych dniach nie przemówili prawie do siebie, lub krótko i przymuszonymi wyrazy. Najwięcęj znać było na staruszce przybicie jakies i zwątpienie...

Lelia, która przywykla była tu przychodzić z poufalością i weselem — od kilku dni znalazła zmienione przyjęcie, twarz, mowę... Babcia zaledwie mówić z nią chciała, pan Aleksander trzymał się zdaleka.

Hanna tylko jedna nie zmieniła obejścia się z nią i serdeczności.

Przyczyną tego była rozsiana wieść o mniemanym romansie Lelii z panem Lubiczem, o którym także pani prezesowa babci szepnęła. Gdy się potém informacye Olesia zgodziły z tém co starościnnie powiedziano, uwierzono plotce na dobre. Starościna nawet mówiła o niej Hannie, która się oburzyła.

Co gorzej, z okazji tego nieszczęśliwego obiadu, na który Hanna w imieniu starościny odważyła się zaprosić Sylwana, ojciec wzięwszy córkę na stronę, powiedział jój otwarcie, że więcej go sobie w domu widywać nie życzy, że go tu w mieście znają jako niebezpiecznego demagoga i człowieka bez religii, i że ma jawny, skandaliczny romans z aktorką.

Nieuwierzyła temu wprawdzie Hanna, lecz ją sama plotka uwłaczająca Sylwanowi zabolala...

Gdy Lelia przyszła potém... a starościna przyjęła ją zimno i pilnowała, ażeby sam na sam z sobą być nie mogły; Hanna, która nie chciała dopuścić aby fałsz zamknięty w sercu jój, miłość dla Sylwana osłabiał—zebrała się na śmiałe postanowienie. Mimo odwoływania babki wyprowadziła Lelię do przedpokoju i szepnęła jój na ucho.

— Jutro o dziesiątej idąc sama do kościoła—wstąpię do ciebie—mam ważne rzeczy do powiedzenia. Serce mnie boli. Proś pana Sylwana ażeby się także znajdował.

Hanna powiedziawszy to wróciła prędko do sta-

rościńej — a Lelia strwożona, zmartwiona i niespokojna poszła do domu, aby co prędzej Sylwanowi oznajmić o żądaniu Hanny.

Zastała brata nad rachunkami, spokojnego jakby swój jasnej przyszłości był pewnym. Spojrzawszy tylko na wrażliwą twarz siostry, zmienioną i zboląłą, poznał Sylwan, że coś złego przynosi.

W krótkich słowach opowiedziała mu wszystko — Sylwan pozostał spokojnym.

— Nie trwoż się — rzekł — mój los jest w rękach Hanny, a ja w niej mam wiarę nieograniczoną — lecz można się było spodziewać, że nam tu szkodzić będą i muszą, że obrzucą potwarzami, że nie jedną chwilę przeboleć przyjdzie.

Nie radbym nigdy z Hanną schodzić się potajemnie — lecz znać to jest koniecznem, gdy ona sama tego żąda... Przyjdę.

Zrana więc Sylwan wcześniej przybył do siostry, która wzruszona i niespokojna na przybycie Hanny czekała. O dziesiątej służącą, którą jej towarzyszyła zostawiwszy na dole, Hanna weszła. Błada była i zmieszana ledwie przywitawszy się padła w krzesło i potrzebowała spocząć, zebrać myśli i siły — nim mogła przemówić.

Sylwan stał u stołu milczący...

— Łatwo się domyślicie, rzekła głosem z razu drżącym, że musiałam mieć ważne powody przychodzić do was ukradkiem... Nie lubię się kryć z tém co czynię... ale musimy się rozmówić otwarcie...

Nie posądzam nikogo, nierozumiem powodów, lecz babci różne wieści poprzynoszono, które na nasze stosunki wpłynąć mogą. Chcę was oboje wezwać byście mnie wytłumaczyli zkąd te czernidla płyną... ojcę doniesiono, że ty Lelio masz jakiś miłosny stosunek, z którym się kryjesz... z jakimś tam Lubiczem.

Lelia zaczęła się śmiać...

— Pozwól Hanno, rzekła — to nie ma najmniejszego sensu... ja tego pana niewiem czym cztery razy w życiu widziała...

Ruszyła ramionami pogardliwie.

— Nawet się z tego dzieciństwa tłómaczyć nie potrzebuję...

— Na pana Sylwana zewsząd obwinienia o jakiś romans z aktorką, o schadzkach w jego ogródku...

Sylwan się zarumienił z gniewu...

Hanna długo patrzyła na niego.

— Mów pan prawdę, całą prawdę...

— Czy wierzysz mi pani, że nawet dla największego szczęścia przed nią bym nie skłamał? odparł Sylwan.

Po krótkiem milczeniu Hanna odezwała się. Tak—wierzę.

— Powiem więc pani, że znam w istocie biedną, nieszczęśliwą sierotę, której może grożą suchoty, której lekarze kazali pić wody, a ona dla natręctwa głupiej młodzieży nie miała gdzie się przechadzać. Ze starym suflerem zaprosilem to nieszczęśliwe dziecko do mojego ogródka, dawałem jej książki, dawa-

łem rady — i — pani mi tego za złe nie weźmiesz — miałem i mam dla niej współczucie. Jest go warta... Lecz serca dać jej nie mogłem, a płochém dzieckiem nie jestem; ani jakimś uwodzicielem... Łatwo z tego wszystkiego ukuć było niedorzeczną bajkę...

— Dajesz mi pan słowo?... przerwała Hanna.

— Panno Hanno! znasz mnie pani od dziecka, rzekł Sylwan smutnie, czyż potrzebujesz tylu zaręczeń, że ja prawdę mówię.

— A! wierzę! wierzę! ale na Boga — zawołała Hanna, dlaczego dajesz powody do takich potwarzy...

— Chciałażeś pani bym jej odmówił pomocy dla tego, że na mnie potwarz paść miała? Czyby się to godziło? Jest to biedna istota... sierota uboga, znękana... a na nieszczęście dosyć ładna i utalentowana... młodzież za nią lata... potrzebuje opieki aby się nie zmarnowała...

— Przyznam się panu, że jednak starszego by sobie opiekuna wybrać była powinna... rzekła Hanna...

— Gdyby go miała do wyboru odezwał się Sylwan.

Zamilkli — po chwili, Sylwan dołożył. Nie czyń mi pani téj srogiéj krzywdy, byś moim słowom nie dała wiary... Gdybym ją stracił... nie by mi już nie pozostało...

— Ale temu kłamstwu trzeba przecie jakąś położyć tamę! przerwała Hanna.

— Zdaje mi się, że teatr wkrótce się na powin-

cyę wyniesie... zresztą rzekł Sylwan — ja tam nie bywam nigdy prawie, a gdy jałmużny słowa, rady zapotrzebuje sierota... ja com sieroctwo znał, odmówić go niepotrafię...

Taki wyraz prawdy był w głosie Sylwana, iż Hanna wzruszona jakby przeprosić go chciała. podała mu rękę, lzy tylko pociekły jęj po twarzy...

— To są dopiero początki — odezwał się Sylwan — przygotowany jestem na daleko gorsze prześladowania w przyszłości, Lelia podzielać będzie moje losy... Wszystko co najbrudniejszego znajdą, tém rzucą na nas... Bóg da, że z tego ich błota, nie do nas nie przyłgnie. Boli mnie tylko, iż pani przez swą dobroć dla nas wciągniętą jesteś w to koło i cierpieć będziesz z nami...

Niewiem co pocznie siostra moja — mnie po ostatniem przyjęciu... przez ojca pani nie wypada być tam więcej.

— Co ja zrobię, niewiem — wtrąciła Lelia — to pewna, że ustąpić nie mam ochoty i że walczyć będę... Przyjaźń Hanny na którą rachuję jest mi nadto drogą, abym się jęj wyrzec miała dla małych przykrości jakie mi bywanie u nięj ściągnąć może...

Powoli Hanna zaczęła przychodzić do siebie — uśmiechnęła się Sylwanowi...

— Bądź co bądź, rzekła — niech już sobie mówią co chcą — wierzyć nie będę, lecz jak biedną babcię przekonać? Z wielkiego przywiązania do mnie obawia się cienia nawet czegoś, coby mi szkodzić, coby

na mnie wpływ jakiś wyrzeć mogło... Prezesowa bywa codziennie... wsunęli się do domu inni ludzie, którzy codzień jakieś tajemnicze przynoszą wiadomości, niewidomą siecią otaczają staruszkę... trwożą ją...

— Tego wszystkiego spodziewać się było potrzeba — rzekł Sylwan — daj Boże tylko, abyśmy wyszli cało z walki, w której siły są nierówne. My ani potwarzy, ni fałszu się nie chwycimy — a musimy ciosy ich znosić... Tylko czas i cierpliwość przynieść mogą zwycięstwo...

Hanna spostrzegła się, że za długo już zabawiła u Lelii, położyła palce na ustach — podala obojgu dłonie i szepnęła. Do zobaczenia — ale gdzie — i kiedy?

Po wyjściu jój brat i siostra pozostali długo na naradach i rozmowie... Sylwan widział przyszłość czarno... pomimo serca Hanny, na którą rachował. Lelia oburzała się na machinację — lecz zamknięta w sobie nie zwierzyła się bratu nawet, co uczynić postanowiła. Widać tylko było, że stawiała do walki z mężstwem kobiety, która się z niebezpieczeństwem rachować nie umie...

Po odejściu Sylwana — Lelia zamysłona chodziła długo, na ostatek pobiegła do biórka i zdarłszy kilka rozpoczynanych a niedokończonych kartek... napisała krótki list, który wysłała, troskliwą dodając informację posłańcowi...

Potém ubrała się nadzwyczaj starannie, i po dłu-

gięj ze zwierciadłem konferencyi zasiadła z książką w ręku w fotelu.

Znać po niej było mimo meztwa, na które się zdobyła, uiekokój i rozdrażnienie... Zrywała się co chwila, nasluchiwała... Każde drzwi otwarcie budziło ją z zadumy... Spędziła kilka godzin w jakimś gorączkowem oczekiwaniu.

Około godziny czwartej z południa krok szybki dał się slyszec na wschodach — zadzwoniono i po chwili łysy Oleś, wielce wyszarmantowany, z twarzą dziwnie pomieszaną, stawil się przed nią.

Lelia przyjęła go z zimną powagą.

— Pani byłaś łaskawa kazać mi się stawić? rzekł cicho.

— Tak jest, panie, proszę niech pan siada — mamy do pomówienia. Wdzięczną jestem, żeś pan był łaskaw przyjść i proszę o chwilę cierpliwości.

Wstęp wcale w innym tonie, niż zwykle żartobliwe i wesole szczebiotanie Lelii, zapowiadał coś bardzo poważnego. Pan Aleksander przysiadł na brzeżku krzeselka.

W czasie powitania tego i wstępu, czuł Oleś miał czas spojrzeć na piękną wdowę, która zdaje się umyślnie tego dnia stała się bardziej jeszcze czarującą, powabniejszą niż kiedykolwiek. Przywdziała nową nieznaną mu fizyognomię — z którą było jēj bardzo do twarzy... Wydała mu się młodszą, taką jaką ją znal i pamiętał jeszcze, gdy była kilkonastoletnią śliczną dziewczką.

Nie posądzał Lelii o żadne wyrachowanie zalotne — a jednak! tak umiała sięść, tak przybrała postawę wdzięczną, wzrok jój był tak przenikający jak gdyby nieszczęśliwego człowieka na wieki podbić i usidlić chciała.

Oleś uczuł się w obec niój, nim jeszcze usta otworzyła, słabym i bezbronnym.

— Ta kobieta, rzekł w duchu, zrobić ze mną może co zechce.

Głęboko westchnąwszy Lelia zebrała się na mowę, nad którą się długo wprzód namyslała.

— Znasz mnie panie Aleksandrze od dzieciństwa, rzekła — znałeś mojego ojca, rodzinę, ciotkę: całe życie moje i brata jest ci wiadomem... Za życia męża, po jego śmierci, powiedz mi pan szczerze, otwarcie, czyś znalazł co w mojem postępowaniu nagannego, skrytego, co by ci o charakterze mogło dać złe wyobrażenie?

— A! pani! zawołał Oleś — czyż się godzi pytać nawet...

— Przyznajesz więc pan, że dotąd była kobietą uczciwą i niedalam prawa do podejrzeń żadnych, mówiła wdowa. Wiem, że uszów starościny i pana doszły śmieszne a oburzające na mnie potwarze... Nie przerywaj mi pan... Starościnęj przyjęcie ostatnie dało mi to uczuć... zkaż mi, niepowiem, ale przyczyna jest mi znana... Jeśli o czyją to o waszą opinię, panie Aleksandrze... idzie mi wielce. Niech sobie głupie ludzic plotą niedorzeczności — co mnie

to obchodzi, w oczach waszych chcę być zawsze tą, którą bylam niegdyś, pragnę waszój przyjaźni być godną.

Pan Aleksander chciał przerwać, wdowa podniosła białą rączkę i mówiła dalej.

— Daj mi pan dokończyć. Obmowa, której się dopnszczono względem mnie jest wprost bezsenssem, bo tego pana widziałam ledwie w obcych domach, progu mojego nie przestąpił nigdy, a jest dla mnie— obrzydliwym...

— Ale pani dobrodziejko — począł Oleś, bijąc się w piersi jak przed konfesyonałem — ja — ja...

— Pan, pan, i pani starościna na chwilę uwierzyliście! Nie oburza mnie głupia plotka, ale to właśnie, że ona na was wrażenie uczynić mogła .. Na was! na panu! na panu... któryś mi zawsze tyle okazywał przyjaźni...

Pan Aleksander, do którego mówiąc to zbliżyła się Lelia, o mało nie ukląkł przed nią. Był pod wrażeniem jój wdzięku tak silném, iż niemal sąd i pamięć postradał.

— Ale pani nie sądzisz! nie wierzysz! zawolał — ja — jam...

— Kto panu tę bajkę splótł? mów mi pan zaraz? zapytała Lelia podsuwając się ku niemu.

— Pani — ja niemogę.

— Pan mi to musisz powiedzieć.

— Dasz mi pani słowo, że to zachowasz przy sobie, że...

— Daję słowo, że z tego nie zrobię żadnej historii — ale wiedzieć muszę...

Oleś przysunął się z krzesłem ku niej, dla większego upewnienia się, iż mu dotrzyma słowa chwycił jej rękę... Był pod jej władzą... nie panował nad sobą.

— Pani — odezwał się z cicha — pani! o najśliczniejsza pani!

Mimowolnie uśmiech przeleciał po usteczkach różowych wdowy.

— Pani — tę głupią plotkę przyniosła starościnęj prezesowa...

— A panu? panu kto?

— Ten pocziwy ale trzpiotowaty Dołęga... ale pani mnie nie zgubi... ja dla pani gotów jestem na największe ofiary... pani nie miałaś i mieć nie będziesz przyjaciela nademnie...

Lelia spojrzała mu w oczy bystro.

— Panie Aleksandrze — rzekła — nie czyń mi téj krzywdy byś sądził, że ja czułości jego przyjmować mogę nie przekonawszy się, że są czemś więcej jak komplementem...

— Jakto? komplementem? podchwycił Oleś rozgorzały już i nieprzytomny... czyż pani nie domyśliła się uczuć mych dla siebie?

— Tłómacz się pan jaśniej? jakie to są uczucia?

— Uczucia szacunku... przyjaźni najczulszój — admiracyi — a! pani!

Pan Aleksander w chwili gdy już, już miał strasz-

ne wyrzec słowo — przeląkł się mierząc całą jego doniosłość... zatrzymał. Wdowa opuściła zupełnie tę rękę, którą był ujął, jakby bezwładną, sparła się na łokciu i osmutniała, zadumana i głosem melancholii pełnym poczęła.

— Czyż pan, pan... nie widziałeś wzajemnie całego mego współczucia dla siebie? Czyś pan mnie kiedy widział płoczącą? Byłam i jestem wesolą, lecz byłamże zalotną? Jam od lat najmłodszych całym sercem była jego przyjaciółką, a od śmierci mego męża nawykłam go uważać za opiekuna, za jedynego, któremu ufam... a pan.

— Pani! zawołał Oleś przyklękając na jedno kolano — niech się pani ulituje nademną — ja głowę tracę... ja niewiem jak wyrazić co czuję — ja jestem jej wielbicielem do zgonu...

— A! panie Aleksandrze — jest to wyraz chwilowego tylko uniesienia jego dobrego serca.

— Jest to wyraz uczucia, które ja miałem i mam dla pani... i chcę je zachować na zawsze...

Wiesz pani — począł nagle jakby wielkiej nabierając odwagi — gdybym nie był w tym wieku...

— Ale waćpan jesteś młodym? z uśmiechem odezwiała się Lelia...

— Gdybym miał odwagę wynurzyć całe me serce przed nią...

— Proszę pana... bez żadnej obawy...

— Pani nie widzisz, że ja się w pani szalenie kocham!!

— Nie, tego nie widzę, zimno rzekła Lelia, bo gdyby tak było, będąc wdowcem, widząc mnie wdową, dawnobyś pan mógł mi powiedzieć — oto ręka moja...

— A cóż pani byś na to powiedziała! krzyknął Oleś padając już na oba kolana...

Lelia nagle zamilkła... chwila niepewności trwała tak długo, że pan Aleksander pobladł — wreszcie podała mu obie ręce...

— Panie Aleksandrze! to uroczyste oświadczenie... mam dla pana współczucie i szacunek... masz rękę moją... będę twoją.

Usłyszawszy te słowa, Oleś schwycił ręce Lelii niosąc do ust i jak szalony całować je począł... zerwał się, ukląkł raz jeszcze, zdjął pierścień z palca i jakby się sam lękał cofnąć, zamienił go w milczenie z wdową... Wszystko to odbyło się tak szybko, tak piornnowo, iż pan Aleksander usiadłszy uspokojony w fotelu przy Lelii, trzymając ję rękę, patrząc w ję oczy... tarł czoło aby siebie samego przekonać, że to snem nie było...

— Teraz, odezwała się cichym głosem Lelia — gdyśmy już przed Bogiem poślubieni — mówmy spokojnie o przyszłości...

— Mówmy! mówmy o tęg szczęśliwęg przyszłości — rzekł Oleś... lecz droga Lelio... o jak mi słodko wymówię teraz to imię! — musimy czas jakiś zachować w tajemnicy zaręczyny... babcię i Hannę muszę przygotować.

— Tak, lecz zbyt długo ani pan nie potrafisz ukrywać. ani ja mogę cierpieć tajemnicy, któraby znowu potwarz jaką zrodzić mogła...

— Ja! ja na wszystkom gotów co każesz... rad-bym szczęście moje przyspieszyć... lecz starościna...

— Wierz mi pan — że starościna mniej będzie zdziwioną i nie tak przeciwną jak ci się zdawać może... Hanna jest moją przyjaciółką...

Imię Hanny przywiodło znać nagle na pamięć Olesiowi Sylwana, chmurą oblokła mu się twarz, lecz Lelia ścisnęła jego rękę i pan Aleksander znowu o wszystkim, co nią nie było zapomnial.

— Teraz — idź pan — odezwała się — potrzebuję zebrać myśli — ochłonąć, opamiętać się... wnijść w siebie; mogłażem się spodziewać, że ta rozmowa poczęta wymówkami skończy się takim wyznaniem...

— A jaż! a ja! rzekł ręce składając Oleś — mógł-żem wchodząc na ten próg przypuścić nawet, bym tak szczęśliwy powracał! A... pani...

Stary Oleś tak się zbliżał natarczywie do narzeczonej, chwytając białe jéj rączki... a zdając się szukać ust różowych... tak był pokorny i czuły, iż Lelia nie opatrzyła się jak dotknął ustami jéj czoła... Z lekka odepchnięty... pan Aleksander znowu poch-wycił ręce i jak szalony z domu wyleciał.

Wielkiem to było szczęściem dla niego, iż nikt go nie zobaczył wybiegającego i kłusującego potém tro-tuarem czas jakiś, dopóki chłopiec od szewca, który

go mijając śmiać się począł, nie przyprowadził do opamiętania...

Śmiech ten dopiero go wytrzeźwił. Cała scena owa przyszła mu na pamięć, spojrzał na pierseionek... począł się i cieszyć i trwożyć. Co powie staroscina gdy się dowie? jak jój to powiedzieć? Co pomyśli Hanna? Jak to przyjmie świat? Całe brzemie najrozmaitszych trudności i zawikłań, które sobie swą popędliwą miłością zgotował, stanęło teraz przed nim z groźbami i strasznemi widziadły.

Pan Aleksander sam niewiedział jak do tego przyjść mogło, co zaszło, jak się ośmielił oświadczyć?...

— No — prawdę rzekłszy — powiedział sobie w duchu, powoli już wracając do domu — dawno bo się to przygotowywało. Musiał wulkan zebrany w mych piersiach wybuchnąć? Co to ludzie powiedzą! co ludzie powiedzą! Niech sobie mówią co chcą... Wszystko mi jedno... trochę szczęścia jeszcze mi się należało. A ona! ona tak piękna! tak urocza...

Znalazł się w progu domu i marzenie zostało przerwane.

XI.

Tego wieczora gdy Szerszeń chodził nadaremnie po pana Sylwana, późno już dosyć wrócił do domu. Chłopiec oznajmił mu, że go panna Viola do siebie na chwilę prosiła — godzina jednak była już, gdy artystka musiała być w teatrze, a po jej powrocie do domu odwiedziny zbyt by się spóźniły. Nie poszedł tego dnia Sylwan, aż dopiero nazajutrz rano...

Viola kaszlała tego dnia więcej niż kiedy, wczorajsza rola długa, wymagająca wiele uczucia, znużyła ją mocno. W nocy miała trochę gorączki, wstała błada, osłabiona, czując się źle i wody pić nie mogła. Spocząć trudno było, bo też nadchodził benefis dyrektora i owa rola Julii, do której tyle potrzebowała nauki i przyborów... Oboje Pawłowie widząc ją tak słabą dobierali środków by orzeźwić biedną i ulżyć jej w czemkolwiek... Nic to jednak nie pomagało, Viola siedziała odrętwiona a może oczekiwanie próżne na Sylwana, którego się spodziewała wieczorem, nie widziała w teatrze — przyczyniło się do tego smutku i osłabienia.

Gdy po chodzie w pierwszym pokoju i po głosie

poznała go zrana, rumieniec jój wystąpił na twarz, porwała się z kanapki i wybiegła naprzeciw, tak nagle orzeźwiona, jakby w nią nowe życie wstąpiło.

Sylwan w jój twarzy spostrzegł jednak ślady niezdrowia i zmęczenia.

— Co to pani jest? spytał troskliwie.

— Tak, było mi niedobrze—odparła uśmiechając się—ale gdym pana posłyszwała wszystko mi odeszło... Tak rada jestem, że go widzę...

— A ja wczoraj przyjść nie mogłem—odezwał się Sylwan, którego ten pełen rzewności głos przerywany kaszlem poruszył—dano mi znać późno; a potem chybaym po teatrze mógł służyć... godzina była niewłaściwa.

— A! dlaczegoż? cicho szepnęła rumieniąc się Viola—pana bym była przyjęła o każdej godzinie...

Naiwne te wyrazy, wzrok i pomieszanie Violi, aż nadto mówiły. Sylwan, widząc to przywiązanie do siebie, które przyjaźnią tylko braterską mógł odpłacić, czuł się jakby winnym, iż wzrość uczniowi dozwolił, choć go niczem nie podbudzał. Przed oczyma teraz miał obowiązek odjąć jój wszelką nadzieję, niedopuszczyć aby się łudziła... Lecz jakto było dokonać?

Z bólem w sercu siadł przy niój na kanapie rozpytując o zdrowie.

— Już mi teraz nic nie jest, rzekła—wczoraj było niezmiernie wiele do roboty... a rola, którą grałam, tak ciężka, tak bolesna... a ja się wcielałam w każdą.

że z nią odcierpieć muszę wszystek ból, jaki w nią wlał poeta... Wróciwszy do domu musiałyśmy do pierwszej w nocy szyć z Pawłową... Powinnam była do tego przywyknąć — bom od dzieciństwa, ledwie igłę mogąc utrzymać w ręku, po całych nocach ślipyła, a ileż się ich nie spało płacząc i głodno...

Zamilkła... Sylwan zwrócił rozmowę... Opowiedziała mu przygody swojego życia, począł on ze swoich się spowiadać. Viola słuchała go z zajęciem gorączkowym...

— Przed wami, droga pani, nie będę nic tań, mówił Sylwan spokojnie... nawet tego co się na dnie serca trzyma zakryte od ludzkich oczów...

I począł jęj opisywać młodość spędzoną na wsi, dziecinne z Hanną zabawę dziecięcą, potem młodzięczą dla Hanny miłość...

Twarz biednej dziewczyny zwolna zaczęła się marmurową oblewać bledością... usta drżeć i sinieć... oczy łzami zachodzić poczęły, wstrzymała oddech, zasłuchana, przelękną...

Sylwan widział wrażenie, a jednak musiał wyznania swego dokończyć, aby się z niego mogła dowiedzieć, że tej miłości dochował do dziś dnia i że w tém sercu nią zajętem, na nową miejsca nie było.

— Obok tej Hanny, rzekł w końcu — braterską miłość dla was, umieszczę. Wierz mi droga pani, jest ona inna, ale nie jest od tamtej słabszą, ani mniej trwałą, ani mniej do poświęceń zdolną.

Viola nic nie mówiąc, schyliła się do jego ręki

i nim Sylwan mógł ją cofnąć, gorące do niej przyłożyła usta...

— A! nie wyrzekaj się mnie pan, dlatego że kochasz inną, piękniejszą, idealniejszą, godniejszą ciębie nademnie — ty mnie niepotrzebujesz — ale ja w tobie znalazłam podporę, radę... ojcowską.

Gdyś mówił, dodała — było mi gorzko aż do łez — a teraz jest mi błogo nad wyraz... bo twoja dla mnie miłość braterska jest prawdziwą... bezinteresowną... taką, w którą ja wierzyć muszę. Nie ma w niej namiętności... więc ona trwać będzie...

Tak... tak — mówiła żywo — trzeba było żebyś mi to powiedział — to mnie uspokoi — uleczy... A! ja co się przyznać muszę... nie patrz na mnie i nie śmiej się z biednej — jam się innego spodziewała wyznanie, bo moje przywiązanie dla ciebie jest więcej niż siostrzaną miłością...

Słowa jej w cichem łkaniu ginęły, trzymała rękę Sylwana i milczała długo. Potem spokojnie otarła łzy i uśmiechnęła się.

— Tak mi dobrze teraz! zawolala — czuję się swobodniejszą... Pan mnie nie porzucisz... nie pogardzisz mną... będziesz mi zawsze bratem...

Sylwanowi także ciężar wielki spadł z serca, czuł i on się swobodniejszym, jak po spełnieniu obowiązku... Znowu po chwili usiłował zagadać o czem innym, gdy Viola... zobaczywszy na stoliku rzucony list Hermana, podała mu go z uśmiechem.

— Winien to szczęście, że go rozpieczętowała,

temu iż ręka wasza, panie Sylwanie... całkiem do jego pisma podobną... Przeczytaj go... ciekawy bardzo... śmiałam się nad nim i płakałam...

Sylwan w istocie począł list Hermana czytać i zadumał się nad nim: w sarkazmach i ironii jego było wiele smutku... Przypomniawszy sobie, że dosyć go dawno nie widział, i nie wiedział co się z nim dzieje...

— Ze wszystkich listów, których mogłabym stworzyć zbiór dosyć ciekawy — rzekła — jest to może najdziwniejszy. Gdyby on nie był takim wielkim panem, a ja tak biedną dziewczyną, powiedziałabym, że jak ja jest nieszczęśliwy... lub... lub — dodała, lepszy aktor odemnie...

Ze smutkiem pożegnali się z sobą, ale Viola poufałą, śnielszą się czuła teraz, jakby z tego stosunku spadły ciężące na nim kajdany...

— Więc, rzekła rozstając się — ona tu jest, pokażcie mi tę Hannę! niech ja jej twarz zobaczę!... ja ją kocham... choć ona nigdy mi nie odda mojej miłości dla siebie...

Wyszedszy od Violi, Sylwan prosto udał się do brata którego spodziewał się zastać o tej godzinie. Znalazł go w istocie, ale w łóżku, Herman był chory a bardziej roznerwowany i kapryśny.

Mieszkanie Hermana doskonałym było jego charakteru komentarzem. Z wielkim przepychem urządzony pokój sypialny, dywanami wysłana podłoga, łóżko z kotarą jedwabną, portiery z gobelinów, meble naśladowane ze starych, tysiące fraszek błę-

szczących, a przytem największy nieład jaki sobie wystawić można.

Troskliwość matki zawiesiła nad łożem obrazek pobożny, palmę i gromnicę, ale niedaleko od niego na ścianach poprzybijane były fotograficzne reminiscencye teatrów i znajomości żeńskich, które przed hrabiną tłómaczyły się swoją artystyczną pięknoscią. Na stoliku proszki burzące niedopite, butelka czerwonego wina rozpoczęta, połamane biszkopty, pomięte dzienniki, porozsypywane cygara, pieniądze, listy, książki... Filozoficzne rozprawy razem z romansami i historyą Rigolboche... poważne dzieła i Kladderadatsch, kawałki wstażki... Herman w pięknym tureckim szlafroku, pantoflach, w batystowej koszuli, leżał na pół, na pół siedział z rękami zagrzebanemi we włosach rozrzuconych, błady i zamyślony.

Wchodzącego Sylwana powitał zrazu sądząc, że akiś natręt go napada, chmurną twarzą i jakby poryweu do gniewu, ale na widok jego rozchmurzył się i podał mu białą, chłodną dłoń po przyjacielsku.

— Co tobie jest, siadając przy nim rzekł brat, nigdzie cię nie widać? wszyscy o ciebie pytają a ja się niepokoję—przyszedłem nareszcie sam zobaczyć.

— Choruję, bo nie mam co robić—westchnął Herman... towarzystwo nieznośne, świat głupi, ludzie obrzydliwi!

— No — ale i my nie lepsi, mój Hermanie.. roz-

śmiał się Sylwan, świata nie zmienim, a żyć w nim trzeba.

— Chciałem wypocząć chorując — odezwał się Herman, ale nudzę się gorzej jeszcze. W towarzystwach wiekuiście ta sama rozmowa, klerykały krzywą na czerwonych, demokraci wrzeszczą na ultramontanów, plotki, sarkazmy, intrygi, głupota...

— Pytam się ciebie jeszcze raz, cóż my lepszego? odrzekł Sylwan.

— Ty jesteś lepszy. bo pracujesz i nie piszczysz a nie gadasz... ja jestem jeszcze gorszy niż wszyscy... a mimo to splen napada, że w łeb sobie strzelić by można!... Myślałem, że pojąć, dobyć potrafię z nich czy dowcip czy serce... gdzie tam? gdy się popiją — czyste bydło!

Sylwan się śmiał.

— Nic gorszego nad takie nudy w samotności, idź wstań, rozruszaj się, nadewszystko rób cokolwiek...

— Mądry jesteś! cóż będę robił? Malo co uniem i lichy... Każdą z tych rzeczy, które jabym mógł robić, ktoś inny potrafi lepiej nademnie — nawet kochać się szczęśliwiej umieją niż ja...

Sylwan przypominał sobie list jego do Violi.

— No! zawolał — cóżes to za epistolę wystylizował do téj biednej suchotnicy...

Herman się zaczerwienił.

— Czy ci ją pokazywała?

— Samem ją zobaczył na stoliku u niéj. Otwo-

rzyła ją sądząc, że list odemnie, pokazuje się bowiem, że mamy pisma zupełnie podobne...

— A twoje pismo zna, rzekł szydersko Herman.

— Doskonale, bom jój przepisywał role.

— A! dobry wykręt? Jakże znalazła moją kompozycję...

— Wiesz, co powiedziała o niej, że jój-się zdajesz tak nieszczęśliwym jak ona, lub lepszym od niej komedyantem!...

Pokiwał głową Herman.

— Ty się w nią kochasz i ona cię kocha?! przyznaj się.

— Wierzysz słownu mojemu?

— Wierzę.

— Daję ci słowo, że się w nią nie kocham.

— Cóż cię do niej wiąże?

— Jój nędza, choroba i nieszczęście.

— Dla czegoż niechcesz dopuścić, ały ją kto inny ratował?

— Ja? niechcę dopuścić! zawołał Sylwan, ja się do niczego nie mieszam; lecz gdzie idzie o ciebie będę na przeszkodzie balamuctwu, którego sam byś potem żałował. Mężczyźni zwykle umizgi do kobiet, zwłaszcza z innéj sfery towarzyskiéj, posunięte, aż do ostatniego kresu, nieuwważają za nic zdrożnego, jest to przecież nikczemném dla zabawy poświęcać cześć, spokój, sławę biednéj dziewczyny.

— A któż ci powiedział, przerwał Herman, że jabym to chciał poświęcać dla rozrywki? Ja jestem

aż nadto seryo w rzeczach, które inni za mało znaczące uważają, a mało przywiązują wagi do tych, które świat ma za bardzo ważne. Ja się szalenie kocham w tym dyable Violi... i kto wie, jakby daleko miłość pójść mogła...

— Mój Hermanie! przecieżbyś się nie ożenił? rzekł Sylwan.

— Jakto? dlaczego? gdybym ją kochał a był kochany? a myślisz żeby mnie co wstrzymać mogło.

Sylwan spojrział nań trochę zdziwiony.

— I wprowadziłbyś do rodziny ten żywioł, który by w niej usychał... odpychany, zaparty... nieszczęśliwy?...

— Rodzina musiałaby mnie przyjąć z nią, albowiem ja zaparł się nawet familii, przerwał Herman...

— Kochany bracie. tak się mówi, tak się nawet czyni, i po tém całe życie żałuje.

Tę szczęśliwą pasyę do Violi, powinienes sobie wybić z głowy i serca... Im biedniejsza ona, tém na większy zasługuje szacunek. bo z nędrą walcząc uczciwą jest i może światu całemu patrzeć w oczy śmiało... nie wstydząc się w życiu żadnego kroku nie mając do wyrzucenia sobie żadnego błędu...

— Gdybym konał z pragnienia, a ty byś przyszedł mi powiedzieć z krwią chłodną — mój kochany, niech ci się pić nie chce... byłoby to właśnie tém, co mi teraz mówisz. Rada wyborna... rozśmiał się Herman—ale ten szatan swym wzrokiem mnie przesładuje...

— Zapomnisz!!

Herman począł coś nucić.

— Słuchajno, dodał zaraz, wyparłeś mi się, że się nie kochasz w Violi, wierzę, choć jestem pewny, że jeśli nie ty w niej, ona się w tobie kochała... a teraz powiedz prawdę—nie kochałeś się w pannie Hannie?

Sylwan zaczerwienił się i zamilkł.

— Nie miałbym się czego wstydzić, rzekł po chwili—ale wyznań takich nie wymaga się nigdy.

— Nie nalegam, rzekł Herman, muszę cię jednak posądzać o to... Kocham cię doprawdy, mój Sylwianie, bo w tobie widzę człowieka, muszę ci więc powiedzieć nawzajem, że tobie starają się kochane świętoszki uszyć buty, posadzając o miłość dla panny Hanny. Tak bogata partya nie może być dla nich obojętną—chcieliby ją wydać za kogo ze swoich—podejrzewają coś, że musisz im być przeszkodą—strzeż się.

— Cóż oni mi zrobić mogą?

— Oszkalnią naprzód.

— Zdaje mi się *que c'est chose faite*—a potem?

Herman zdawał się niechcieć powiedzieć wszystkiego, czego się domyślał i o czem wiedział.

— Potem—przebąknął—mogą się ztąd starać ciebie pozbyć.

— To by im przyszło łatwo odezwał się obojętnie Sylwan. Ale, niewieszże kogo pannie Hannie przeznaczają.

— Między innemi, mnie! rzekł śmiejąc się Her-

man, ale ja nie będę dla ciebie niebezpiecznym rywalem. Panna Hanna jest dla mnie za poważna. Po za mną stoją szeregiem wszyscy pobożni a goli kawalerowie, należący do bractwa.

— Ja ci to tylko powiem — odezwał się Sylwan, że panna Hanna mimo poszanowania dla babki i ojca wydać się nieda, przeciwko woli.

— A nie obawiasz się ich wpływu na nią? zapytał Herman...

— Ja się w ogóle mało czego na świecie obawiam, bo na wszystko jestem przygotowany — odezwał się Sylwan.

— W obozie poruszenie wielkie, mówił Herman śmiejąc się — *l'arrière ban*, nieruchome matedory, rezerwy zreumatyzowane, dostojników, którzy się nigdy nie ruszają, powołano dla zawojowania starościniej. Zdaje mi się, że i na pana Aleksandra... przygotowano trufle i bażanty, by przez żołądek wkraść się do jego serca...

Sylwan ruszył ramionami i przeszedł się po pokoju...

— Gdybyś był bardzo pocziwym bratem, rzekł, a chciał biednej pannie Hannie oszczędzić wiele przykrości — mógłbyś... mógłbyś trochę — tak — grać rolę pretendenta. aby ją od innych zasłonić... Przecież to rola ani przykra, ani upokarzająca, ani zakazana... ja i ona bylibyśmy ci wdzięczni. W ten sposób zyskalibyśmy na czasie...

Herman, który dotąd leżał wyciągnięty na łożku — zerwał się.

— I byłaby doskonała rozrywka! rodzaj komydy towarzyskiej, zawołał — wiesz, że masz pomysły mistrzowskie. Niech cię za to uściskam... Ale musisz mi się przyznać...

Sylwan wstrząsnął się. — Niemam się do czego przyznawać, rzekł, powinienes się domysleć wszystkiego.

— A nie lękasz się bym ci ją odkochał? spytał śmiejąc się Herman.

— Znać że nie...

— Ręka więc, wyciągając dłoń żywo począł młody hrabia — staję na czele pretendentów i resztę oganiać ci będę... ale uprzedźże pannę Hannę, żeby mnie zbytecznie nie traktowała z góry...

Rzucił się ściskać Sylwana i począł zaraz dzwonić na Staszka, który wpadł jak oparzony...

— Pan dzwonił?

— Tak jest, fryzjer, co prędzej, odzienie, biegaj... wychodzę...

— Ale pan chory!

— Co ci do tego! suknie podawaj!

Sylwan stał zdumiony patrząc.

— Wyzdrowiałeś?

— Zupełnie, natychmiast jadę z wizytami, ale wprzód mam się opowiedzieć muszę. Za poddanie doskonałej myśli, Bóg zapłać! Przedziwna myśl, cudowna! wyborna!

Klasnął w ręce — Staszek! co najprędzej do ubierania...

Porwał się ściskać Sylwana.

— Nie umiem ci wyrazić mojej wdzięczności, przecież będę czynnym!

Sylwanowi ta radość i pośpiech wydały się dziwnie, pożałował nawet, że mu to słowo rzucił, tak płocho pochwyczone, że tę myśl nieszczęśliwą podał — lecz cofnąć ją, odebrać temu rozpieszczonemu dziecięciu, już było niepodobna. Porwał ją Herman jak zabawkę i odprawiwszy brata co rychłej, poszedł zaraz do matki.

Hrabina, która wiedziała że w łóżku leżał, niezmieśnie zdziwiła się widząc go tak wyelegantowanym, zdrowym i wesołym. Zdziwioną była bardziej, gdy prosząc ją o posłuchanie zaczął od słów.

— Wie mama co, ja chcę się starać o pannę Hannę Junoszanek? Mama miała doskonałą myśl, panna ładna i bogata... bardzo poważna i dystygowana .. zdecydowałem się.

— A to bardzo dobrze! przecież raz masz rozum! odezwiała się matka uradowana — *je ne demande pas mieux!*

— Ale niechże mi mama pomoże, dodał Herman... wiem, że tam nasi dobrzy znajomi różne mają projekta i podsuwają różnych... niech mi nie przeszkadzają...

— To się rozumie! któżby ci chciał przeszkadzać — zawołała hrabina — będziesz miał wszyst-

kich za sobą! staraj się tylko pannę pozyskać, bądź poważnym!...

— Jak zechcę — zobaczy mama, potrafię...

— Przekonaną jestem, że potrafisz co zechcesz — ale chciejże — proszę cię...

— Jeden warunek, mamó, niech mi nie przeszkadzają... to zależy od mamy... proszę tylko szepnąć. Nie miłoby mi było mieć za rywala takiego naprzykład Lubicza...

Matka spojrzała nań wielkimi oczyma.

— Jakto za rywala? któż ci to mógł powiedzieć?

— Wiem, że ten projekt roztrząsano... odezwał się Herman...

— Ale to być nie może! nie może! powtórzyła energicznie, rumieniąc się hrabina... powiedzianoby mi przecież o tém...

Spuściła oczy nieco zmieszana.

— Ale cóż masz przeciw temu miłemu Lubiczowi? spytała po chwili.

— Intrygant mamciu rzekł Herman, goły a niechce mu się pracować, tylko cudze półmiski lizać i łatwym sposobem zyskać sobie pozycję... Pochlebia wszystkim, a z religii zrobił sobie narzędzie do fortuny...

— Jak bo ty wszystko widzisz czarno! cicho rzekła matka... ja tego człowieka znam z najlepszej strony. Ubogi to prawda, ale z bardzo dobrej fa-

mili, dobrze wychowany, przyzwoity... i bardzo mi-
ły... bardzo miły!

Herman się skrzywił mocno, a głową potrząsł.

— Mama daruje, ja go nie lubię.

To mówiąc pocałował w rękę hrabinę i popędził
w miasto.

XII.

Po oświadczeniu i improwizowanych zaręczynach swych z Lelią, pan Aleksander potrzebował odży skać straconą równowagę i wróciwszy cichuteńko do domu wśliznął się do swego pokoju, by tam z cy garem w ustach, na osobności, obrachować się z su mieniem — obmyśleć co dalej czynić należało i ukryć wrażenia, które — zdawało mu się, że każdy teraz mógł czytać na jego twarzy. Obawiał się starości nój, córki, a nadewszystko przenikliwego oka Do łęgi.

Chwila jedna namiętnego zapalu — wywróciła wszystkie jego plany dawniejsze, okuła w niewolę, a co gorzej oddawała go w ręce Lelii, która, niewą tpił bynajmniej o tém, musiała teraz użyć całej swój nad nim przewagi na korzyść brata.

Pocieszało go to tylko, iż był prawie pewnym znalezienia sprzymierzeńca w córce... ale cóż! Świe tne programy przyszłości, kolligacye znakomite, sta nowisko w świecie — przyczepienie się do arysto kracyi, do której wniknąć mógł przez córkę, wszystko to przepadało — natomiast Sylwan... obóz demokra-

tyczny, obowiązki niebezpieczne dla spokoju i kieszeni groziły owładnięciem. To była odwrotna strona medalu. Choć bardzo szczęśliwy chwilami, pan Aleksander wzdychał, wyrzucając sobie, że uniesiony nadto się może pośpieszył... Lecz wracać się już było niepodobieństwem.

Biedził się tak jeszcze, gdy służący przyszedł go powołać do starościny... Staruszka była sama, zastał ją z koronką w ręku zadumaną posępnie.

— Siadaj no, panie Aleksandrze — rzekła, korzystam z chwili, gdy Hanny niema. musimy z sobą pomówić. — Jakże ci się tu rzeczy wydają. co sądzisz?... kto ci się z tych ludzi zda najwięcej obiecującym? Jak radzić sobie z Lelią i panem Sylwanem, którego mi tu malują jako bardzo niebezpiecznego rewolucjonistę i liberela.

Oleś słuchał, słuchał i namyslał się tylko jakie ma zająć stanowisko, ażeby mu z niego najłatwiej było potem wyjść na to, do którego dążyć musiał.

— Mamro dobrodziejko — odezwał się — ja przyznaję się — niechciałbym o losie Hanny stanowić bez udziału jej woli i serca... Niech ona sobie wybierze... moja rzecz patrzeć i w czas uczynić uwagę...

— Bardzo słusznie, lecz nieznacznie pokierować można i masz obowiązek... O Lelii różnie też mówią.

— A! to są niedorzeczne plotki! gorąco zaprzeczył Oleś, mama ją zna od dzieciństwa,

— Trochę trzpiotem...

— Chociażby, ale najinilszym w świecie, i nigdy nie wychodzącym po zagrańce dozwolone...

— To prawda! a ty masz słabość do niéj.

— Nie przeczę moja mamo, osoba miła, Hanna ją kocha...

— Otóż to mnie trwoży... Sylwan! Sylwan! a co na niego mówią!

— Sądzę, że i to rzeczy przesadzone! rzekł Oleś.

Starościna z pod okularów popatrzyła na zięcia długo i zamilkła...

— Wszyscy bardzo zalecają tego drugiego hrabiego Ramułta...

— Nie niemam przeciwko niemu... ale czy się Hannie podoba?

Starościna znajdując zięcia tak jakoś obojętnym, spróbowała jeszcze kilka zapytań i w końcu z westchnieniem, jakby zrezygnowana na to, iż go już nie przerobi, zanurzyła się w fotelu, od koronki przechodząc do pończochy. Oleś siedział jeszcze czekając dalszej rozmowy, która już nie szła.

Nadechodząca Hanna położyła jęj koniec, i pan Aleksander powrócił na medytacye do swego pokoju.

Lelia tymczasem ochłoniwszy także po scenie, która ją musiała wiele kosztować, bo się spłakała po niéj i zaczerwienione oczy długo potem wodą obmywała — pobięła zaraz do Sylwana... ale tego dnia, mimo dwukrotnego dzwonięcia do furtki nie

zastała go w domu i musiała czekać aż sam przyjdzie do niej.

Sylvan dopiero po odwiedzinach u Hermana i umowie z nim, zebrał się iść do siostry, która nań z trochę niecierpliwości oczekiwała. Znalazł ją tak roznerwowaną, bladą i smutną, że się zaniepokoił o nią.

— Czyś chora? spytał.

— Nie — jestem trochę — poruszona — rzekła... i mam ci coś dosyć ważnego do powiedzenia. Dwa czy trzy razy byłam u ciebie, chodzisz nie wiedzieć gdzie, a ja się doczekać nie mogę odwiedzin... Oskarżają cię o tę aktorkę, a jak na złość, biegasz do niej ciągle...

— Raz tylko byłem — i to — zawołany...

— Pożegnaj bo ją raz na zawsze...

— Nie posądzaj ty mnie przynajmniej proszę cię, odezwał się Sylvan z pół uśmiechem...

— Mnie to niecierpliwi...

— No uspokój się, przynoszę ci i ja pewną wiadomość, która ci się wyda może niedorzeczną a mnie zdaje się — niewinną i do uzyskania trochę pokoju dla Hanny, potrzebną.

— Cóż takiego?

— Powiedz jej niech będzie grzeczną dla Hermana i pozwoli mu pozornie trochę się zbliżyć do siebie, Herman zasłoni ją od innych napaści — a uczyni to przez miłość dla mnie.

Słyszac to Lelia odwróciła się nagle, żywo, załamała ręce i rzuciła ramionami.

— A! wiesz, rzekła, to strategia godna mężczyzny!... Wystawiasz Hannę na próbę, Hermana także, swoją miłość na niebezpieczeństwo.

— Ale ja Hanny jestem pewny!

— Sylwku życie moje, i ja jestem jój pewną. a mimo to... Któż w takie gry się wdaje—i po co?

— Jakto, po co? ja chcę jój oszczędzić przykrości... a sobie zapewnić, że mi tam niebezpieczniejszy współzawodnik się nie wciśnie...

— Zbyt mądrze to obraehowano! rozśmiała się Lelia... ja ci coś daleko prostszego przynoszę i pewnością cię mogącego uspokoić, niż twój parawan z pana Hermana..

Zdjęła pierścioneł z palca...

— Wiesz co to jest?

— Nie rozumiem? obrączka z turkusem?

— Nie widziałeś jój na niczyjem ręku?

— Przyznam ci się, że nigdy na pierścionki niepatrzę.

— Wiesz co on znaczy?

— Powtarzam ci, nie rozumiem...

— Lelia rzuciła mu się na szyję i pocałowała go płacząc.

— Jestem zaręczoną!

— Ty! krzyknał Sylwan, ty! bez mojej wiedzy. bez porady! Z kim? na miłość Boga? kiedy...

— Z panem Aleksandrem Junosza!

Sylwan zdretniał słysząc to, popatrzył na siostrę, domyślił się, zrozumiał wszystko i ręce załamał.

— Kobieto, odezwał się ze smutkiem i powagą — czyżeś się zastanowiła nad tém coś popełniła z największą nierozwagą i pośpiechem, nieradzając się nikogo... pewny jestem, bez przywiązania nawet... Człowiek stary, słaby, bez charakteru... który ani cię ocenić, ani pojąć nie potrafi! To samobójstwo...

— Czekaj, surowy sędzio, zobacz moją metrykę, przerwała Lelia — jestem starszą od ciebie, mam już dwa siwe włosy... jutro dostanę marszczków, i sama jestem na świecie.

— Wolałbym byś sama żyła, niż z takim pocziwcem, którego karmić tylko będziesz musiała.

— Nauczę go kabały kłaść, rozśmiała się Lelia. Ale mówiąc to łzy miała w oczach.

— Rzecz to zbyt poważna, ażeby ją można w żart obrócić — odezwał się Sylwan... na mnie czyni to wrażenie bolesne, czuję w tém — ofiarę...

— O bardzo się mylisz — gorąco zaprzeczyła Lelia — mylisz się — zrobiłam to przez egoizm, dla siebie, przez rachubę... Jeśli wypadkiem skorzystać z tego potrafię dla ciebie mój Sylwanie, myliłbyś się, powtarzam ci, gdybyś mi przypisywał cele, których nie miałam... Zresztą — on mi się oświadczył...

— Kiedy? jak?

— Sam przyszedł do mnie! wczoraj!

Sylwan patrzył na nią, rumieniła się kłanniac i płakała..

— Jestem bardzo szczęśliwa — dodała, i proszę mi nie mówić na mego Olesia, serce ma wyśmienite... Wady! proszę cię — któż wadzi niema! a mnie się on z niemi podoba? Cóż chcesz... podoba mi się choćby za to, że ja mu od niewiem wielu lat zawsze się podobałam... Stałą jego miłość dla mnie, potrzeba było nareszcie uwieńczyć.

Paplała tak, paplała, żeby pokryć wzruszenie, a w końcu dodała.

— Cóż chcesz, rzecz jest skończona... umówiona... Postanowiliśmy ją tylko do pewnego czasu trzymać w sekrecie — i ty mi go musisz dochować.

— Przepraszam cię Lelio — krótko rzekł brat — sekretu dochowam, ale ponieważ zaręczyny są rzeczą, która się daje rozerwać — oznajmuję ci z góry, że będę się starał wszelkimi siłami temu małżeństwu przeszkodzić.

— Ani mi się waży! krzyknęła Lelia z gniewem — jestem panią mojej woli. Ton, jakim to wymówiła, zmusił Sylwana do mileczenia.

— Przepraszam cię — rzekł zimmo... nie sądziłem, żebyś mogła tego pragnąć w istocie.

Siostra rzuciła mu się na szyję... zamilkli. Lelia starała się zwrócić na inny przedmiot rozmowę — lecz Sylwan jak przybity, milezący rzucił się w krzesło i zdawał się nierozumieć co do niego mówiła.

Wieczorem Lelia rozmyśliwszy się poszła do starościniej. Od zamiany ołtarzy nie widziała tego nieszczęśliwego Olesia, który nie miał odwagi przyjść

do niej... Trafiło się, że w przedpokoju wchodząc go spotkała... Zarumienił się mocno, uczuwszy uścisk ręki, którym go powitała... ale wprędce rozpromieniał — była tego wieczora prześliczna... Oleś polykał ją oczyma...

— Staraj się, szepnęła mu na ucho, żeby też starościna nie bardzo mnie źle przyjęła — mój Olesiu!

To słodkie imię tak podziałało na narzeczonego, iż ująwszy ją pod rękę, sam wprowadził do salonu i wesoly przyszedł z nią do starościniej, siedząc jej jeszcze z pończochą na kanapie, bo gości dotąd nie było.

Zobaczywszy tę parę przed sobą, nieznacznie drgnęła staruszka z niecierpliwości, lecz ton jakim począł zięć... i wesoly śmiech Lelii nie dozwolił zbyt ponuro przyjąć przybywającą. Hanna posłyszawszy głos jej przybiegła.

Przywitawszy staruszkę, Lelia nie chciała być jej natrętną i pod pozorem poprawienia włosów pociągnęła z sobą Hannę do jej pokoju.

— Hanno, serce moje, nim kto z gości nadejdzie. pół godziny czasu rozmowy koniecznej!...

— Służę ci — chodź...

W pokoiku Hanny nie było nikogo, a co lepiej żadnych drzwi zdradzieckich... Lelia się jej na szyję rzuciła.

— Moja duszo droga, rzekła... niewyobrazisz sobie jaki ten Sylwan naiwny, *pour ne pas dire plus!*..

Wystaw sobie jego środek, aby cię zaslonić od natrętnych konkurentów...

— Ciekawam! szepnęła Hanna.

— Coś podobnego nikt jeszcze pono nie wymyślił. Zdaje się — rzekła Lelia — że się umówili z Hermanem, aby pozornie on niby się starał o ciebie. — *Vous êtes donc prévenue qu'il va vous faire la cour*, a ty przez litość masz go niezbyt źle traktować... A! ci męczycyżni! dodała Lelia, coś... *pardon* — głupszego wymyśleć.

Uśmiechnęła się Hanna...

— To tylko dowodzi pocziwój wiary we mnie pana Sylwana, rzekła, i dobrego serca Hermana, bo rzecz nie zabawna .. udawać starającego się, gdy się o tém nie myśli.

— *C'est bête* — konkludowała Lelia — ale, kazali mi ci to powiedzieć — jestem posłuszna...

To mówiąc schyliła się do Hanny, uścisnęła ją czule. Moja Hanno ja niemogłabym dla ciebie mieć tajemnicy... a drżę mając ci ją objawić... coś czego się spodziewać nie możesz, z czego niewiem czy będziesz kontenta... a co mi cięży.

Mówiąc to powoli wyciągnęła białą rękę... i zbliżając do oczów Hanny pierścionek z turkusem... zapytała...

— Znasz go?

Hannie twarz się zarumieniła.

— Możesz to być? Zawołała, a! mój Boże! czyżby mnie takie szczęście spotkać mogło?

— Szczęście! a moja Hanno! czyż doprawdy serce twe powiedziało...

— To pierścień ojca! jam sama mu go dała na imieniny, bo zawsze sobie życzył turkusowego... o którym mówią, że szczęście przynosi. Lecz możesz to być! możesz być.

Rzuciła się Lelii na szyję. Mów!

— Tak jest—od pozawczoraj... Cicho! ani słowa nikomu!

Twarz Hanny rozjaśniła się... zaczęła całować i ścisnąć Lelię ze łzami.

— A! ty jesteś aniołem! zawołała...

— A wszyscy mnie nazywają szatanem. mruknęła wdowa... Lecz... dosyć — do salonu...

— Ja niepotrafię... uspokoić się muszę...

— Chodź! nie nie pomoże! chodź!

Z salonu już dochodziły głosy... Herman pierwszy przybył oznajmując przyjazd matki, ożywiony niezmiernie, oczyma szukając panny Hanny zaledwie ją zobaczył... i spojrzeli na siebie, po mimowolnym pół uśmiechu, który przebiegł po jej ustach, domyślił się, że została przestrzeżoną...

Spełniając przybraną rolę, Herman ze szczególną atencją przywiązał się do panny Hanny, która go weale nie unikała... Mógł więc dłuższą zawiązać rozmowę i błysnąć przed nią dowcipem ironicznym, na którym mu nigdy nie zbywało.

Charakter Hanny poważniejszy — ukazywał jej świat ze strony innej, ona szukała w nim niespo-

kojnie prawdy... piękna, dobra. Herman jakby zrozpaczywszy o znalezieniu ich bawił się podrzucaniem szyderskim tego wszystkiego co było fałszem, brzydota i złem... Z temi sprzecznemi usposobieniami, może nie tak trudno było się porozumieć, jak się zdawać może. Jest w człowieku pragnienie uzupełnienia swych pojęć, poszukiwaniem trybów i kategorii przeciwnych, których samby dojrzeć nie mógł. Często spreczne zupełnie charaktery godzą się najdziwniej, gdy podobne nie mogą podziać na siebie, bo się od razu poznają, czują i jednoczą... Jak w przyrodzie przeciwnych prądów powstają siły złożone, tak w duchowym porządku... antytezy często rodzą sympatyę...

Dla tego może sceptyczny, żartobliwy, szukający skaz i plam Herman nie tak raził Hannę, jak się lękała, dla tego surowa jej powaga i umysł dążący ku ideałom nowe dlań odkrywając światy—zachwycał go i był dlań pożądaną wonią niebieską.

Hanna, w rozmowie z Hermanem, odzyskała dawno stracony uśmiech, a on chwilami zmuszony był przejść z szyderstwa do zastanowienia nad fenomenami, których oko jego nigdy dotąd nie dostrzegło...

Z wielkiem podziwieniem a nie mniejszą radością, dostrzegł pan Aleksander, zauważyła starościna tę ożywioną rozmowę, w której Hanna brała udział chętniejszy niż zwyczajnie. Jedna Lelia, mimo spokoju i wiary jaką miała w przyjaciółkę, dla brata była zazdrosną.

Herman nie odszedł prawie od panny Hanny, na chwilę tylko oderwało go przybycie matki w niespodziewaném trochę towarzystwie Lubicza, który zwał się wzięt i jak doszedł do tego, że hrabinę na salę wprowadził i z nią przybył—synowi było nie wytłómaczoném.

Matka mu szepnęła tylko, że na chwilę przed wyjazdem z domu przybył Lubicz, a że i on miał zamiar się tu znajdować, zabrała go z sobą.

Wszystkich po trosze uderzyło to kompromitujące przybycie w parze hrabinéj i Lubicza.

Młodzieniec zdawał się w wybornym humorze i głośniej niż kiedykolwiek ratował zagrożoną społeczność, gnębiąc w fotelu rewolucjonistów cytatami de Maistra.

Herman namarszczył nieco brew, lecz wkrótce do zwykłej swéj ironicznej wesołości powrócił...

Gdy w przejściu na herbatę Lelia mogła się zbliżyć do Hanny — szepnęła jéj cicho: lękam się tylko byście państwo nadto nie wchodzili w swoją rolę, gracie ją zbyt dobrze. Hanna śmiała się ściskając éj rękę. Muszę wyznać rzekła, że Herman nie darmo jest Ramułem, ma wiele tego co ja w was kocham.

— Duszko, *w nim* tylko tego nie kochaj..

Pożartowawszy tak rozdzielone znowu zostały, a pan Aleksander wynalazł sposób zbliżenia się do narzeczonej, i ścisnął nieznacznie jéj rękę. Jesteś pani zachwycającą dzisiaj!...

Strategiczne obroty Olesia dla uzyskania przy herbacie miejsca przy Lelii, nie uszły baczności Dołęgi, który hrabinę i starościnę konceptami zabawiał. Na wieczorach miał sobie zawsze za obowiązek starszym paniom służyć — przez które wiele mógł uzyskać. Nie przeszkadzało mu to widzieć i słyszeć wszystko.

Gdy wstali od herbaty i szli na cygaro do gabinetu zbliżył się do Olesia.

— Słuchaj Olku, w ucho mu wrzucił — ale ty formalnie cholewki sinalisz do wdówki... Miej się na ostrożności ona cię złapie — a jak się w jej ręce dostaniesz, bywaj zdrowa swobodo!

— Już mnie złapała — rzekł Oleś żartując niby — nie ma na to ratunku... Coście pletli o Lubiezu, wierutna bajka... temu się nie śniło, a ona go mało co zna, Lubiez gorzej bo pono Hermanowi figla zrobić myśli...

— A ty pannie Hannie? rozśmiał się Dołęga.

— Hanna by mi tego za złe nie miała — odparł Oleś — ale — bzdurstwa to są!

Jeszcze szczerniej do ucha się przykleił Dołęga panu Aleksandrowi. Ty jesteś balamut... ja na moje oczy widziałem jakieś ją pod stołem za rękę ścisnąć? Cóż to ma znaczyć?

Panu Aleksandrowi krew nderzyła do głowy... dobra sława wdowy obchodziła go teraz jak jego własna... Rozgniewał się na prawdę.

— Mileżże, zawolał — jestem zaręczony!

Dołęga odskoczył... Pierwszy raz w życiu trafiło mu się tak być nieświadomym rzeczy — upokorzony czuł się i gniewny... Co ty mi pleciesz! zawołał... to nie może być.

— Słowo honoru — rzekł pan Aleksander, ale milczeć proszę — bo o tém nikt nie wie i wiedzieć nie powinien...

Nie było już odpowiedzi, Dołęga począł miny robić zdziwione, wąsa kręcić i podśpiewywać...

W ogóle był to wieczór, w którym wiele niedorzecznych rzeczy się stało... i nazajutrz miano o czém mówić w miasteczku...

Hrabina wkrótce po herbacie ruszyła się z kanapy, prosząc Lubicza aby jęj podał rękę, syn bowiem z panną Hanną był w drugiej sali. Zauważono, że Lubicz chwycił za kapelusz i już więcej nie wrócił, a ktoś przyniósł Dołędze wiadomość z dołu, że go hrabina z sobą zabrała.

— To nie bez kozery! rzekł w duchu Dołęga! Śliczne się marjasze gotują! Oleś z tym trzpiotem, który go weźmie pod pantofel, a Lubicz ze starą hrabiną... czyby mnie nie wypadło chyba o starośćinę się starać?...

I rozśmiał się sam do siebie.

— Skończenie świata.

XIII.

Nazajutrz nie mógł wytrzymać Dołęga, ażeby nie pójść na zwiady po mieście — oburzony był tém, iż się działy rzeczy, o których on nie wiedział. Zagrażało jego dobrej sławie, odbierano mu chleb, bo cóżby robił, z czémby po domach chodził, jakby się wcisnąć, gdzie mu potrzeba, potrafił, gdyby nie miał koszyczka nowin i skandalików na plecach.

Zaręczyny potajemne pana Aleksandra nie dziwiły go tak bardzo... oddawna bowiem przyznawał się do słabości dla wdowy — ale Lubicz, co znaczyło to kompromitowanie się staréj hrabinéj... Dołęga nazajutrz rano wiedział już, że pojechał w karecie z nią do jej domu, że tam ją odprowadził do salonu, i że około trzech kwadransów bawił jeszcze...

Niespokojny spotkawszy Paprzycę wyspał mu na ucho całą wczorajszą historję hrabinéj, będąc pewny, że go niezmiernie zadziwi. Paprzyca ani drgnął, silnie tylko bardzo ścisnął mu rękę i rzekł.

— Cicho! cicho!... jesteś więc nie wtajemniczony! Mój Boże to są rzeczy ułożone! Prałat miał polecenie hrabinę przygotować... Na tego Hermana racho-

wać nie nie można. Proszę cię, wychowany w najlepszym=instytucie u księży Jezuitów, matka taka dobra katoliczka, a to sceptyk! Bóg wić co! Lepiej niech choć część fortuny idzie w ręce człowieka, którego my jesteśmy pewni. Myśmy go postanowili z nią ożenić... *Lubicz est raisonable* nie sięga wyżej niż powinien. Kobieta nie młoda, ale bardzo przyjemna, fortuna znaczna... koligacya piękna... wchodzi w świat nasz przez to małżeństwo...

— A! a! a! zawołał Dołęga—więc się już oświadczył?

— Wczoraj — ale to jeszcze do jakiegoś czasu sekret... Hrabina w nim rozmiłowana do szaleństwa... prawdę rzekłszy, w starym piecu dyabeł pali, niechże się przy tym ogniu pieczeń pocziwa upieczce... Trzeba umieć ze wszystkiego korzystać...

— Mówiono mi — dodał Paprzyca, że coś tam Herman bardzo do Junoszanki się wczoraj przyśiadał.

— Bardzo...

— Żał by jój było dla niego... ale tam wpływy są trudne... ojciec żołądek—tylko... starościna słaba kobieta, a Hanna fantastyczna... Trzeba jednak będzie coś na to radzić... aby... Niedokończył i odszedł.

Sylwan wiedział nazajutrz przez siostrę o wieczorze... do Hermana pytać o to iść nie chciał, Lelia opowiedziała mu i swoje z Hanną spotkanie — i to co słyszeć lub dojrzyć potrafiła. Jój, mimo przywią-

zania do Hanny, zdawało się to trochę niebezpieczną próbą.

Sylwan się uśmiechnął.

— Nikt jój pewnie mocniej nie kocha nademnie, dodała siostra — ani mocniej w nią wierzy, ale — doprawdy trwoga mnie brała widząc jak w końcu wieczora byli z sobą poufale, jak rozmowa ich zajmowała tak, że w koło nie słyszeli nikogo... Hanna, czegom nigdy od dawna nie widziała — śmiała się — Herman spoważniał.

— A to dobrze, że się rozerwała! spokojnie odezwał się Sylwan... zmiłuj się — nie trwóż! gdyby Hanna miała być tak wrażliwą i zmienną, nie byłaby tą Hanną którą ja kocham...

Śmiejąc się dokończył rozmowy Sylwan, a że tego dnia miał wiele do czynienia w domu, oczekiwał na Hermana u siebie, sądząc, że mu przyjdzie coś o tym wieczorze powiedzieć. Herman nie przyszedł.

Wieczorem przysłała Viola prosić Sylwana. Tego dnia teatru nie było, przedstawienie Romea zbliżało się, Szerszeń z wielką powagą opowiadał, iż chciała się go jeszcze o rolę poradzić! Sylwan zawahał się nieco, poszedł...

Zastał ją w istocie przy lampce nad książką i całą na pozór zatopioną w niej, nie wiedząc o tém, że dopiero kroki jego postyszawszy na wschodach, zajęła to miejsce i przybrała postawę. Biednemu dziewczęciu zatęskniło się... płakała, walczyła i posyłała Szerszenia. Chciała go widzieć choć chwilę — choć

głos jego posłyszec. Zmieszana kłamstwem, które sama sobie wyrzucała, wstała od stolika na powitanie tego, który jęj nie kochał, który kochać jęj nie mógł — a którego ona przestać kochać nie umiała.

— Co pan sobie myślisz o mnie, odezwala się cicho — ja tak niegodziwie jestem natrętna... ja pana ścigam swoim zaufaniem... ale — doprawdy, chciałabym być Julieta o jakiej marzył Szekspir... a nie umiem.

Sylwan siadł z daleka — smutnym był jakoś.

— Może ta rola jest dla pani przedwczesną, rzekł zwolna — niepodobna odgadnąć namiętności,¹ która wiecznie będąc prawdziwą, tak jak jest odmalowaną w tragedyi — oprócz tego silnie nacechowaną jest naiwnością i kolorytem wieku... Tak dziś już się kochają tylko ci, co w społeczeństwie XIX wieku, jeszcze obyczajem, sercem, pojęciami, przedstawiają wiek XVI...

Viola słuchała...

— Więc serca i miłość starzeją? spytała... i gdyby to była prawda, co pan mówisz w jakim XXII wieku... jużby się wcale kochać nie umiano?

— Nie, droga pani — rzekł Sylwan, ale miłość wyrażałaby się — któż wie? formułą algebraiczną, lub frazesem z telegrafu...

Rozśmiała się Viola...

— Ja tam tego tak głęboko nie pojmuję — rzekła — teraz wszyscy potępiają uczucie... wiele to po-

dobno rozumu i rachunku—lecz powiedz mi pan, czy życie ludzkie wartoby było co bez uczucia.

Tak rozpoczęta rozmowa zwróciła się do prostych rzeczy... Pawłowa przysła suknię Julii pokazać, Paweł wmieszał się do rozmowy także.

— Nasza panienka — rzekł, frasuje się mości dobrodzieju, jak zagra Julię... a możesz ona ją zagrać dobrze, mając przeciw siebie takiego bałwana jak ten Romeo, którego zawsze anyżówką czuć...

Pawłowa swoim zwyczajem poczęła męża strofować i chciała powstrzymać gadanie, Szerszeń może z większą, niż jój się zdawało przenikliwością, usiłował zostać w pokoju, nie dając się bardzo rozgadywać sam na sam Violi z panem Sylwanem... Malżeństwo kłócąc się z sobą wysunęło się do pierwszego pokoju, gdzie pan Paweł dwie ściśnięte dłonie nastawując na przeciw twarzy swój małżonki, odezwał się głosem stłumionym...

— Że też ty, stara jakaś, nigdy rozumu mieć nie będziesz! Jakże ty nie pojmujesz, że kiedy ona mnie po niego posyła, toć nie mogę nie iść, — a ich zostawić we cztery oczy, nie potém... Ona w nim rozmiłowana... on o tém ani myśli... Nietrzeba dopuszczać żeby się przed nim jeszcze kiedy wypowiadała... bo dyabeł nie śpi, jak powiada nasz mistrz...

— Daj ty mi pokój z mistrzem i ze swoim rozumem ofuknęła Pawłowa... dziecko tyle ma pociechy co się z nim rozmówi, a ty jój i to mieszasz swoim paplaniem.

— Już ty mnie nie ucz, ja wiem co robię—zawołał Szerszeń... a kiedy o teatrze gadają... to ja też o nim coś wiem, i słowo, mości dobrodzieju, niewiaśto upośledzona, mogę dorzucić.

Trwając w swoim uporze Szerszeń, z okularami, rękopismem i książką powrócił do pierwszego pokoju — gdzie mu może Viola nie bardzo była rada. Tu dokumenta złożywszy na stole pod sąd pana Sylwana, poddał kwestyę ważną...

— Proszę pana to są osły! zawołał—oni nieśmiertelnego mistrza śmieją poprawiać i obcinać, bo im się to wydaje długie! Oni! oni! długousi mędroowie. Najpiękniejsze mości dobrodzieju ustępy oberżnęli i jakże ta sztuka ma być dobrą...

Szerszeń zaczął książkę porównywać z rękopismem... i tak się rozciągnął z dowodzeniami o głupocie układaczy dla sceny, iż dziesiąta wybiła, a Viola z Sylwanem oprócz pierwszych słów i rozmowy oczami, więcej mówić nie miała zręczności, Szerszeń się odpędzić nie dawał.

Jednakże ten wieczór usposobił Violę, nakarmił i zapewniwszy się, że on ją będzie widzieć w Julicie, pożegnała go odprowadzając do drzwi, — a we drzwiach jak o jalmużnę prosząc wyciągnęła rękę do niego—i szepnęła — przyjdź pan kiedy—nie proszony!

Upłynęło dni kilka na pozór żadnej zmiany nie przynosząc z sobą. Sylwan siedział w domu... Lelia codziennie go odwiedzała. Od niej się dowiedział, że

w tym krótkim przeciągu czasu Herman był trzy razy u Junoszków, i że w mieście zaczynało mówić o tych odwiedzinach...

— Hanna mnie dziwi — dodała Lelia — najczuliej dopytuje się o ciebie — a doprawdy nadto się poprzyjaźniła z Hermanem.

— O cóż znowu! zaśmiał się Sylwan — mnie więcej dziwi, że nie przyszedł ani razu do mnie, ale ja dziś u niego być muszę.

Jakoż wieczorem skończywszy roboty, poszedł w godzinie, w której prawie pewnym był go zastać. Herman zamyślony palił w fotelu cygaro, na widok brata poskoczył żywo bardzo go uściskać.

— No — spowiadał że mi się — spytał wesoło Sylwan. Słyszę zewsząd, że ci się wiedzie świetnie...

Zmieszany nieco Herman począł się śmiać. Wieszysz mnie zakłopotanym... nie dziwuj się... mam wielką przykrość i dla tego nie byłem nawet u ciebie — mam zmartwienie...

— No i cóż to takiego?

— Bratu nawet wahałbym się powiedzieć, lecz to długo nie będzie tajemnicą. Moja matka wychodzi za mąż. Jest to gorzej niż omyłka — bo śmieszność. Wiedzieć tego kogo się kocha okrytym nią — boli...

— Jakto? za kogo?

— Nie pytaj! jest to człowiek mało co starszy od nas, który mógłby być jej synem...

Herman padł w fotel. Miarkujesz, dodał, że ja

nie mogę słowa powiedzieć matce... a serce mi się kraje... Temu zaś nikczemnemu człowiekowi, który dla chleba popełnia podłość, udaje przywiązanie, gra miłość... choćbym policzki otrzepał, co to pomoże? obetrze je chustką i zacytuje co z pisma świętego... a matka mnie wykluie...

Rozmowa raz na ten przedmiot bolesny zwrócona już nie mogła przejść na opowiadanie o Hannie i wieczorach starościńej. Herman tylko dodał w końcu. Wiesz bracie, całą moją pociechę te parę godzin, które czasem spędzić mogę w towarzystwie panny Hanny. Zazdroszczę ci jój serca — oprócz niewieściego wdzięku, ma tyle umysłowej wyższości, tyle idealności w sobie.

— Nie zbyt się jednak unoś nad nią! — przerwał Sylwan.

— Ty najlepiej to czujesz — rzekł Herman — iż zbliżyć się do panny Hanny a nie ocenić jój, mógłby chyba — głuchoniemy a ślepy...

Nie mówili więcj, Herman wrócił do domowego nieszczęścia, można je bowiem było nazwać tém imieniem — narzekał na ludzi, którzy potajemnie pomogli do skojarzenia tego poczwarnego związku.

— Czyż niepodobna niczém temu zapobiedz? odezwał się Sylwan.

— Ale jak? dziś rzeczy stoją na tym stopniu, iż matcebym zaszkodził i naraził ją sobie — a nic nie zrobił.. Dziwi mnie tylko — dodał, iż Lubicz się nie

obawia być moim ojczyzną, bo może być pewnym,
que je lui ferai la vie dure.

Począł potem rozpytywać Sylwana co on robił.
i czy widział Violę... Ten zbył go niewyraźnym omó-
wieniem...

— To dziwna rzecz — rzekł po chwili — widzia-
łem ją znowu w teatrze. parę dni temu i znalazłem
bardzo zmienioną... Schudła — zbladła... Kaszleła
nawet na scenie — a — czego sobie wytłómaczyć nie
umiem — wydała mi się... pospolitszą... Ruchy mia-
ła mniej wdzięczne... Zawsze w niej jest urok ten,
który wywiera smutek, zachwycającą jest i teraz...
ale inną...

Sylwan nie odpowiedział nic na to — rozstali się
ściśnięciem ręki — Herman przyznał mu się do tego,
że wieczorem znowu postanowił być u starościnów.

Lelia, która bacznie zwracała oko na ten osobliwy
stosunek, nie znajdowała dotąd zmiany w Han-
nie inną nad tę, że się dosyć sympatycznie wyra-
żała o Hermanie... Nie czyniła jęj z tego wymówek...
patrzała i milczała... smutno jęj było jednak. Kobie-
ta czuła może lepiej niebezpieczeństwo... Niekiedy
gorzka myśl jęj przychodziła. — A nuż Hanny mi-
łość dla Sylwana osłabnie — może się jęj Herman
z oglady i dowcipu podoba?... w cóż wówczas obró-
ci się ofiara jęj dla brata?

Mimo tajemnia się z tém, Lelia w istocie spełniła
dla niego akt poświęcenia. podając rękę Olesiowi,
z którym wyżyć mogła. ale nigdy być szczęśliwą...

Los jakby na szyderstwo stawił przed nią groźbę...
ofiary daremněj...

Otrząsała się z téj myśli bolesnéj.

— A! tak źle nie będzie? Hanna nie zdradzi...
Kochają się od dzieciństwa—zna ją a jest spokojny...
Nie — to być nie może...

Wśród tych smutnych myśli, Oleś stawiał się coraz natrętniejszym. wyrywał się ze swego towarzystwa — wymykał z domu. czatował na ubóstwianą Lelię, ścigał ją w domu i jako zaręczony upominał się o dozwole nie przepędzenia z nią choć kilku godzin na dzień. Niezmierna czułość jaką okazywał, czyniła go tak nieznośnym. a w przyszłości tyle miała jęj do przeżycia Lelia. że teraz zamykała się i płakała po cichu. Oleś szturmował, slugi przekupiał i cisnął się do nóżek swęj pani...

Trzeba więc było przynajmniej spróbować uzyskać w nagrodę to, czego pragnęła Lelia.

Jednego poobiedzia przyjęła go milęj, serdeczniej niż kiedykolwiek, pozwoliła mu zapalić cygaro, napolila wodą sodową... przysunęła swój fotel, oddała na pastwę białą rękę i wśród gorących a coraz gorętszych oświadczeń wtrąciła.

— Nasze szczęście nie byłoby pełném, kochany panie Aleksandrze.

— Mów — Olesiu! wyszeple nił stary.

— Tak mój Olesiu — jeśli chcesz — ciągnęła dalej Lelia — gdybyś z energią miłości twęj dla córki jęj szczęścia téż nie zapewnił.

Oleś zmieszał się... zakrztusił, wypłunął kawałek cygara i oczy w nią wlepił, niby ciekawe, niby się nic nie domysławiające.

— Hanna kocha Sylwana — ty to wiesz od dawna.

— Seryo? ona go kocha? ja myślałem, że oni o sobie zapomnieli...

— A! bynajmniej.

— No — a też tak miłe przyjmowanie pana Hermana?

— To fikcja — to komedia — to rzecz ułożona aby innych odegnać.

— Nie może być! zawołał pan Aleksander... ale zlituj się... cóż to ludzie powiedzą, gdy my się tak popłaczemy w pokrewieństwa? Ja nawet nie wiem czy kościół na to pozwala — a w każdym razie zostawmy to czasowi... my się pobierzemy wprzód — oni mogą poczekać...

Spojrzała Lelia na niego.

— Poczekać — lecz niechże mają tę pewność, że przeszkody nie doznają, że się na to zgodzisz.

— Ja, przerwał nagle Oleś — ale to do mnie nic a nic nie należy! ja się zupełnie zrzekłem moich praw na starośćinę — ja tu jestem neutralnym.

— Popierać możesz przynajmniej...

— A no — jeśli Hanna zażąda, jeśli koniecznie sobie tego życzyć będzie — jeśli...

Tu przerwał nagle.

— Ale Lelio, moja droga — zostawmy to czasowi!

Ja—ja nie wiem czy to jest związek stosowny. Z bardzo wielu a wielu względów, stosunków, okoliczności... nie wiem? no — prawdziwie nie wiem czy to przyszłości ich nie grozi?

— Ja mam jeszcze nadzieję, że Sylwan i ona najlepiej o tém sądzić mogą. Oni się kochają... zostawmy im swobodę...

— No — tak dajmy czas... niech się wzajem przekonają... ja nie mówię — rzekł Oleś, ale królowo moja, powtarzam ci, że to głównie od babci i Hanny zależy, ja się mieszać nie będę, ja się mojej ojcowskiej władzy wyrzekłem...

Napróżno Lelia chciała coś z niego więcej i bardziej stanowczego wydobyć, Oleś bardzo zręcznie chował się za panią starościnę.

— Bardzo dobrze, odezwała się w końcu — będziemy więc około starościny zabiegali, ażeby zmieniła swą opinię o Sylwanie, bo co do Hanny jestem jęj pewną, — ale ty mi daj słowo i rękę, że się zgodzisz na to?

Zmieszany Oleś chciał się zbyć ogólnikiem, na co Lelia niedozwoliła nagłać.

— Słowo i ręka?

Wyciągniętej dłoni niepodobna było odepchnąć i słowa, które już tylko prostą stanowiło formalność, odmówić — Oleś natykawszy wyrazów niejasnych, rękę musiał podać i dał coś nakształt słowa niezrozumiałego.

Lelię to uspokoiło...

— To rzecz Hanny! dodał — ona powinna sama o swój przyszłości stanowiąc ja się jej woli sprzeciwiać nie będę.

Nadejście Sylwana, którego Oleś powitał bardzo serdecznie, chcąc go sobie ująć, aby mu za złe nie wziął odwiedzin u siostry, bo niewiedział i wątpił czy jest o zaręczynach uwiadomionym, przerwało rozmowę drażliwą. Sylwan wszedł pochmurny i poważny jak zawsze — z Olesiem przywitał się grzecznie, ale chłodno i zaczęto mówić o rzeczach obojętnych.

— Na starych przyszła pora jakaś odmładniania, wszak to wiecie państwo, odezwał się Oleś, — hrabina Ramultowa matka pana Hermana za mąż wychodzi. Lelia śmiać się zaczęła. — Za kogo?

— O! niech się pani nie śmieje! za bardzo młodego i rozumnego człowieka, za pana Lubicza...

— Ale! to nie może być! to być nie może. śmiała się ciągle Lelia — Sylwan milczał, nie potwierdzał, ale się nie dziwił. Spojrzawszy na brata domysliła się, że coś już o tém wiedzieć musi.

— Przewidzieć łatwo — dodał pan Aleksander, iż często ją spotka w towarzystwie miłe zapytanie — w którym mąż jej za syna będzie brany.

Pan Aleksander żartując sobie z hrabinęj, wcale tego wiedzieć nie chciał, iż sam był w położeniu podobném, bo Lelia za córkę jego też uchodzić mogła.

XIV.

Wieczor, który był wyznaczony na benefis dyrektora z Romeo i Julietty Szekspira, nadszedł wreszcie. Viola miała w nim trudną rolę Julii odegrać, od rana w pokoiku jéj czynność była nadzwyczajna... Suknie porozrzucane leżały na kanapie i krzesłach... Pawłowa zbierała zawczasu drobne rzeczy, należące do stroju aby czegoś potem nie brakło, Szerszeń biegał po rękawiczki i różne przybory, które sobie dopiero w ostatniéj przypominiano godzinie.

Viola chodziła z rolą swą po pokoju to odczytując ją, to zamyślona patrząc w głąb ogrodu na zielone drzewa i niebo jasne... wzrokiem osłupiałym, który nic nie widzi. Trwoga jakaś ogarniała ją przed tém wystąpieniem na scenę, daleko większa niż kiedykolwiek; nie żeby pragnęła oklasków i żadną była uwielbień, lecz przez wielkie poszanowanie dzieła, w którym miała występować, które ona pojmowała tak piękném, a obawiała się zobaczyć skarykaturowaném... Repetycye odbyte przerażały ją... Romea w istocie czuć było anyżówką, a przesadzona jego deklamacya zdolną była rozśmie-

szyć chyba, nie rozczulić. Widziéć i czuć się narażoną na walczenie o własnej sile przeciwko żywiołom, które całe wrażenie zniszczyć miały — było dla biednej dziewczyny tak straszném, iż jej odwagi brakło. Jój saméj nie starczyło sił by w sobie zamknąć dramat cały, i odegrać go sobą. Ostudzała ją nawet uboga sukienka polepiona tak z ladajakich gałganków by pyszny strój Veroneńskich patrycyuszów córy zdala kłamała...

Teatr był pełen... Viola nie miała odwagi spojrzeć przez otwór w kurtynie na zebraną publiczność, która dopominała się rozpoczęcia sztuki, niecierpliwém tupaniem...

Dyrektor widząc ją tak upadającą i bezsilną sam podprowadził ażeby rzuciła okiem na świetną salę...

Łoże na ten raz były pełne, krzesła nabite, parter zasiany głowami, nawet w raiu tłum się naciśnął tak, iż zdalo się niepodobieństwem choć jedną więcej wpuścić jeszcze osobę.

W krzesłach Viola z biciem serca poznała siedzącego Sylwana... osamotnionego zupełnie wśród obcych. W łoży na prawo znajdowała się obok siwo-włoséj staruszki piękna panna i przy niej znany Violi dobrze z twarzy pan Herman... W drugiej siedziała rozmawiając pochyloną z niemi młoda pani, której łysy towarzyszył mężczyzna i dwóch czy trzech kawalerów. Viola poznała w niej siostrę Sylwana widzianą z nim w teatrze.

Dla czego Sylwan siedział tak osobno, Viola odga-

dnąć nie umiała. Całe zresztą znane nam towarzystwo znajdowało się tym razem zebrane w łóżach, ażeby widzieć parodystę Szekspira, jak większa część z nich utrzymywała. Wiele z tych panów i pań przypomniało ją sobie na paryzkiej, londyńskiej i niemieckich scenach, uśmiech ironiczny błdził po ich ustach... przyszli tylko by ruszywszy ramionami, zadekretować po francuzku, że teatr był bardzo nędzny...

W łóży hrabiniej znajdował się nieodstępny teraz Lubicz i para matador, które go protegowały. Sylwana oczy skierowały się parę razy ku Hannie i nie spotkały ani razu jej wejrzenia. Rozmawiała bardzo żywo z Hermanem, tak, że cały teatr tę jej dla niego uprzejmość uważał. Jeśli była udaną, to grała ją tak wybornie, iż nawet Sylwan uczuł chłód jakiś w sercu, patrząc na to co sam ściągnął niebacznie. Lelia z każdym dniem też, nie mówiąc o tém niespokojniejszą była, zdawało się jej, że Hannę znajdowała zmienioną co dzień bardziej, coraz chłodniejszą, coraz weselszą i obojętniejszą...

Herman natomiast, mimo doznanego zmartwienia z powodu oświadczenia Lubicza, był w wybornym humorze i choć dowcipował, sarkazm jego był nierównie łagodniejszy, czuć w nim było jakąś zmianę wewnętrzną. Sylwanowi nawet przywidywało się, że go unikał... Nim się jeszcze podniosła kurtyna, Lelia, która doskonale umiała czytać w twarzy brata, postrzegłszy na niej głęboki smutek i domysłając się

czemu go przypisać należy, pobiegła do Hanny... Na chwilę siadły obok siebie w kątku łoży.

— Na miłość Boga, droga Hanno — szepnęła jęj Lelia — proszę cię. spojrz choć na biednego Sylwana, żal mi go, widzę go tak przybitym, ponurym... a tyś temu wszystkiemu winna.

Ja? spytała Hanna — o! pewno nie, mylisz się... Sylwan się mocno zajmuje jak upewniając wszyscy aktorką, która ma grać rolę Julietty... i to go tak chmurnym czyni.

— Co też ty sobie wyobrażasz, albo co ci to nagadali, droga Hanno! oburzona przerwała Lelia — Sylwan! zajęty aktorką!

— O! to niezawodnie, odezwała się Hanna — ja mu tego za złe nie mam... Tak długo był samotnym: a potem urok artystkom towarzyszący... i mówią, że ma być ładna, dumna i roztropna...

Lelia ruszyła ramionami.

— Moja Hanno!

— Bardzom ciekawa ją zobaczyć, powiem ci moja Lelio... bardzo... boć to przecie — rywalka!

Wyraz z jakim wymówiła to słowo, oburzył do prawdy Lelię.

— Droga moja, widzę, że Sylwana nieznasz... lub zapomniałś go... nad wyraz mnie to boli...

I wybiegła z łoży. Hanna wróciła bardzo spokojnie na miejsce swoje, i przerwana z Hermanem ciągnęła dalej rozmowę. W łożach też wszędzie grały się maleńkie dramata, oczekując na wielki

który miano na scenie odegrać... krzyżowały się spostrzeżenia złośliwe, uśmiechy szyderskie, słowa na pozór nieznaczące a brzemienne namiętnościami skrytymi... Dwoje ich tylko: Lelia zamyślona o bracie, Sylwan na pozór spokojny a przeczuciem jakimś smutny—wśród tego obcego prawie im świata, gwarne go i ożywionego, wydawali się chłodnymi widzami... choć w jego życiu bólem uczestniczyli...

Wśród szmeru podniosła się zaskona, lecz pierwszy akt, aż do sceny w której po raz pierwszy ukazuje się Julia mało obudził zajęcia. Viola miała ten dar szczególny, że gdziekolwiek występowała ściągała i pochłaniała uwagę... oczy zwracano na nią... nie-słuchano prawie innych artystów na scenie... obudzało to zazdrość, choć ona wcale się nie starała o pozyskanie tego współczucia publiczności, choć o niem nie myślała.

Romeo tak był podobny do lokaja, iż Sylwan, którego los sztuki wielce obchodził, drżał już zawezasu o los biednej Violi. Szczęściem hrabinę Capuleti grała nie młoda a wielce inteligentna artystka, która zniszczyła wrażenie jakie ukazanie się Violi uczynić było powinno. Viola potrafiła z siebie uczynić prawdziwe dziecko wielkiego, pańskiego domu, a choć jej zbywało może na zewnętrznych oznakach, mogących złudzenie powiększyć — postawa, ruchy były tak szlachetne, tak wdzięczne, iż nie tylko męzka część widzów ujęta niemi została, lecz arystokracja płci pięknej zdumiała się temu zjawisku, któ-

rego sobie wytłómaczyć nie mogła. To dziecię ludu, ta sierota nieznana... to cyganie, które nędza kołysała, a płacz nauczał życia—cudownym sposobem... odgadło formy świata, którego niewidziało nigdy! Przebaczonoby jój talent, lecz takie przywłaszczenie monopolu dystynkcyi? To też zagryzano usta, damy ruszały ramionami zdziwione, a Paprzyca tłumaczył na ucho hrabinie, iż chodziła tradycya jakoby Viola była dziecięciem krwi książęcój! Tym tylko sposobem umiano sobie wytłómaczyć jój powagę, wdzięk i szlachetne ruchy...

Hanna z wielką ciekawością skierowała ku niéj lornetę, trzymała ją długo wlepioną w aktorkę... od stóp do głów obejrzała... a potém zwróciła oczy ku Sylwanowi, który w téj chwili cały był na scenie. Iskra gniewu przeleciała po jój twarzy, chłodno jednak szepnęła Hermanowi, który się także na Juliettę zapatrzył.

— Nie dziwuję się, że taką robi *furorę* między panami dzisiejsza kochanka Romea, jest bowiem w istocie wyjątkowém zjawiskiem... nie tak może piękna jak sympatyczna: twarz i cała postać coś smutnego... jakiś głos miły... co za dystynkcya!

Spojrzała jeszcze raz na Sylwana i zarumieniała się widząc, że bardzo uważnie słuchał... artystów.

Ostatnie wyrazy w końcu aktu, które Julia stosuje do Romea, Viola zdawała się chcieć powiedzieć do tego świata, którego dziecię ukochała... świata, co jój plemieniowi ubogich tak był wiekuście wrogiem,

jak Montechi Capuletom... Patrzała na Sylwana wymawiając te wyrazy... a wejrzenie jój nie jedne oczy pochwyciły w drodze...

Gdy zasłona po tym wstępie zapadła... w sali zdania były podzielone, lecz nie mówiono o nikim oprócz Violi... Chwalili ją wszyscy, choć niezbywało na krytykach drobnostkowych, które brzęczą i szczypią, jak komary... zabić nie mogą wprawdzie, a kęsają przecież boleśnie. Paprzyca znajdował, że dziecię proletaryatu zdradziło brak smaku w jakiejś wstążce nie ortodoksyjnie przypiętej — admiirowano *finessę* tego postrzeżenia, które cechowało — człowieka wielce wydelikaczonego gustu!

Już w ostatnich wyrazach — Viola zdradziła tę czułość, którą w następnych aktach miała okazać z nieporównanym wdziękiem, czułość dziewiczego serca co się jak kwiat na wiosnę po raz pierwszy otwiera...

Scena druga wtórego aktu w ogrodzie Capuletów była prawdziwym tryumfem artystki, chociaż Romeo chcąc być namiętnym stał się przerażająco karykaturalnym... widzowie pochwyceni nie patrzali nań, nie słuchali go... w głębokiej ciszy poili się muzyką słowa Julietty, która nawet nie dosyć udatnemu przekładowi umiała nadać urok czarodziejski... Nieprzyjacielem i wytwornym smakoszem co tu przyszli ze wspomnieniami Paryża i Londynu, musieli zwartwieni przyznać, iż Viola miała talent olbrzymi, że to było niesłychane na malém scenie zjawisko. Ile starych

sere pobótwiałych uderzyło ku niej, ilu śmiertelnie zakochało się studentów — ilu finansistów myślało o kupieniu tego klejnotu... Statystyka tego wieczoru pamiętnego nie zapisała.

Nie podziwiano może tyle przejęcia się rolą, wdzięku z jakim ona była odegrana, jak — nade wszystko to, że Julietta potrafiła być hrabianką Capuleti... będąc w istocie córką ubogiego proletaryusza.

Po lożach to obudzało zajęcie, podziw, domysły różne i złośliwe szyderstwa.

W ciągu scen, które mimo towarzyszących Violi artystów — dość nieudolnych, szły nieźle wcale, Hanna kilka razy rzuciła okiem na Sylwana... i znajdowała go zawsze zatopionym w sztuce... Uczyniła nawet jakąś uwagę z tego powodu panu Hermanowi, który — choć z równym zajęciem wpatrywał się we Violę, uśmiechnął się i spojrzał na Sylwana...

Tragiczny akt piąty... grała artystka tak straszliwie rozpacznie, tak do zbytku prawdziwie, iż najsurowsi nawet sędziowie nie mogli się powstrzymać od chwilowego wzruszenia... Kurtyna zapadła wśród grzmotu oklasków i wywoływań namiętnych Violi... lecz zamiast niej. po długich krzykach wyszedł tylko sam dyrektor oznajmując ze strapieniem wielkiem szanownej publiczności, iż ulubiona artystka mocno zachorowała i musiano nawet wezwać do niej lekarza.

Oko Hanny padło mimowolnie na Sylwana. który usłyszawszy to wyciskać się zaczął przez tłum i zniknął gdzieś w korytarzu... który zapewne prowadzić musiał za kułisy.

Do powozu towarzyszył jój Herman, była ponura i milcząca. Ci, którzy nagotowali byli bukiety, musieli z niemi powrócić do domu... Lelia napróżno oczekiwała przy wyjściu na brata... i zmartwiona tém, że się jój nie pokazał, sama wsiadła do powozu... Sylwan w istocie poszedł się dowiedzieć za kulisy o Violę. Dyrektor, którego spotkał łamał ręce i zdawał się w prawdziwój rozpacz. Wystaw sobie pan... ta nieszczęśliwa, niewiem z jakiego powodu... boć jój przecież tak źle nie jest, a byłoby bardzo dobrze gdyby tylko... Zdaje się, że wzięła ogromną dawkę opium i chciała się nią otruć... lekarz ledwie pośpieszył w czas... aby ją ocalić... niebezpieczeństwa niema, lecz musieliśmy ją natychmiast odesłać do domu...

Nie namyślając się Sylwan chwycił także powóz przed teatrem i kazał się wieźć do mieszkania Violi... Zastał oboje państwa Pawłów w rozpacz trących głowy... lekarza, który z zimną krwią i przytomnością rozporządzał co czynić a Violę na łóżku w tych jeszcze sukniach które Julecie do grobu służyły. jakby szukającą niespokojnie oczyma wkoło siebie... kogoś spodziewanego... Resztki zażytego opium znać marzeniami sennemi mózg jój uciskały, mówiła jakby obłąkana... coś czego nikt zrozumieć nie mógł. Na

widok Sylwana, podniosła się na łóżku, wyciągnęła ręce i krzyknawszy: Mój Romeo! padła osłabiona na poduszki...

Lekarz stał zamyślony... szydersko się uśmiechając...

Viola chwyciła rękę przybyłego spazmatycznie usiłując zatrzymać przy sobie. Nastąpiła chwila milczenia...

— Niema niebezpieczeństwa? spytał Sylwan po cichu...

— Już go niema, ale gdyby nie wypadek, który fiaszeczką niedopitego laudanum dał wskazówkę... piękna Julia usnęłaby w grobowcu Capuletów na zawsze... rzekł lekarz ciszej jeszcze. Teraz, potrzeba wypoczynku dla ciała i ducha, bezemnie tu się obejdzie... pan (dodał ironicznie) pozostań... Stara jejmość niech daje lekarstwo...

Viola zgłową zwróconą ku Sylwanowi, trzymając jego rękę... wpatrywała się w niego niespokojnie... w czasie téj szeptanej rozmowy...

— Kochany konsyliarzu — odezwał się Sylwan... nie potrzebuję ci przypominać, że tajemnice łoża chorych są święte... a to czego masz prawo się domyślać... pozorem jest, nie prawdą. Skłonił się młody doktor wychodząc na palcach... Sylwan musiał zostać... Viola zdawała się z trwogą oczekiwać na zasłużony surowy wyrok sędziego...

— Nie pogardzaj mną, rzekła cicho — nie potępiaj mnie biednej. Ty niewiesz ilem przecierpiała w ży-

ciu. Sam Pan Bóg mi to był przebaczył! Dziś umrzeć czy jutro... czyż nie jedno, gdy nic się nie ma do czynienia w życiu, gdy sobie jest człowiek ciężarem, a drugim obojętnym. Życ mi tak ciężko...

— To są wyrazy dziecińy słabiej — odparł Sylwan... ale dziś nie czas na wymówki... trzeba spocząć dziękując Bogu, że życie ocalił. Nikt nie zna swój przyszłości a każdy na świecie jest potrzebnym, nikt nie ma prawa targnąć się na życie, które jego własnością nie jest...

Viola milczała płacząc schylona ku poduszce.

— Tak! to prawda — ale są takie życia! takie życia są ciężkie i bez kropelki pociechy... Co by to komu było szkodziło, gdybym sobie zasnęła tak na wieki...

A! jaki pan jesteś dobry, że jeden tylko — nie zważając na nic — przyszedłeś do mnie. To było ostatnie pragnienie gdy mi się zdawało, że na wieki usnę, aby ziębnąca ręka Julietty jeszcze twoją dłoń uczuła.

— Już o tém nie mówmy — rzekł Sylwan, potrzeba spocząć... i trzeba się poprawić...

Viola westchnęła... Sylwan wyrwać chciał z wolna dłoń z jęj rąk, ale go nie puszczała.

— Chwilkę jeszcze — rzekła cicho. Któż to wie, ja może umrę... a może jutro widzieć mnie nie zechcesz... Jeszcze chwilkę...

Sylwanowi wyraz tęskny jęj głosu wycisnął pół łzy z powieki... W téjże chwili około domu na

wschodach usłyszano szmer głuchy, potem... stłumioną mowę i podnoszący się coraz głos Szerszenia, który zdawał się bronić przystępu... Pawłowa niepokojna poszła się dowiedzieć co by to było... Kilkudziesięciu młodzieży i najzapaleńszych admiratorów Violi, dowiedziawszy się o tragicznym wypadku, przypadli aż pod dom pytać o jej zdrowie. Niesiono stosy bukietów, które Pawłowa zabrać musiała... Na czele oblegających był Herman, który choć tego nie pokazał po sobie w czasie przedstawienia, mocno był przejęty grą artystki... a przerażony wiadomością, która już po kurytarzach obiegała... Odprawivwszy od powozu panie, pobiegł prawie mimowolnie do mieszkania Violi... Tu wszelkimi możliwymi środkami chciał przekupić cerbera Pawła, który rozkrzyżowawszy się we drzwiach przysięgał na mistrza, iż nikogo wewnątrz nie wpuści.

Głos Hermana poznawszy brat, wstrzymał się, aby z nim i z innemi nie spotkać... Viola usłyszawszy szmer chwyciła się tego pretekstu by go prosić, ażeby przy niej pozostał. Usiadł więc Sylwan przy łóżku, a Viola nie puszczając jego ręki, jakby odżywiona podniosła się nieco na łóżku, bladym uśmiechem ciesząc się z téj pomocy losu...

Na Szerszenia spuścić się było można, iż progno nie da przestąpić. Jakoż po żwawej utarczce z panem Hermanem, przepuściwszy tylko bukiety, Paweł wytrwał na stanowisku i drzwi na klucz zatrzasnął.

— Ale tego bądź pewnym, zawołał mu Herman

odepchnięty nad uchem, że ja nie ustąpię, siadam na wschodach i będę do rana czuwał.

— Siedź sobie pan i cały tydzień... mości dobrodzieju, panie grafie, rzekł Szerszeń — gdybyś był i dziesięć razy panem grafem... to ja cię tu nie puszcze... to darmo!

Sylwan napróżno chciał się wymknąć, musiał, rad nie rad zostać w tém krześle przy chorąg, której twarzyczka blada śmiała się szczęściem. Pan Paweł palce kładąc na nstach, cichutko się zbliżył do niego.

— Ja dopilnuję tego jegomości, rzekł, wszysey się rozeszli — przecie i on tu nocować nie będzie. Niech pan spokojnie posiedzi.

I wrócił do wchodowych drzwi... Otworzywszy je pomalutku... zajrzał, zobaczył plecy Hermana, który cygaro zapaliwszy po ciemku na wschodach oparty o ścianę zajął stanowisko — i — prędko znowu przymknął.

Próby te powtarzały się kilkakrotnie w przeciągu pół godziny—Herman siedział. Wreszcie zmęczony Szerszeń ze świecą wyszedł próbować na upartym siły wymowy i argumentu.

— Jakże pan u kaduka, mości dobrodzieju, panie grafie — odezwał się — możesz nawet żądać do chorąg panny gwałtem wejść o północy?

— Muszę się dowiedzieć co się z nią i z moim bratem dzieje, bom pewny, że on tu jest...

— Zkąd pewność? spytał Szerszeń... Jest lekarz tylko...

— Ja potrzebuję natychmiast widzieć brata, powtórzył Herman... mój brat jest tu! musi być...

Szerszeń zmilkł... zafrasowany...

W téj chwili przypomniał sobie boczne wschodki, któremi go mógł wypuścić, zamknął wnijsie mrużąc... poszedł do Sylwana i gwałtem go prawie oderwawszy od Violi, której pogroził, spuścił się z nim po cichu do ogrodu...

XV.

Nazajutrz Sylwan leżał jeszcze w łóżku, gdy dzwonienie do furtki zbudziło jego chłopca, który poszedł otworzyć. Spiesznym krokiem wpadł Herman nie zdejmując kapelusza, wprost do łóżka Sylwana; spojrzał na niego smutnie jakoś i odezwał się.

— Byłeś wczoraj u Violi czy nie? co się z tą biedną dzieje?

Sylwan kłamać nie chciał... nie namyślał się długo...

— Więc byłeś! tegom się domyślał i odparł siadając Herman. Tobie jednemu tam wejść było wolno. Viola wyzdrowieje, ażeby też ją to wyleczyło z choroby serca! Jój miłość dla ciebie a twoja litość dla niej może mieć wcale smutne dla ciebie skutki. Szukałem cię od wczoraj ażeby ci powiedzieć... że Hanna jest zazdrosna, rozgniewana, oburzona i — kto wie jakie z tego mogą być następstwa... Trzeba żebyś się u uwiewinnik i wytłómaczył przed nią. Jest źle — jest bardzo źle.

— To być nie może!

— Daję ci najuroczystsze słowo! gonię za tobą

od wczoraj... Hanna z teatru wyniosła to przekonanie, że ty się kochasz we Violi...

Mówileś mi wiele razy, że mnie nie rozumiesz, ja ci dziś powiedzieć muszę, że nie pojmuję ciebie. Bardzo to heroicznie przez miłosierdzie dla sieroty poświęcać swoje szczęście—lecz ja zaczyuam wątpić czy kochasz Hannę?

Sylwan porwał się z łóżka ręce łamiąc.

— Kocham ją! zawołał—kochać ją będę do śmierci, ależ człowiekiem mimo to być muszę... tam szło o życie.

— A tu może iść o szczęście twoje! rzekł Herman zaczynając się przechadzać po pokoju.

— Robiłem com tylko mógł, by pannę Hannę wywieść z błędu, uspokoić — lecz zdaje mi się, że nawet siostrze twój rozdrażniona musiała coś powiedzieć... strasznego bardzo. Domyslałem się tego z jej twarzy...

Sylwan westchnął.—Po Hannie niespodziewałem się tego.

— Chwytała — rzekł Herman, każde twoje wejrzenie skierowane ku scenie, każdy błysk oczów Violi—za każdą razą drżała i bladła — wreszcie z gniewem rzuciła się ku Lelii siedzącej obok w łożu i pozostała blada, osłupiała do końca przedstawienia.

— Biegnę natychmiast do mojej siostry — odezwał się Sylwan wzruszony—będę się starał widzieć z panną Hanną i przed nią wytłómaczyć Nie czuję się winnym.

— Siedziałem prawie całą noc na wschodach téj dziewczyny—dodał Herman, chciałem ciebie z tamtąd wyciągnąć... Wiedziałem żeś tam był, z kimże wyszedłeś?

— Daj mi już pokój z temi pytaniami... chmurno odpowiedział Sylwan. Dziękuję ci za troskliwość, sam będę wiedział jak sobie radzić i co począć.

Zdawało się, że Herman chciał jeszcze mówić coś więcej, ale się powstrzymał.

— Wierz mi—szepnął w końcu namysliwszy się, że com uczynił to przez troskliwość o ciebie i — dla téj biednej Violi — żał mi jój niewymowny...

Podał rękę Sylwanowi, uścisnęli się w milczeniu. Ubrany na prędcę, z gorączkowym pośpiechem Sylwan pobiegł do siostry... Znalazł ją w progu domu wybierającą się do niego, z twarzą smutną i zmęczoną.

— Sylwanie, zawołała zobaczywszy go, szukam cię od wczoraj, w śmiertelnym jestem niepokoju z twego powodu. Hanna! Hanna się guiewa—Hanna, która była ze mną jak siostra... wczoraj znalazłam ją tak zmienioną, tak podrażnioną! a! tyś bo sam winien... Oburza się na ciebie za zbyt, doprawdy niewytłómaczone zajęcie tą dziewczyną! Co cię może jakiś tam szurgot obchodzić... Podszepnięto jój znać wskazano twoje zajęcie tą głupią dziewczyną... Dla niej możesz stracić Hannę! Niepojmuję twojego postępowania! a! wy mężczyźni... Sądziłam, że choć ty wolny jesteś od podobnych miłostek...

— Moja Lelio — przerwał Sylwan oburzony — czyż i ty będziesz mnie o nie posądzać! Nie wolno więc mieć miłosierdzia, pomódz sierocie, żeby w tém nieupatrzonego egoizmu i spekulacyi obrzydliwój! Ani Hanny, ani ciebie — ja znowu nie rozumiem — możecież, godziż się wam tak łatwo posądzać — kogo? mnie!

Sylwan ruszając ramionami przechadzał się oburzony po pokoju, do którego weszli razem, smutek i gniew malował się na jego twarzy.

— Nie mogę tego ścierpieć, rzekł — by to pozostało jak jest... muszę się widzieć z Hanną — Herman mi przyszedł oznajmić, że się gniewa, ty potwierdzasz — potrzeba raz pomówić szczerze i otwarcie. Ja się z nią widzieć muszę, ona mi tego odmówić nie może, nie powinna. Błagam o to!

— Oóż mam zrobić? iść ją tu prosić, bo ty tam pójść nie możesz? spytała Lelia. Poprobuję, jestem posłuszna... Idę.

Wskazawszy fotel bratu, ścisnąwszy mu rękę w milczeniu. Lelia poszła — ale smutna i pomieszana... Sylwan padł na siedzenie i pozostał w niém przykuty.

Naprzeciw niego wiszący zegar, męczarnię długiego oczekiwania, rozdrabiał mu na setne części sekundy, aby się dłuższą wydawała. Godzina stała się wiekiem, myśl miała czas przebiec wszelkie możliwe następstwa wypadków. Smutno mu było. Z wlepionemi w skazówki zegaru oczyma czekał

zdrętwiały, rachując przyjdzie czy nie. Nareszcie szybki chód po wschodach dał się słyszeć, ucho rozpoznało kroki dwóch osób, zaszeleściały suknie, drzwi się otworzyły—Hanna weszła... blada i pomieszana. Sylwan zerwał się i stanął przed nią milczący, jak winowajca przed sędzią...

— Stawię się na rozkaz wasz! zawołało dziewczę, poruszonym, pełnym tłumionego gniewu głosem...

— Czyżbym śmiał pani rozkazywać? odezwał się Sylwan — prosiłem, błagałem, bo w niepewności i trwodze wytrzymać nie mogłem — a sam do pani przyjść nie odważyłem się — Herman mnie przestraszył — pani się gniewasz... pani..!

Przerwał nagle i począł, zbliżając się ku niej, zmieniając głos.

— Panno Hanno! być że to może abyś pani, pani mnie mogła posądzać o fałsz, o kłamstwo, o zdradę i o nikczemne jakieś intrygi pokątne? Zkąd ta niewiara — jaki powód do niej?

— Powód? rozśmiała się Hanna rzucając na krzesło... czyż pytać o to można? Całe miasto mówi o pańskiej miłości dla téj aktorki, która miała się wczoraj chcieć otruć z téj wielkiej passyi, szału i rozpacz... Cały wieczór wczoraj nie odwróciłeś pan oczów od sceny?

— Panno Hanno! składając ręce rzekł Sylwan — któż się truje będąc kochanym i kochając? Co za wina, że niemogąc na was patrzeć, by wam nie czynić przykrości, oczy miałem skierowane na scenę!

— Ale z jakim wyrazem? z jaką czulością — podchwyciła Hanna... patrzałam na to! widziałam, czułam i — oburzałam się.

— Panno Hanno! przerwał czule Sylwan — czyż pani mnie nie znasz! czy pani możesz mnie posądzać?

— Muszę!

— Godziź się... a to boli! ja pani nie poznaję.

— Ja pana nie poznaję, panie Sylwanie, dodała Hanna, kochaj pan kogo chcesz... ale nie ukrywaj uczucia i nie udawaj go!

— Na miłość Boga — Hanno — wtrąciła Lelia.

— Pani... zawołał Sylwan — czyż taki fałsz ohydny, takie kłamstwo możesz mi pani zadawać? Jestli to w moim charakterze? Cóżbym miał za powód do niego? Posądzaszże mnie pani o rachubę? na Boga!

Hanna zbladła poruszona.

— Posądzam pana o to, że się wstydzisz uczucia, któremu uległeś i z którym się taisz, a chcę byś był otwartym i zmusić pragnę byś mi powiedział prawdę.

— Prawdą jest i będzie — zawołał Sylwan, że panią kochałem i kocham, wielbię — czezę, ale nierozumiem — Viola obudza we mnie litość.

— Za wielką! dodała Hanna — sam może nie znasz uczucia jakie masz dla niej, lecz oczy obcych i moje własne nie omyliły mnie. Jesteś nią zajęty...

Sylwan oburącz się schwylił za głowę spojrzal na Hannę bladą — zamilkł smutnie.

— Miejsze pani litość nademną! to przywidzenie — rzekł po chwili — a boli mnie, od uiej szczególnie... boli srodze... Czyż pani nie czytasz w sercu mojem?...

— Może lepiej niż wy sami! ponuro dodała Hanna — lecz — pocóż te tłómaczenia i wymówki? Można się ze wszystkiego tłómaczyć, a wrażenie nie odejdzie, nie — moje oczy patrzyły, serce czuło... słowa nie pomagają... ja wiem! ja czuję Panie Sylwanie — ona was więcej niż ja obchodzi... Grzechu w tém niema...

— Pani mnie zabijasz — niewinnie — szepnął Sylwan...

Lelia przystąpiła do niej z wolna.

— Handziu droga — odezwała się, czyś tylko własnemi a nie cudzemi oczyma patrzyła — zastanów się — uległaś temu co chcieli widzieć i wmówić ci drudzy.

— Ja? nie, przerwała Hanna, chciałam niewieńczyć — zostałam zmuszoną. Co słowa znaczą, gdy czyny świadczą inaczej... Zresztą boli nawet to, że rzecz jest jawną. że o niej mówi miasto całe. Dziś z rana, dziesięć już osób przychodziło z tą wiadomością. że wczoraj widziano pana Sylwana pędzącego po teatrze do mieszkania aktorki, do którego nie wpuszczano potém nikogo... Wszystkim wiadomo

żeś pan tam u łoża téj interesującej choréj całą noc przepędził!

Sylwan zamilkł ponuro...

— Czyżby mi nie miało być wolno mieć litość nad nieszczęśliwemi? zapytał po chwili.

— Panu wolno wszystko — lecz ludziom też sąd wolny! To nie była litość... to silniejsze nad nią uczucie... Serca podzielić nie można... a kto oddał cale... całego ma wymagać prawo... Panie Sylwanie, ja pana... ja pana uwalniam... ja chcę być też wolną; — dodała — boli mnie... lecz muszę.

— Hanno moja! przerwała Lelia—co ci się dzieje! to przywidzenie! to fantazya! nie zabijaj człowieka, nie dręcz siebie nadaremnie — Sylwan...

Sylwan w téj chwili sięgnął ręką drżącą po leżący na ziemi kapelusz.

— Przysięgam pani na wszystko co mam najdroższego, co mi jest najświęszém, iż to posądzenie nie słuszne... jestem niewinny! nie zmieniłem uczuć i pozostanę im wierny — Bądź co bądź... nie mam prawa narzucać się pani... i więcéj nie powiem słowa...

Posunął się ku drzwiom, a Hanna nie podniosła nawet oczu na niego, siedziała z głową spuszczoną... Sylwan skłonił się i wyszedł powoli. Lelia prawie była rada, że z nią zostanie sam na sam... widziała ją wzruszoną — spodziewała się ukołysać. Hanna zakryła twarz chustką i na łzy się jéj zebrało... milczały obie dość długo.

— Moja Lelio—odezwała się Hanna—nie mnieście

mi tego za złe, płochą nie jestem, lecz — serce moje obrażone — ostyga... miłość własna odpycha od tego którego kochałam. Chciałabym się przemódz — nie mogę... Między nami wszystko skończone...

To mówiąc wstała idąc ku drzwiom, gdy Lelia zastąpiła jej drogę i głosem uspokojonym odezwała się.

— Słówko jeszcze, moja Hanno droga? Uczynisz co ci się podoba... jesteś wolną... Ja nawet prosić cię nie będę za bratem... Stracona wiara trudno powraca... lecz powiedz mi, powiedz proszę... wyznaj mi prawdę... co ją w tobie zachwiało?

Hanna ocierając oczy podniosła wzrok smutny na Lelię.

— Od przyjazdu naszego tutaj — rzekła, nie ma dnia, rozmowy niema. żeby w niej przybywający do nas nie tknęli pana Sylwana, malując go ze wszech stron czarno, szydersko... niepoczciwie. Oburzało mnie to nie wpływając na przekonanie... Pan Herman go bronił — serce moje go broniło, w ostatku on sam w obec tysiąca osób przyszedł umyślnie przekonać mnie, że na jego miłość rachować nie mogę... Nie ja zerwałam — on sam — lecz między nami wszystko — wszystko skończone!

Lelia odstaąpiła kilka kroków... Hanna chciała coś mówić jeszcze... i razem zbliżyła się ku drzwiom...

Spokojnie bardzo zdejmując z palca pierścień, wdowa pospieszyła ku niej. Daj mi z łaski swój, rzekła — ostatni dowód przyjaźni, bądź pośredniczką

między ojcem a mną, i zwróć mu z podziękowaniem ten dowód jego przyjaźni. Ja chcę dzielić losy mojego brata... zrywając z nim zmuszasz mnie do zerwania z ojcem twoim... Byłabym w rodzinie twój powodem nieustannych nieporozumień i strapień... Za te szczęśliwe chwile, które mi twoje dawniej tak dobre serce ozłociło — dziękuję ci, Hanno droga, nie gniewaj się — ulegasz wpływom sama nie wiedząc o tém — ale to było nienchronne... Tak może jest lepiej.

Opierając się nieco, Hannie Lelia pierścień położyła na rękach... Jakaś chwila niepewności zdawała się rozstrzygać czy się tak rozstaną z sobą... Hanna podniosła głowę i wzruszonym głosem — odezwała się.

— Żegnam cię — ojciec uczyni co zechce...

Lelia nie odpowiedziała. Załedwie drzwi się zamknęły, upadła na fotel...

Wypoczynek ten trwał jednak krótko, zadzwoniła spytać czy brat na nią nie czekał... Odpowiedziano, że go niema... Lelia niechcąc samego rzucić poszła do niego... Sylwana nie było jeszcze w domu... musiała powrócić zasmucona... Czuła się nawet słabą i postanowiła nie wychodzić dnia tego...

W głębi serca miała pewność, że i Sylwan przyjsć musi i pan Aleksander odebrawszy pierścień nadbiegnie. Nie omyliła się na obu tych rachubach, gdyż Sylwan wrócił jak tylko mógł sądzić, iż Hanny u niej nie znajdzie.

Znalazła go smutnym, zrezygnowanym i spokojnym... nadto może spokojnym po stracie jaką poniósł, a która zdawała się bezpowrotną. Na pierwsze słowa, które wyrzekła chcąc obwiniać ludzi, Sylwan... zatrzymał ją.— Proszę cię i błagam, ani słowa o tém... nadto cierpię.

— Co myślisz z sobą?...

— Nic nie wiem... bądź co bądź, nawet dla szczęścia narzucać się nie mogę, modlić o nie, nie będę. Stało się! Winny okoliczności, winno serce Hanny... może ja sam. Inaczej jednak postąpić nie mogłem... lub nieumiałem.

— A miłość twoja dla Hanny?

— Została w sercu całą i nieporuszoną.

Widząc, że brat niechętnie się tłómaczy i mówić nie chce — Lelia przerwała w końcu rozmowę, z pewnem podziwieniem wpatrując się w niego, bo miłości téj ani męskiego cichego cierpienia pojąć nie mogła. W niej burzyło się wszystko...

W tém w przedpokoju dał się słyszeć głos zadyśzanego pana Aleksandra. Od chwili tych improwizowanych zaręczyn, był on ciągle w najsprzeczniejszych usposobieniach, które nim na przemiany miotaly; szczęśliwym się czując i strwożonym. Budził się zafrasowanym żałując porywczosci z jaką się wdowie oświadczył, to znowu roił odrodzoną szczęśliwość i młodość, i gotował się wyjawić wszystko przed starością.

Ciche żarty Dołęgi, który dotąd go nie wydał z se-

kretu, to mu pochlebiały, to go bolały... Po kilka razy na dzień czynił sobie wyrzuty, porywały go strachy i miłość przepłoszona wracała, przeglądał się w zwierciadle, liczył lata, obawiał się i zarazem pragnął przyspieszyć małżeństwo. Na jedną z takich chwil, w których łysy Oleś odbywał z cygarem w ustach rachunek sumienia, weszła po cichu Hanna do ojca, z twarzą tak zmienioną, poważną, smutną, iż pan Aleksander się uląkł i śpiesznie ku niej postąpił.

Stosunek ojca do córki był bardzo czuły, Oleś wszakże lękał się jęj, czuł wyższość, szanował, starał się przed nią ukryć ze swemi słabostkami.

— Cóż ty mi tak moja Hanno jakoś dziwnie wyglądasz? spytał jęj.

Córka pomilczała chwilę, jak ma przystąpić do drażliwej rozmowy i uznała najwłaściwszem, nieodzywając się oddać ojcu pierścioneł, który mu sama niegdyś ofiarowała. Pan Aleksander się przeląkł. Co to ma znaczyć? zawołał — Lelia go ojcu odsyła.

— Co za powód? Prawdziwie, niewiem, jakiś chwilowy kaprys... zresztą papa o tém z nią sam pomówi...

Oleś trzymał pierścioneł w ręku i stał zamyślony. Cóż to jest? co mówiła... Ona to sama najlepiej wytłómaczy? nie niewiem.

W twarzy starego wdowca malowały się zmieszane tak dziwnie uczucia niepokoju, żalu, a razem jakie-

gos zadowolenia naprzemiau... iż Hanua nie z niego wyrozumieć nie mogła.

— Cóż ty na to? szepnął, patrząc na córkę...

— Nie godzi mi się w téj mierze żadnego mieć zdania... spełniłam poselstwo moje... reszta należy do ojca... I wysliznęła się z pokoju.

Pan Aleksander ubrał się i pobiegł. W drodze postanowił niekoniecznie się spieszyć z powtórniemi zaręczynami, i jeśliby Lelia wymagała zwrotu pierścionka, oddać jęj go na powrót. Zawsze pewny jestem, że gdy okoliczności pozwolą, ręki mi nie odmówi, a bezpieczniej z tém poczekać.

Ale w progu już nadzieje szczęścia doradzały mu inaczej; gdy wszedł nie wiedział wcale jak postąpić. Wejrzenie na Lelię, rozbudziło pragnienia i uczucia...

— Królowo moja? zawołał rzucając się ku nięj od progu (Sylwan cofnął się śpiesznie do drugiego pokoju, aby się z nim nie spotkać). Królowo moja... Hanua przyniosła mi pierścioneł! Ja nic nie rozumiem ..

— Hanna powinna była to panu wytłómaczyć, odezwała się Lelia.

— Niechciała mi powiedzieć! — na miłość Boga co to ma znaczyć?...

— W krótkich słowach powiem panu, odezwała się Lelia — panua Hanna, która okazywała zawsze wiele przyjaźni dla brata mojego pod pozorem błahym, odjęła mu wszelką nadzieję... Z rozmowy z nią

mogłam osądzić, jak drażliwém byłoby moje położenie w rodzinie, w domu... bo ja i brat jesteśmy nierozzerwani... Rozstańmy się więc panie Aleksandrze... dziękuję panu za jego serce dobre dla mnie — ale żoną być nie mogę, nie będę...

Oleś stał jak ogłuszony... jedną rzecz rozumiał teraz, że Hanna zerwała z Sylwanem, a to dla niego mogło tylko być powodem do stania przy pierwszej myśli poślubienia Lelii. Co dla niej było przyczyną rozerwania, dla niego kruszyło najważniejszą z przeszkód — obawę Sylwana. W chwili uczucia i myśli zamieniły się, odetchnął wolniej i postanowił nieustępować...

Rzucił się, chociaż z pewnemi okolicznościami czterdziesto-ośmioletniemu człowiekowi niezbędnemi, na kolano (w liczbie pojedynczej) przed Lelią — i zawołał z impetem wielkim.

— Ja mam wasze słowo — nie ustąpię...

— Okoliczności się zmieniły... rzekła Lelia byliśmy z Hanną jedną myślą, duszą jedną — dziś stosunek inny... ja wejść do rodziny waszej już bym nie mogła...

— Cóż się więc stało nowego? Co zaszło?

— Hanna... obwiniać jej nie będę i nikogo... Los tak chciał, tak może być lepiej...

— Ja mam słowo twoje, królowo... powtórzył wdowiec — nieustąpię.

Lelia się cofnęła krokiem od klęczącego, który jej podawał pierścioneek...

— Daruj pan rzekła — ja się wolną czuję i do niczego nie obowiązana... a zmusić mnie nikt w świecie nie potrafi.

Niechając przedłużać téj sceny Lelia spojrzała ku drzwiom, któremi wyszedł Sylwan, jakby go na pomoc wzywała... W istocie stał on w progu i patrzył na nią... nie wahając się wszedł a wnijscie to niespodziane o mało w kamień pana Aleksandra nie obróciło.

Obejrzał się przestraszony.

— Przychodzę w pomoc méj siostrze, rzekł Sylwan... z prośbą abyś pan jój i sobie nie czynił przykrości naleganiem daremnem... Związek ten naraziłby nas wszystkich na długie cierpienia, sam to pan widzieć musisz...

Głos grzeczny lecz stanowczy Sylwana, nie wywołał żadnej odpowiedzi, zmieszany mocno pan Aleksander niewiedział ani co począć, ani co powiedzieć... Przytomność brata niewypowiedzianie mu była przykrą. Spuścił oczy, wybąknął coś niewyraźnego.. zatrzymał się chwilę... popatrzył na Lelię, która się usunęła w głąb pokoju i zdejmując żywo pierścień z palca, położył go na stole... Skłonił się i wyszedł... Jak pijany stoczył się ze wschodów... i znalazł się w ulicy niewiedząc co pocznie dalej, gdy głos i śmiech Dołgi do przytomności go przywrócił.

— Cóż ty u drzwi swój adorowanej odprawiasz straż... czy?

Popatrzywszy na zmienioną twarz Olesia, przerwał pan Maryan nagle.—Co ci jest?

— Nic — nic, zerwałem! wszystko skończone... stłumionym głosem rzekł stary...

— Zerwane! To dziękuj Panu Bogu! i sza! ci cho—pośpiesznie pocałował Dołęga, biorąc go pod rękę. Rozumiem, że ci to być może trochę bolesném... ale dalipan powtarzam jeszcze raz—dziękuj Pann Bogu! Byłbyś szalone pannał głupstwo, siebie i familię skompromitował. Niechciałem ci czynić uwag zapóźnień... teraz gdy się to rozchwiało—winszuję z całego serca... Cóżbyś ty robił ze szwagierkiem, któremu drzwi przed nosem zamknąć byłoby trudno...

Oleś stał jeszcze osłupiały... Dołęga patrzył na zegarek...

— Słuchajże, miej rozum... widzę żeś przybity... Chodźmy co dobrego zjeść i napić się wina... rozkołyszysz się i zapomnisz... Ale chodź.

Bezwładnego pana Aleksandra pochwycił prawie gwałtem czuły przyjaciel i wiedząc jakie najlepiej nań poskutkuje lekarstwo, poprowadził go z sobą do restauracyi. Wybrał najlepszą.

XVI.

W saloniku hrabiny Ramulto wój w godzinie popołudniowej, nadzwyczajną uzyskawszy audiencyą, siedział, kapelusz trzymając w rękach, uperfumowany Lubicz... Dojrzała niewiasta na fotelu naprzeciw niego spoczywająca, uśmiechała mu się z wdziękiem zapożyczonym od lat młodszych i małą rączkę złożyła na stoliczku naprzeciw niego, aby się jój mógł do syta napatrzeć. Rączka ta biała, pulchna, okryta mnóstwem pierścieni, które stanowiły rodzaj kroniki dość długiego i nie skąpego w wypadki życia — mogła w istocie swemi kształty i wypieszczeniem ściągnąć znawcy oko. Lubicz, który od niewielu lat żył w towarzystwie szczycącym się rękami takimi, zachwycony był arystokratycznym rysunkiem jój i kolorytém tycyanowskim... Opalowe pazurki różowiejące na koniuszczkach palców, świeciły wypolerowane najstaranniej... Rączka bawiła się niby chusteczką batystową oszytą koronkami, a w istocie kusila młodzieńca. Usteczka uśmiechem pełnym dobroci towarzyszyły jój, a oczki przymróżone, wy-

rażały całą czulość na jaką po wielkim jój szafuuku zdobyć się jeszcze mogły.

Hrabina jakby gotując się na przyjęcie przyjaciela strojną była wytwornie, a choć ani godzina dnia, ani miejsce nie usprawiedliwiała toalety, ubraną była do gorsu i białe ramiona urągające się latom niczém nie przykryte, dodawały jój pożyczanej młodości. Nie wątpiła bynajmniej o zakochaniu adoratora, który wdychał niekiedy pożerając te wdzięki obfite i dojrzale, okiem chciwém i miłosném...

Hrabina zwykle mówiła mało... lecz ze starannym wyrazów doborem i przesadą miłuchną, która przy jój wieku brzmiała dziwnie dosyć i nieco śmiesznie... W téj chwili milczeli oboje zatopieni we wzajemnej kontemplacyi...

— Mówże te nowiny twoje! szepnęła wdychając ku Lubiczowi matroua; ciekawam...

— Są bardzo dobre, cicho szepnął kawaler... zdaje się, że syn hrabinéj potrafił pozyskać serce pauny Hanny... która zerwała z Sylwanem... To go odeciągnie od téj aktorki i wprowadzi na drogę innego życia...

— A! tak radabym go widzieć szczęśliwym i niezazdroszczającym mi też téj odrobiny szczęścia... którego się spodziewam od was... przerwała hrabina. Dziecko drogie trochę o serce moje było zazdrośném... ale miłość dla ciebie nie umie macierzyńskiej, a mam nadzieję, że i ty dlań ze mną ją po-

dzielać będziesz... że mu się staniesz przewodnikiem... podporą.

— Byle raz pozbył się uprzedzeń swych przeciw mnie, które — zresztą — dodał Lubicz, w początkach są naturalne.

— Ale te chłody i kwasy przejdą? rzekła hrabina, Handzia byłaby dla niego śliczną partyą...

— Staraliśmy się wszelkimi środkami zbliżyć ich a pana Sylwana usunąć... *Un democrate forcé de la pire espèce*... Niechże Bóg broni by mu się taka fortuna *comme moyen d'action* dostać miała w ręce... Dom, wpływ! Panna Hanna miała nieco głowę przewróconą... Herman takżę.

— A! nie, starałam się w nim dobre wszczepić zasady — ale młodość, żywość, temperament...

— Hermanek już wie o mojem postanowieniu, dokończyła hrabina... już trochę się to przeburzyło w nim... *il ne m'en veut plus!* Mam nadzieję, że i jego przyszła będzie *raisonnable*... a... ja po wielu i długich cierpieniach odetchnę na łonie przyjaźni i familii.

Spojrzała czule na Lubicza, który jęj białą rękę ucałował.

— Wierz... pani...

— No cóż już ta *pani* i te tytuły... cicho przerwała hrabina... mam imię Pauliny, nazywaj innie po imieniu... twoją... twoją Polką...

Wyrazom tym czułym towarzyszyło westchnie-

nie, Lubicz odwótował mu drugim podobném w tym samym tonie.

— Polcin droga! rzekł — tyś anioł dobroci...

— Chciałabym abym tylko twe szczęście mój Miciu zapewnić mogła... a wierz mi serce mam młode... i żywo ono bić umie.

— Moje, które nigdy nie kochało... poczał Lubicz... przynosi ci na ofiarę pierwiastek uczuć...

Oczy hrabinéj zwróciły się ku młodzieńcowi, który tak piękne prawił jéj rzeczy i byłyby czułości wzajemne zaszyły zapewne daléj jeszcze, gdyby Herman po dobrym obiedzie, w dobrym humorze z cygarem w ustach, niespodziewając się nikogo zastać u matki o téj godzinie, nie wszedł ponfale, nie pytając o pozwolenie do pokoju...

Lubicz nadzwyczaj się tém zmieszał... Herman zdawał się go nie widzieć...

— Pan Lubicz! rzekła matka.

Syn skłonił się i niezważając na niego siadł z drugiéj strony. Chcąc odciągnąć go od innéj drażliwszój materyi hrabina zapytała uśmiechając się.

— Jakże tam z panną Hanuą? Pan Lubicz jest tak jak członek rodziny, nie mamy dla niego tajemnic...

Herman spojrział na matkę, ruszył ramionami i nic nie odpowiedział...

— Niechciałbym zawadzać — odezwał się Lubicz wstając i trzymając kapelusz.

— A jabym pragnęła, żeby Hermanek powziął

do pana zaufanie i żebyście się z sobą zbliżyli... więc raczej ja sobie pójdę a was samych zostawię ..

— To, niechże się mama nie fatyguje — odparł syn, a gdy o to idzie by pan Lubicz bliżej poznał się ze mną proszę go do siebie.

Wstał, Lubicz się nieco zawahał — na ostatek nie chcąc okazać obawy ani wstrętn... ruszył się z siedzenia, za Hermanem wskazującym mu drogę podążył... Hrabina spoglądając na nich z rozczuleniem została w swoim fotelu... Milcząc weszli do pokoju Hermana... który podał cygaro przybyłemu i począł się przechadzać po pokoju... Lubicz na zapaleniu strawił chwilę, przed rozpoczęciem rozmowy miał czas do namysłu.

— Bardzo się cieszę — rzekł Herman. że się tu na osobności rozmówić możemy. *Il n'était que temps...* Wchodzisz pan do rodziny, wartoby się porozumić...

— Jestem do tego przygotowany — odezwał się Lubicz, znajdując to bardzo słuszném.

— Ale mówmy z sobą otwarcie — dodał Herman... i stanął przed znieszanym nieco, paląc swe cygaro... Przed innemi musisz pan mówić banialuki o swój wielkiej miłości dla pani hrabinéj, o rozkochaniu i t. d. Ja nie jestem ani tak głupi. abym temu uwierzył, ani tak bojaźliwy, bym dla ceremonii udawał, iż wierzę... Dla mnie to bardzo jawne, że się pan żenisz dla pieniędzy... będąc gołym; mógłbyś zapewne inaczej na nie zapracować — ale kiedy się gratka trafia!... rzeczy te chodzą po świecie...

— Proszę pana, przerwał oburzony Lubicz.

— Nie gniewaj się pan i nie przerywaj mi, dorzucił Herman... Mama jest tak śmieszna, iż w pańską miłość wierzy... będzie żyć złudzeniem *c'est son affaire*. Co do mnie uprzedzić muszę zawczasu, iż żadnej prepotencji ojczymowskiej nie ścierpię, że będę waćpana pilnował, abyś nas postępowaniem nie kompromitował... i że mojej swobody ograniczyć nie dopuszczę... A potem możemy być wcale dobrimi przyjaciółmi.

Lubicz przykre to wystąpienie starał się obrócić w żart, niewiedząc co z niem począć — rozśmiał się.

— Dobrze, rzekł, mówmy tym tonem, ja to lubię... niechcesz pan przypuścić przywiązania mego... protestuję przeciwko temu... Są w naturze fenomena.

Herman z kolei rozśmiał się.

— Gdyby matka moja nie była hrabiną i nie miała tych kilkukroć stutysięcy guldenów, a znalazła się kucharką, fenomen ten nie miałby miejsca — *mais, passons*, co dalej?

— Wchodząc do rodziny tak dostojnej, zdaje mi się, że pojmuję obowiązki mego położenia... nie myślę wcale mieszać się do pana, ani czyham ua wolność jego... Dozwolisz mi téż dodać, że gdy staraniem przyjaciół moich pozyskasz pan rękę panny Hanny, uszczerbek nawet w fortunie sownie wynagrodzony będzie.

— A to ja pannę Hannę winien mam być panom?

— Bez wątpienia — odezwał się Lubicz — chodziliśmy około tego.

Śmiechem powitał ten argument pan Herman. *Curieux!* zawołał... Cóż dalej? co dalej?

— Niemasz pan dobrodziej więc czego się obawiać z méj strony...

— Ja właśnie chciałem o tém zapewnić pana, rzekł syn, bo zdaje mi się, że więcéj skutkiem położenia rzeczy, ja mogę być groźnym jemu, niż wy mnie.

— Wzajemnie możemy sobie czynić nieprzyjemności — odparł Lubicz, ale na co się to zdało, jeśli w zgodzie żyć dogodniej stronom obu, a zgoda możliwa?

Herman się popatrzał na niego i pokiwał głową.

— Mów pan, proszę — rzekł chłodno.

— Pewne więc *pacta conventa* zawrzeć byśmy mogli — odezwał się Lubicz, niespuszczając z oczów Hermana i badając wrażenie jakie jego mowa czyniła...

— Słucham. — *Pacta conventa!*

— Naprzód panie Hermanie — na swobodę jakiej używasz... nikt się targnąć nie myśli — powtóre w jego zamiarach matrymonialnych moi przyjaciele i ja jesteśmy na usługi — potrzebie *soyons bons amis*, idźmy zgodnie, a będziesz pan miał we mnie i w mojem kółku silne zawsze poparcie.

— I cóż za te wszystkie piękne rzeczy? spytał Herman — ile gotówką a ile papierami.

— Wierz mi pan, że nie jestem tak interesowany jak się zdaje — dodał Lubicz... mam moje zadanie społeczne, prace... chcę spokoju, domu, zapewnionego bytu, aby na pożytek ogólny pracować... Nie kryję się z tém, iż byt zapewniony mi się uśmiecha, w towarzystwie osoby tak dystygowanej jak hrabina... lecz to wszystko... ja nad to więcej nie pragnę...

— Skromne żądania — rzekł Herman; moje zaś ograniczają się w kilku a raczój jedném słowie: swoboda. Swoboda w postępowaniu i swoboda przekonań...

— Co do tych przekonań — przepraszam że przerywam, odezwał się Lubicz. Mnie się zdaje, że należąc do jednego świata, koła, do jednych tradycji — powinniśmy mieć przekonania jednakie... Nie może hrabia Ramułt należeć do radykałów, demokratów, nowatorów wszelkiego kalibru, proletaryatu inteligencji szukającego dróg nowych, chcącego burzyć stary porządek pod pozorem jakiegoś tam postępu... dopominającego się oświaty dla tych, co jój strawić i spożytkować nie są w stanie — *enfin*...

— Rozumiem — przerwał z kolei Herman, i powiem panu, że do tych nie należę, ale też nie należę do tych, co nic zapomnieć i niczego się nauczyć nie umieją... że śmieszném mi się wydaje zawracać społeczność do tego co przeżyła... że nie jestem ani

konserwatystą *quand même*, ani radykalistą z zasady...

— To znaczy, że pan jesteś i chcesz zostać umiarkowanym, *ce qui est le metier le plus difficile*. W czasach walki, gdy dwa wojska się ścierają, neutralnym widzom oba przechodzą po grzbiecie; trzeba koniecznie obrać sobie obóz i chorągiew, a pańska nie może być inna, tylko taka, jaką jego stan wyznacza. *Vous êtes né — conservateur*, nie możesz być demokratą, ani radykałem, byłoby to śmiesznością... a wierz mi, panie *hrabio*. że ludzkość nie tylko wraca do tego co przeżyła. ale historia jej jest powtarzaniem jednego tematu, prawie w jednaki zawsze sposób... do nieskończoności śpiewaną piosenką. której strofy chór powtarza. Pan jeśli dziś nie jesteś jeszcze, to będziesz konserwatystą... być nim musisz... liczymy na niego ..

— Boję się, abyście państwo się nie przeliczyli — rozśmiał się Herman; za nic wszakże ręczyć nie mogę oprócz tego jednego, że w obu obozach widzę kapitalnych... głupców, z których mi się niezmiernie śmiać chce... Przypomina to nasze studenckie wojny w śnieżki, któreśmy brali bardzo na seryo, które niejednen chorobą i życiem przypłacił, a mimo nich nazajutrz przyjaciół i wrogów na jedne ławy dzwonek do szkoły popędził. Ten dzwonek to nieznanne nam prawo, wedle którego świat idzie, mimo studenckich szarmycłów.

Lubicz ruszył ramionami.

— *Vous le prenez de bien haut* — rzekł... Bądź co bądź, my co idziemy z tradycjami, mamy coś więcej nad tych, którzy idą z marzeniami ledwie ze snu przebudzeni. Jeszcze raz powtarzam: czy pan chcesz, czy nie chcesz — *vous êtes des nôtres*. Jesteśmy tak pobłażający, że byle karności obozowej stało się zadość, wewnętrznym przekonaniom dajemy wielką swobodę... Nie lękaj się pan, byśmy zbyt ścisłego logicznego związku wymagali między zasadami a życiem... Nie tolerujemy herezyi przeciwko dogmatowi jawnie wyznawanemu, lecz na obyczaje patrzymy przez palce.

— To znaczy, przerwał Herman, że wolno żyć jak się podoba, byle się za panią matką krzyczało hasło, które ona głosi.

— I szło gdzie ono prowadzi — dodał Lubicz. Wyrzucają nam nietolerancję, tak jest, a jeśli idzie o dogmata, nie cierpimy kacerstwa, nie dopuszczamy reform... nie znamy prawdy, tylko tę, którą za absolutną wyznajemy, a której nie jesteśmy wynalazcami ale piastunami... W rzeczach obyczaju, życia, grzechów powszednich... machnął ręką — każdy idzie jak sumienie dyktuje. Znajdziesz pan pomiędzy nami szulerów, pijaków, szalbierzy, łotrów... są to ciury obozowe... Płacą oni gorącą propagandą naszych idei za grzechy, które ich tylko samych brudzą. Niemasz się co więc pan obawiać zbytniej surowości...

Herman, który chodził w czasie tego kazania odwrócił się nagle i począł śmiać.

— Doskonale! zawołał — uspokoiłeś mnie pan zupełnie! Są to prawdy, które w praktyce życia już widziałem... ale nigdy ich tak pięknie sformułowanych nie słyszałem... Niestety! nie wiele mnie to nęci do obozu...

Lubicz, który może umyślnie z osobistości wprowadził rozmowę na szersze pole, na którym się czuł swobodniejszym zamilkł widząc, że w ton, któryby do przekonania Ramulta mógł przemówić — nie trafił. Patrzył na tego sceptyka i czekał by on się sam odezwał — ale Herman chodził zamyślony, jakby przyszłego ojczyzna nie było w pokoju... jakby o jego przytomności zupełnie zapomniał — znać było, że go myśl jakaś inna opanowała wśród wiedzionej od niechcenia rozmowy... Po długim milczeniu — Lubicz zakaszał i wstał — Ramult jakby przebudzony odwrócił się. Widząc go biorącego za kapelusz, zbliżył się.

— Panie Lubicz, rzekł tonem pańskim — przypomnijmy sobie *pacta conventa*: będziesz pan miał wygodny dach, stałe utrzymanie i zaspokojenie swych potrzeb... pozycję niezbyt może... zabawną, ale znośną... nie staraj się wszakże, będąc z zasady konserwatorem, wprowadzać żadnych reform do domu, ani matki waśnić z synem, ani syna na swą ortodoksyę nawracać. Siedź spokojnie za piecem używając darów fortuny; pod tym warunkiem — zape-

wniam z méj strony tolerancję. Gdybyśmy jednak mieli do wojny przyjść z sobą, muszę pana przestrzedz, że jestem niewygodnym nieprzyjacielem... i człowiekiem gwałtownym... Znamy się dosyć dobrze — *agissez en consequence...*

— Spodziewam się, że bliżej mnie poznawszy, odparł Lubicz — lepsze o mnie możesz powziąć wyobrażenie. — Jeszcze słowo — szczerze kochasz się pan w pannie Hannie ?

— Czybyś pan chciał mi za faktora służyć na początek ? rzekł ironicznie Herman... ale ja nie potrzebuję pośredników.

Lubicz zjadł tę niegrzeczność i odparł bez gniewu.

— Mnie się zdaje, że oni jednak już panu nieco pomogli tam, a jeszczeby się na coś przydali. Słowem, mów, kochasz się w pannie Hannie ? chcesz się z nią żenić ?

— A gdyby ? spytał Herman.

— Gdyby tak było, staralibyśmy się przez starośćinę przyspieszyć rozwiązanie, a jeśli panu przyrodni brat zawadza...

Herman zbladł, lecz udał, że go to ostatnie zapytanie mocno zajęło i podstąpił bliżej. Lubicz który był prawie pewien, iżby się Herman rad pozbył rywala, szepnął prawie niedosłyszany głośm :

— Nie chcielibyśmy skandalu — widzi pan — wolelibyśmy krzyku radykałów uniknąć, bo oni wszystko na nas walą — lecz w ostateczności, gdyby dla pańskiej spokojności oddalenie Sylwana było

konieczne — *je vous donne ma parole — vous n'avez qu'à dire...*

Herman tak był tém wyznaniem osłupiony, iż się na odpowiedź nie zebrał... stał... Lubicz po tém *coup de théâtre* z tryumfującym uśmiechem, pewny siebie skłonił się i wyszedł...

— Infamisy! szepnął Herman...

Nadzwyczaj trudno byłoby wytłómaczyć co się działo w sercu tego chłopca, który jednego dnia miewał najzłośliwsze fantazye i najcnotliwsze poruszenia, który był uczuciowy, namiętny, szyderski, zimny, mistyk i sceptyk... na którego nigdy rachować nie było podobna w złém ani w dobrém... bo w téj burzającj się mieszaninie wszelkich żywiołów nic jeszcze nie wzięło góry i nie można było powiedzieć czy się z tego wyrobi cukier czy ocet... W stosunku do Hanny... Herman powodowany był ciekawością poznania jęj i życzliwością szczerą dla brata... Więcej nęciła go Viola — Hannę badał z zajęciem, miał dla nięj szacunek, nie go ku nięj nie pociągalo zresztą. Wydawała mu się często bardzo powabną, zawsze dosyć straszną.

Najczęściej rozmawiali z nią o Sylwanię, a Herman nie tał się z gorącą sympatyą i uszanowaniem dla człowieka, któremu, jak mówił, nie godzien był trzewika rozwiązać... Teraz leżało mu na sercu, aby ich zbliżyć, przeszkody obalić — i któż wie? czy nie odsunąć go od Violi a samemu zająć przy nięj to

upragnione miejsce przyjaciela, nimby się dorobił innego.

Viola była dlań marzeniem, pojętą, pokusą — jednym z tych ideałów młodości, do których stworzenia myśl i temperament zarówno się przykładają, ku którym ciągnie serce i tajemnicze siły sympatii.

Wiedział już teraz przez Lubicza to, czego się wczoraj domyślał z teatru, iż w stosunkach Sylwana z panną Hanną zaszła jakaś zmiana... nieporozumienie... coś co groziło zerwaniem... Chciał się więc co najrychlej dowiedzieć szczegółów i stać użytecznym.

W salonie starościny nie znalazł nikogo, oprócz niej i panny Hanny. Zwykły gość — Lelia nie ukazała się wcale... Starościna się o nią nie upominała, bo ją do niej zmiechęcono. Hanna nie wspominała o dawniej przyjaciółce. Na twarzy pięknej dziewczicy znać było wszakże przewalczone chwile, ślady wzruszenia, bólu i zadanego sobie gwałtu. Starościna bardzo macierzyńsko i czule powitała Ramułta.

— Siadajże tu na chwilkę przy mnie, mój kawalerze, odezwała się naiwnie — a powiedz mi, bo pewna jestem, że wiesz wszystko... zwłaszcza co się pięknych osób tycze... Cóż tam z tą otrutą aktorką się dzieje?

— Słyszałem dziś w mieście, że życiu jej nie grozi niebezpieczeństwo... Ratunek był śpieszny...

— A cóż to za powód miał być tak tragicznego

postanowienia? zapytała staruszka... wszak nie nędza?

— Mówią różnie, rzekł Ramułt: jedni, że nieszczęśliwa miłość, drudzy, że znużenie życiem...

— A takie to słyszę młode... i — powiadają — uczciwe...

Ramułt zamilkł — pilno mu było odejść od staruszki do chodzącej po pokoju Hanny, która snuła się jak cień milczący... Nadchodząca prezesowa z torebką plotek dozwoliła mu wstać i usunąć się.

— Babcia pytała pana, słyszę, o tę Violę — odezwiała się Hanna; nie wieleś jój chciał hrabia powiedzieć, a ja? nie dowiem się więcej?

— Na nieszczęście wiem bardzo mało — szepnął Herman. Mój brat Sylwan daleko lepiejby mógł rozpowiedzieć przygody jój i dzieje... bo jest pewnie lepiej świadomy, on jeden ma tam przystęp tylko, strażę nikogo nie przepuszczają oprócz niego. Trzeba jednak wyznać, że Sylwan tak tam sobie postępuje, iż cienia nawet innego stosunku nad opiekuńczy... nie było i niema — reszta są potwarze.

Hanna cała zarumieniona, twarz groźną zwróciła ku niemu.

— Hrabia jesteś tego pewien?

— Znam Sylwana — rzekł Herman — i o ile go znam, wiem, że żaduńby się płochości nie dopuścił.

— A jednak twierdzą tak powszechnie...

— Pozory mogą być wielkie... w mieście wszyscy

są przekonani, że ona w nim i on w niej zakochały, a ja pewien, że nie.

— Pan bronisz go jak dobry brat...

— Nie, pani, byłem dla niego i jestem złym bratem, bo... najdroższego mn skarbu pozazdrościłem nieraz...

Hanna zarumieniła się jeszcze mocniej...

— Ani pojmuję, by człowiek co raz patrzył na gwiazdę, mógł potem...

Nie dokończył, bo Hanna znalazła pretekst jakiś do przerwania mn tego frazesu...

Po chwili Herman zaczął znowu:

— Sylwanowi tyle winien jestem, iż go do upadłego zawsze bronić i wdzięczen mn będę wiecznie.

— Za co? spytała Hanna...

— Choćby, że mi tu ułatwił wnijscie i wyjednał przyjęcie...

Jnnoszanka odwróciła głowę, dawała mn do zrozumienia, aby mówili o czém inném... smutna była bardzo... Co się działo w jój duszy, onaby tylko sama wytłómaczyć mogła. Gniewała się na Sylwana i żałowała go, oburzona nań była i na siebie razem za nierozważny pośpiech — wątpiła chwilami i odzyskiwała wiarę. W duszy czuła brzemień łez wezbranych i znnżenie życiem i niechęć do niego.

Herman więc był dla niej pożądanym gościem. bo przynosił błysk jakiegś nadziei, był węzłem co ją z przeszłością drogą łączył... z nim mogła mówić o bracie i znaleźć przeciwko sobie obrońcę obwinio-

nego. Wdzięczna mu była za tę rolę podjętą szlachetnie. Przyjmowała go téż mile i usiłowała przyciągnąć, ażeby nie zerwał ostatniej nici, co ją z rodziną tą wiązała jeszcze. Wczorajszy wieczór stał się przedmiotem rozmowy, rozpraw i sporów... a w końcu Hanna unilkła i podając rękę Hermanowi odezwała się doń cicho :

— Mam wielki szacunek dla pana... mam dla niego wdzięczność — stanąłeś pan w obronie człowieka, którego pragnę widzieć tak czystym jak był całe życie. Byłeś mu pan bratem. -

— Niechże mi pani uwierzy, iż w téj strasznój tragedyi rzeczywiście smutném jest tylko to, że ta dziewczyna o mało się nie otruła... a Sylwan z ręki pani nie zginął za to, że miał trochę litości — o inne uczucie, ja co go znam z blizka... ani posądzićbym nie mógł.

XVII.

Nawykły do znoszenia ciężkich losu niespodzianek, Sylwan przetrwał ostatnią burzę z pozornym spokojem i rezygnacją; daleko beleśniejsza była ona dla Lelii, która jako kobieta żywić ją uczuła. Naza-jutrz po zerwaniu Hanny z jej bratem, po zwróceniu pierścionków Olesia, chociaż starała się udawać swobodną i obojętną, pod wieczór upadła chora na łóżko, płacząc - potem wszystkiem co straciła. Na szerokim świecie nie miała już nikogo prócz brata, którego przyszłość tak jasna i piękna, dziwném losu zrządzeniem w proch się rozsypała... Stosunki z jedyną rodziną przyjazną im od dzieciństwa pękły na zawsze... Ofiara jaką Lelia chciała dla ich utrzymania uczynić... stała się nieużyteczną, może nawet, rozgłoszona teraz, cień jakiś na nią rzucić mogła... Ona i Sylwan znajdowali się przez tę niezrozumiałą zdradę Hanny (tak ją Lelia nazywała) odepchnięci... skazani... potępieni. Nieprzyjaciołom Sylwana przybywał oręż naprzeciwko niemu, bo nie ma w świecie zaciętszych wrogów nad tych, którzy potrzebują

uniewinnić się ze zmiany uczuć dla dawnych przyjaciół.

Herman jeden pozostawał jeszcze z nimi — chociaż rola jego, Lelii wydawała się więcej niż podejrzana, ona upatrywała w nim nawet niesłusznie sprawcę wszystkich nieszczęść.

Hanny swój poznać nie mogła i zrozumieć... Głęboki smutek opanował zwykle wesołą, gadatliwą i trzpiotową kobietę, która łatwo i zbyt nim dawała się unosić nadziejom lub w rozpacz ostateczną wpadała... Sylwan przychodzący zastał ją z gorączką, dreszczem, spłakaną, zmienioną nagle... zbolełą. Szedł do niej po radę, a musiał zamilczeć, widząc, że do tego znękania kroplę nawet żółci dodawać było niebezpiecznie... Tę kroplę zachował on w duszy. Właśnie w tym dniu jeden z tych cichych przyjaciół i współwyznawców, których Sylwan miał między ludźmi na pozór małego znaczenia — doniósł mu pod sekretem, że musiało coś spowodować zwrot szczególnej uwagi na niego.

Sylwan wyrobił był tu sobie już pewne koło, stosunki, środki pracy — nawykł do kąta, w którym słyszał mowę rodzinną; groźba była dlań ciosem... Cios taki, jest zwykle gdy go dłoń miłościwej braci zgotuje, nieuniknionym; żadne wpływy i prośby usunąć go niepotrafią. Przestroga wczesna dawała mu czas do namysłu — i to jeszcze było dobrodziejstwem... Chciał się z razu zwierzyć siostrze, aby

z nią obmyślić środki jakieś na przyszłość. Zobaczywszy ją chorą, zamknął ból w sobie.

— Ja cię nie pojmuję, Sylwanie, płacząc mówiła Lelia — tyś jęj chyba nie kochał? tyś spokojny...

Sylwan się gorzko uśmiechnął tylko.

— Kochałem ją, alem kochał tę inną Hannę, która tu ze wsi przybyła, tę jeszcze dawną moją idealną — a która słabiuchna w przeciągu krótkiego czasu uległa wpływowi powietrza, co ją otoczyło nie czując nawet, że je w piersi wciąga. Mamże ją obwiniać? mojego bólu wysłować nie potrafię. Ta metamorfoza najpiękniejszej istoty w pospolitą — biedną, słabą i ułomną — to może więcej niż utrata serca, bo strata wiary w miłość samą. Wieczną żałobę nosić po niej będę — lecz Lelio moja, jeśli się Hanna zmienić raz miała, wolę ją zmienioną dzisiaj, niż — później.

Myślę — dodał Sylwan — że mnie i tobie tutejsze powietrze służyć nie będzie. Jesteśmy o tyle od drugich szczęśliwsi, że o chleb powszedni zbyt się troszczyć nie potrzebujemy — mniej jednym ciężarem... zwiniemy podróżne tłomoki i powędrujemy gdzie dalej...

— Aby na takich samych trafić ludzi... dodała Lelia.

Tego wieczoru Sylwan nie powiedział nic więcej, uspokoił o ile mógł siostrę i powlókł się późno do domu...

Noc była księżycowa, jasna, spokojna... godzina w której się kończą przedstawienia w teatrze, droga

wiodła po pod bramy jego... a z bocznój turtki wychodziła właśnie zmęczona Viola z Pawłową i Szerzeń szedł za nimi z papierami pod pachą... Przeczula go raczėj niż poznała biedna dziewczyna, która tego dnia po raz pierwszy wstawszy musiała odegrać jakąś rolę komiczną, i powitana została bukietami i oklaskami przez entuzyazmu pełną publiczność. Wracała mimo to znużona a smutna jak w przeddzień zgonu. Teatr miał wywędrować wkrótce na prowincyę... Zobaczywszy Sylwana, dziewczę nie zastanawiając się nad tém, że w ulicy pełno jeszcze było osób wracających z przedstawienia, pochwyciło go za rękę...

— A! to pan! to pan! nie widziałam was w krzesłach... co się z panem stało?

— Miałem do czynienia wiele — rzekł Sylwan.

Cicho szepnęła mu w ucho.

— Chodź pan do mnie... proszę pana na minutkę... chodź pan do mnie...

W téj samėj chwili z drugiej strony zjawił się Herman... Viola spojrzała nań, puściła rękę Sylwana i zamilkła... Słyszał przecię zaproszenie hrabia i witając razem brata i Violę — odezwał się:

— Niech nas pani zaprosi obu...

— Nie mam przyjemności znać pana bliżej...

— Niech mi pani wierzy, że jam temu niewinien, rzekł Herman; dopraszałem się tego szczęścia nadać remnie... Mam widać czy tak nieobiecującą fizyonomię, czy tak złą reputacyę, że drzwi pani stały

dla mnie nielitościwie zamknięte... Bratby powinien zaświadczyć, że zemnie — mimo wszystkie plotki — nie tak bardzo zły człowiek...

— Ja nowych znajomości nie — lubię, odpowiedziała Viola.

— Ja bo jestem z widzenia stara znajomość: nigdy, oprócz dzisiaj, nie opuściłem żadnego pani występu... a adiuiruję ją zawsze.

— Nie wartam — odezwała się Viola.

— Tak panią szacuję, że jój nie powiem komplementu — odezwał się Herman — ale zaprosz nas pani wyjątkowo obu na... kwadrans — będę się znajdował tak grzecznie... że się pani zdumieje.

Viola milczała...

— Jeśli mnie pani nie zaprosi, to i Sylwana mieć nie będzie...

— Więc proszę panów obu! rozśmiała się Viola...

Sylwan słuchał z dziwném uczuciem jakiémś... jakby ta rozmowa przegrywką być miała do nowój jakiej niespodzianki. Za nimi idący Szerszeń inruchał, Pawłowa milczała gniewna. Zbliżyli się do domu... Herman kilka kroków cofnął się ku Szerszenowi.

— Artysto! łaskawco! ty co grałeś monarchów na warszawskiej scenie — szepnął mu — uczyn mi łaskę — a klękę przed tobą. Widzisz, że Viola nas obu prosiła... oto masz pieniądze... Za wszystkie kup owoców, cukrów... co chcesz i przynieś je *od siebie*... Zaklinam cię.

— Ale panie!

— Nie ma ale! odskakując zawołał Herman, i pośpieszając na wschody za Violą... Sylwan szedł ironicznie się uśmiechając.

— Czy i tu ja ciebie mam wprowadzić, abyś ty mnie potem wypędził? zapytał na ucho.

Herman zapłonął, spojrzał mu w oczy...

— Ty sam się zewsząd czynisz wygnańcem, rzekł... jesteś z tego rodzaju ludzi, po których plecach wszyscy się wspinają i którzy stworzeni są — na drabiny...

W téj chwili wchodzili na trzecie piętro, a Pawłowa ciemne pokoiki usiłowała co rychlój oświecić... Tymczasem księżyc wpadający przez okna... słabo, fantastycznie rozjaśnił salonik ubogi... Viola milcząca, pomieszana stała wśród pokoju czekając na świecę... rozmowa była przerywana... słysząc tylko było ciężki jój oddech... i prawie serca bicia...

Szerszeniowa pozbawiona pomocy męża, który dawszy się skompromitować poleciał po ów podwieczorek, mruzczała biegając po świece i lichtarze... i nierychło oświecić potrafiła poddasze.

— Siadajcie panowie proszę, odezwiała się artystka — lecz darujcie mi, że gości nie mam czém przyjmować...

— Wejrzeniem i uśmiechem niech nas pani nakarmi, a nie będziemy głodni!

Viola popatrzała na młodego chłopaka poważnie.

— Wyglądasz pan zupełnie podobnie do tego drugiego listu, który panu dziś oddać muszę, rzekła...

— Oba nas pani znajdujesz nedorzecznymi? nie prawdaż?

— O! nie — ale jakżeście młodzi i jak bogaci, by się tak śmiać nawet z tego co drugim boli!

— Mnie się zdaje, wtrącił Sylwan, że Herman inaczejby płakać nie potrafił niż ze śmiechem.

— I śmiać się inaczej niż ze łzami, dokończył hrabia...

Viola siadła... Herman stał przed nią i patrzył... Szerszeń wszedł niosąc z pomocą chłopaka z cukierni zakupione słodycze. Aktorka porwała się cała zarumieniona.

— Co to jest? zapytała.

— To Sylwan tak się rozporządził — rzekł Herman, i bardzo dobrze zrobił...

Aktorka spojrzała na obwinionego, który nie mówił nic... ale też pocziwy Szerszeń niecierpliwymi migami Hermana wywoływać począł na stronę...

— Panie grafie, mości dobrodzieju, rzekł niby cicho — już i tak tego śmiecia dosyć się naniosło... a pół pieniędzy zostało...

— Ja o niczem wiedzieć nie chcę! odparł Herman... nie znam cię! I odszedł.

Stół okryty owocami, ciastkami i kilka butelek wina, które Szerszeń przyniósł może raczej dla siebie i dla żony niż dla gości — wabił.. głodnych... ale Viola tknąć nie chciała. Przykrém jéj było to przy-

jęcie cudze w ubogim domu, ten popis z niedostatkiem wśród jój biedy...

Nie wiedziała komu to przypisać... ale była smutna...

— Zrobiłeś mi pan przykrość, panie Sylwanie, odezwala się — ja zwykłe wieczoram kawałkiem chleba i séra... to nie dla mnie... jedzcie panowie, mnie zawstyżła ten zbytek...

— Przykrość pani robi. spytał Herman... seryo?

— Bardzo wielką — odezwala się Viola.

— Sylwan więc zgrzeszył, ale trzeba złe naprawić...

To mówiąc zgarnął ze stołu wszystko razem w serwetę, otworzył okno, wyrzucił precz, zamknął znowu i usiadł spokojny na krzeselku...

— Pani w domu jesteś jeszcze bardziej uroczą, zachwycającą niż na scenie. począł żywo... aby go kto ze słowem nie uprzedził... Bałem się, by w pani nie znaleźć tu nawet artystki...

— Tu jest sierota uboga... która od szóstego roku życia występuje na scenie... odpowiedziała Viola — a ma już życia i sceny za wiele!

— To coś tragedją czuć — rozśmiał się Herman... ja komedję wolę... bardziej ludzką jest rzeczą.

— A komu los tragedję narzuci? wtrącił Sylwan.

— Los daje materyal — mówił Herman — nam go zawsze wolno sobie nawet na farsę przerobić.

Viola rozśmiała się — Herman był uszczęśliwiony tym tryumfem i puścił się w paplaninę swą zwykłą,

w której odbrzmiewał ulubiony mu Heine i dzwoniły po trosze błazeńskie młodości dzwonki jak u czapki trefnisia... Sylwau obok tego fajerwerku słów, ledwie mogący wtrącić wyraz, jaki wydawał się dziwnie zimnym... Herman chciał go do siebie nastroić — próżno...

Scena ta improwizowana, która nie bardzo zabawiła Sylwana, ale dosyć potrafiła rozerwać Violę... trwałaby była może za długo, gdyby troskliwy Szerszeń nie przyszedł do ucha Sylwanowi powiedzieć tak, że na cały pokój słychać było :

— Szlibyście, moi dobrrodzieju, grafy i nie grafy, spać — toć to noc, panienka zmęczona, a co o nas ludzie w domu pomyślą, słysząc do późna śmiechy... nie licząc tego co przez okno poleciało... Idźcie bo spać!

Sylwan wziął za rękę brata: — Chodźmy! — ale Herman podstał ku weselszej nieco gospodyni.

— Nie mogę ztąd odejść, nie wynurzywszy paui mojej wdzięczności naprzód—a potem... nie zaniósłszy prośby do niej, abyś mi dozwoliła czasem złożyć jej tu...

— O! nigdy! nigdy! przepraszam, ja nikogo nie przyjmuję, żywo oparła się Viola.

— Panienka nigdy nie przyjmuje... potwierdził Szerszeń...

— A mego brata? proszę więc tylko o to, bym z bratem mógł czasem służyć pani, i trochę ją po-

śmieszyć. Grając ciągle tragedye, nie zawadzi takiego jak ja komika mieć pod ręką dla wypoczynku.

Viola skłoniła się nic nie mówiąc...

Wychodzili — Szerszeń zgarbiony idąc za nimi zupełnie przypominał podwórzowego stróża, który szczekaniem odprowadza za dziedziniec obcych ludzi.

Gdy się znaleźli w ulicy, Herman począł ścisnąć Sylwana.

— Czego ty jesteś tak piekielnie, nienleczenie, zabijająco smutny? zawołał.

— Gdybyś ty mi powiedział, dlaczegoś tak wesół?...

— Zagadnąłeś mnie fatalnie — rzekł Herman; zdaje się, że twój smutek a moja wesołość z jednego pochodzą źródła... ja żartuję ze świata, a ty nad nim płaczesz... *cela revient au même*, świat głupi...

— Gdyby nie był złym! dodał Sylwan...

— To na jedno wychodzi? rzekł Herman. Zdaje mi się wszakże, iż ja lżej niosę „brzemie“ życia niż ty...

— Boś zaprzężony w złotym chomencie — dodał brat...

— Zdaje mi się jednak, poważniejąc rzekł Herman, iż ja od ciebie bliższy jestem prawdy. Świata zbyt tragicznie brać nie można... Farsą jest! Gdybyś posłuchał był rozmowy mojej z Lubiczem, który mi czyni ten zaszczyt, że ma zostać moim ojczymem! Gdybyś codziennie posłuchał poważnych bardzo roz-

praw o moralności ludzi, których ja znam życie pokątne... gdybyś — gdybyś... tobyś się za boki musiał brać z téj farsy.. Ja tego na seryo wziąć nie umiem... Słabości serca, słabości głowy... słabości ducha... słabości charakteru... słabości bez końca... a siły? nigdzie. Przepraszam cię Sylwanie, dodał — nie ma jój nawet w tobie co masz olbrzyma postawę i fizys, a od ukłócia szpilką cierpisz jak mucha na wskrós przebita.

— Ja? przerwał Sylwan...

— A ty—mówił Herman—ty! ja wiem wszysciuténko co w tobie siedzi...

— Nie wszystko!

— Przepraszam cię, nawet to. co w tobie siedzieć może... lada dzień. .

— Jakto? podchwycił zdziwiony Sylwan... to co mi grozi? ty o tém wiesz? — jest to więc tak powszechnie już znane?

— A ty! wiesz także co ci grozi? równie zdziwiony zawołał Herman — jakże to może być? zrozumiejmy się. Szedłem do ciebie, aby przestrzedz właśnie o smutnym planie przez pewną kongregacyę, aby cię ztąd jako bezbożnika niebezpiecznego usunięto... O tém niewiesz?

— Owszem, wiem o planie, a nawet — dorzucił Sylwan, zdaje się, że musiał on już dojrzeć do wykonania, bo... pewne wstępne kroki są poczynione.

— Cóż ty myślisz? spytał Herman...

— Nie wiem nic jeszcze — ściskając brata, rzekł

Sylwan; to wiem, że w tój chwili ciebie kocham, nie jako brata ze krwi ale jako brata z ducha... bo się oburzasz na złe, boś szlachetny... Hermanie mój... żartuj, szydź... ale nie daj się popsuć...

— Wiesz... trudno mi zaręczyć za siebie—począł Herman smutnie — są chwile we mnie szatańskie, są porywy bohaterskie... Koniec końców, albo ja wiem czém jestem? Upaja mnie wino, wzrok kobiety, zbyt, silna fantazya... rzadkom trzeźwy! a po trzeźwemu nudny jestem taki, że sam sobą się brzydę...

— Dziecko! rozśmiał się Sylwan.

— Mówmy o tobie — kończył hrabia — co ty myślisz?

— Mnie tu już nie, niestety! nie trzyma — odezwał się brat — jeśli wiadomości o wygnaniu się potwierdzą, a spodziewam się mieć je zawczasu, czekać nie będę przymusu, wyjadę sam... gdziekolwiek bądź... wszystko mi jedno...

— Więc twoje nadzieje?...

— Niewielem ich miał, a te jakie miałem... stracone...

Mówiąc tak, doszli do furtki mieszkania i bracia pożegnali się z sobą. Herman ręce włożywszy w kieszenie powlókł się ziewając do domu. Po drodze... rozmyślającemu o marnościach świata tego, nastreczyły się okna restauracyi, w której tak wspaniałą wydał był ucztę przyjaciółom znanym i nieznanym. Świeciło się w nich rześisto. Herman wspiał się, wlażł na okno, tak aby nisko rozpiętą firankę wy-

minąć, stanął na niém i począł się wewnątrz przypatrywać...

Był to bankiet ortodoksów... a u stołu tyle znajomych twarzy rozpromienionych winem i jadłem... Właśnie Dołęga podnosił kielich w górę.

— Panowie, mówił — jeszcze jedno zdrowie: Kochajmy się...

Okrzyk powitał toast... wzniesiony właśnie przez tego, który niedawno jak Judasz sprzedał brata za trzydzieści uśmiechów i trzydzieści obietnic łaski...

Hermanowi gorzko się zrobiło i ironiczny uśmiech przebiegł mu po ustach... Założywszy ręce, stał na oknie i patrzył...

Ktoś z biesiadników podniosłszy oczy przez szyby zobaczył tego upiora, i krzyknął... Dołęga rzucił się do okna szybko... Herman nie ustąpił kroku... czekał...

Gdy impetycznie otwarto je — zdjął kapelusz i z najzimniejszą krwią odezwał się:

— Przepraszam — chciałem życzyć dobrej nocy!

Niezmiernie się to podochoconym podobało... bo Hermana posyłano prosić na ten *szmaus*, ale zaproszenie się z nim rozminęło, był więc pożądanym wielce... Lubicz go szczególnieś ciągnął... Herman nigdy w takich wypadkach nie odmawiał... wskoczył do sali i zajął miejsce przy stole obok Olesia, którego twarz świeciła transpiracją i szczęściem... kroplisty pot okrywał mile jego oblicze... Począł ścisnąć ręce

hrabiego z uczuciem, w którego gorącości poznał Herman starego burgunda...

— Zkądżeś ty się tu wziął? zapytał śmiejący się Dołęga... jak?

— Szedłem ulicą! prawdziwy instynkt serca mnie tu przyprowadził...

— O polska pocziwa naturo! zawołał Dołęga... gdzie brzęczą kielichy... bo w nich wesele, miłość i wszystkie szlachetne popędy...

— Masz pan zupełną słuszność, panie Maryanie, rzekł Herman: nadewszystko w kielichu jest Leta zapomnienia... wszystkich policzków, które nam dają codziennie, wszystkich głupstw, które popełniamy sami, wszystkich podłości, któremi się posługujemy dla wzniosłych celów...

Ale hałas okrutny przerwał panu Hermanowi... który już dokończyć nie mógł.

— Co mu się to stało! zawołał Paprzyca zgorszony... toast jego pachnie rewolucją... to chłopiec ..

— Fantastyk nic więcej, szepnął Lubicz... lubi paradoksa... ale wszystka u niego siła w języku... nie ma niebezpieczeństwa!

XVIII.

Herman zdawał się wskrzeszony do nowego życia... nudy, na które cierpiał znikły bez śladu, humor powrócił... lenistwo go opuściło. Jedna jakaś iskra, która padła na ten palny materyał roznieciła w nim płomień. Co było tą iskrawą — trudno było odgadnąć! Sylwana słowo? litość nad nim? ciekawość bliższego poznania Hanny? ukąszenie przez Lubieza? fantazya dla Violi? może wszystko to razem — dosyć, że Herman od kilkunastu dni był zupełnie zmieniony. Sarkastyczna tylko werwa pozostała w nim dawna, jeśli się jeszcze w nim nie powiększyła.

Gdy Sylwan się coraz bardziej w sobie zamykał i mimo energii charakteru odsuwał od ludzi, myślał odosobnić i wyrzec stosunków, — Herman rzucił się w walkę i płomień z młodzieńczą chciwością wrażeń...

Nikt przecię z najbliższych wytłómaczyć go sobie nie umiał: czego on właściwie pragnął, do czego on dążył? Sam on obecnej chwili był panem, a pierw-

szemu wrażeń iu posłuszny nigdy się z jutrem nie rachował...

Przy wieczery, na którą się dostał przez okno, siedziano dosyć długo, dosiedział i on usiłując poić drugich, sam trzeźwy — i podobywać z nich co myśleli. Tak jak czasem pijanym filuci plondrują kieszonki, on mózgi plondrował. Dowiedział się też dosyć ciekawych rzeczy i odszedł z tego pobojuwiska z głową swobodną, śmiejąc się sam do siebie.

Jedną ze zdobyczy tego wieczoru najcenniejszych dla Hermana, był mocno na piły w końcu Dołęga.. Rzadko się trafiało, żeby pan Maryan miarę przebrał, lecz raz obalamucony — szalał. Tak się i teraz stało... Szampan mu wlał w piersi niesłychaną wesołość i niezmierną miłość ludzi... Pokochał Hermana i rozlubował się w jego sarkazmie. Zaczął go ścisnąć, całować, unosić się nad nim... wodzić się z nim po kątach, opowiadając różne osobliwsze tajemnice, których był posiadaczem.

— Kochany hr... hrabio! wołał — ty nie masz pojęcia jak ja cię kocham! E! dodał, niech tego Lubicza dyabli wezmą! To furfant jest... ja powinienem być ożenić się z twoją matką, a dopiero byś zobaczył jakby u nas było wesoło... To jezuita... to faryzeusz! Wy nie wiecie, szeptał coraz zapalczywiej Dołęga, przyciskając do kąta Hermana: wy nic nie wiecie. On ma tu stosunek w mieście z córką jednego Niemca... której przyrzekł się żenić... bo podobno jest konsolacya... dwuletnia... Jeszcze przy

ślubie może być skandal gdy się Niemka dowie... a notabene codzień do niej chodzi.

— Wielkabyś mi łaskę zrobił — odezwał się Herman, gdybyś mi dał jój adres.

— Nie łatwiejszego... Gretchen Frisch, córka urzędnika pocztowego, ulica Mostowa Nr 15... Ale mnie nie zdradź na Boga, mnie nie zdradź!

— Nikogo nigdy nie zdradziłem — odezwał się Herman dolewając mu szampana z blisko stojącej butelki.

Pocałowali się serdecznie... Dołęga trzy razy pił jego zdrowie... w końcu w fotelu usnął...

Zdobywszy ciekawą i ważną wiadomość o pannie Gretchen, Herman miał w ręku narzędzie do pozbycia się Lubicza; szło tylko o użycie go takie, aby hrabina przekonać się dała, że była oszukana

Nazajutrz po długich namysłach nie mówiąc nikomu, Herman pieszo udał się pod wskazany adres, na ulicę Mostową Nr 15. Dom był mały i niepozorny, stary, a pierwsze pięterko po nad szynkiem, które państwo Frisch zajmowali, miało tylko trzy okna od ulicy. Na dole dowiedział się, że Gotlieb Frisch, stary człek, mieszkał sam z córką... że był wdowcem, i że panna Gretchen właśnie sama była w domu. Poszedł więc na górę... Otworzyła mu drzwi służka, a na zapytanie o pannę pobiegła się dowiedzieć czy przyjmie gościa... W chwilę potem proszono go przejść do saloniku niemiecką urządnego modą, z mnóstwem nie-

smacznych cacek tandetnych po komodach, etażerkach i stolikach. Cały ten przybór zdradzał ubóstwo, które się chciało pozorami elegancyi zamaskować... Po chwili wyszła uśmiechając się, bardzo ładna, pulchna, dosyć pretensjonalnie ubrana blondynka, słusznego wzrostu, załotnego wejrzenia... która znalazłszy się w obec zupełnie nieznanego mężczyzny, nagle nasrożyła się niezmiernie. Spodziewała się suadź wcale kogoś innego.

Herman przeprosił ją za to, że choć nieznamy zmuszony jest w bardzo pilnym i ważnym interesie prosić o chwilę rozmowy.

Panna przyzwalając na to, okazywała jednak wciąż humor jak najgorszy.... a mimo fochów, pięknego chłopca mierzyła oczami ognisto zaostrozonymi. Całe znalezienie się okazywało osobkę mało wykształconą a rozmarzoną... Po krótkim wstępie górnolotnym i uczuciowym, Herman wyraził jęj, że się przypadkiem pewnej historyi smutnej dowiedział, że jako człowiek sentymentów delikatnych, uczuł się w obowiązku, choć obcy, przyjść do nięj z radą i przestrogą. Opowiedział jęj historię Lubicza, który mając względem osoby tak milęj jak panna Gretchen obowiązki święte — żenił się z inną kobietą. Panna z razu dzika i gniewna, poczęła się rozczulać, płakać, przyznawać, narzekać i prosić o radę. Nagle ożywiwszy się nawet powiedziała o dziecku, pobiegła je przynieść, a było bardzo ładne, i całą

we łzach, dla wspaniałomyślnego obrońcy swój czci, przyrzekła mu dozogonną wdzięczność.

Herman wchodząc w jej położenie, grzecznie, zręcznie, nauczył ją, o której godzinie i jak ma z dziecięciem na ręku przybyć do hrabiny przyrzekając (nie mówił kto był), że pewnemi wpływy wyrobi jej posłuchanie. Zalecił przytém, ażeby w żadne nie wchodziła układy i domagała się ślubu, przyrzekając, iż w razie gdyby doń zmusiła uwodziciela, on ze swój strony dopomoże do — wesela... Pauna Frisch nie mogła temu zbawcy niespodzianemu znaleźć dość wdzięcznych wyrazów na podziękowanie... darzyła go najskodszeimi wejrzeniami i najpiękniejszymi uśmiechami, a wychodzącemu ścisnęła dłoń z takim uczuciem, że Herman o mało z progu nazad nie wrócił.

— Niech pani tylko postąpi z rozważą i energią, a rękę za skutek... i jak najwięcej rozgłosu! to pomoże!

Zatarłszy ręce wrócił z téj wycieczki Herman dosyć rad z siebie. Człł się już w usposobieniu do czynu, i paląc cygaro a podśpiewując knował dalsze plany. Miał jeszcze przed sobą Sylwana, Lelię, pana Aleksandra, którego myślał żenić, bo mu się to wydawało zabawném, na ostatek Hannę — która mu równie się wydawała ponętą i straszną i — Violę, w której się znowu kochał zapamiętale...

Pomimo zakazu jej bywania bez Sylwana, raz tam już przypuszczony postanowił korzystać z drzwi

otwartych... i próbować szczęścia... bez towarzysza ..
Poszedł więc wprost do mieszkania Violi.

Niespodziewano się go tam wcale. Cerber siedział przy drzwiach, Herman zobaczywszy go, mⁱę ułożył niewinną, spokojną, obojętną.

— Dzień dobry panu Pawłowi.

— Do nóg upadam pana grafa.

— Jest mój brat Sylwan?

— A — nie ma... o téj porze?...

— Jakto? miał być niezawodnie. — Herman spojrział na zegarek.

— Miał być? powtórzył Szerszeń głową trzęsąc. Miał być? mości dobrodzieju.

— Miał być, panie artysto — dodał Herman, jestem pewien, że nadejdzie... Gdybym tu mógł na niego poczekać...

— Tu? spytał Szerszeń.

— Spytajcie się panienki, ręczę, że pozwoli... będzie grzeczniejsza od was, rzekł hrabia.

Viola słuchała podedrzwiami, zdawało się j^{éj} śmieszném, tak się obawiać młodego i przyzwoitego człowieka. Uchyliła nieco drzwi i odezwała się:

— Chce pan się tu doczekać pana Sylwana? bardzo proszę... ale czyż być obiecał?

— Niezawodnie! skłamał wchodząc Herman i oczyma pożerając Violę, której smutny wdzięk zdawała się słabość i wymizerowanie powiększać. Była to chorobliwa piękność, w której się czasem zdrowie kocha — dla praw kontrastu. Czarne j^{éj}

oczy w ciemnych obwódkach wychodziły z dziwnym blaskiem jakby dogorywających świeatek... cerę miała bladą i jednostajną, prawie przejrzystą — usta tylko różowością malinową odbijały się na niej ostrym obrysem. Ale na wargach tych, w uśmiechu tyle było wyrazu zagadkowego, tyle wdzięku! Ciemnych włosów warkocze w nieładzie oplątujące głowę téj maseczce marmurowej barwy, nadawały uroczy koloryt bistru i złota...

Viola weszła, Herman za nią wśliznął się na palcach, a Cerber mruczając i ruszając zgarbionemi ramionami, stanął pod drzwiami na straży. Pawłowa w takich wypadkach zwykła się była natrętnie kręcić po pokoju.

— Dalem tu Sylwanowi *rendez-vous*, odezwał się Herman, aby się o zdrowie pani dowiedzieć, i prawdziwie pani wdzięczna, że mi nie każesz stać na wschodach. Bardzo pragnąłem się tu dostać...

— Aby mnie skompromitować? zapytała Viola — aby powiedzieć przed przyjaciółmi, że bywasz u aktorki?... i aby ci przyjaciele pomyśleć mogli, żeśmy w najczulszych stosunkach? Nieprawdaż panie? spytała Viola chłodno.

— Widać z tych posądzeń, że pani mnie wcale nie znasz. odezwał się Herman; bo ja nigdy w życiu nie dla ludzi nie robię, niczém się nie chwale, a żyję dla siebie.

— I chwalisz się pan tém tylko?

— Nie — ale się tego nie zapieram... Od pierw-

szego wystąpienia pani gdym ją w teatrze zobaczył, wzruszyłaś mnie, podbiłaś i — na cóż się będę taił — zakochałem się szalenie.

Viola ramionami ruszyła.

— Pan! pan? hrabiątko takie w Cygance jak ja? cha! cha! Fantazya...

Po chwili dodała Viola, białemi palcami mnąc chusteczkę, której końce trzymała:

— Prawda, że my artystki uchodzimy za płoche... żeśmy ubogie i spragnione życia, że wiele z nas się sprzedaje za godzinę rozrywki — lecz pannie hrabio, ja jestem wyjątkowo dzika i tak naiwna, że wolę nędzę moją niż upodlenie... Pocóż pan będziesz czas tracił?... Wychowana w nędzy — otrząskana ze słowy ostremi, nie waham się mówić co myślę... nie jest to wdzięczne, ale pocóż pana będę zwodziła?

Prostota dziecięca, z jaką to sobie wszystko mówiła powoli, zimno... nie rumieniąc się — nadzwyczaj zajęła i wzruszyła Hermana.

— Owszem... zachwycasz mnie pani... tą szczerością — zawołał — ale wywołujesz ją nawzajem ode mnie. Nie będę się jój chwalił, że jestem istotą wyjątkową — powiem tylko, że nigdy nie kłamię, chyba z tymi, co mnie chcą okłamać. Mówię pani żem się w nią zakochał — to nie jest próżne słowo... Należę do tych ludzi, co gdy się kochają... to na zabój...

— A ja do tych, co gdy słyszą o kochaniu śmieją się, i mam ochotę tego spróbować.

— Stara i zła metoda. droga pani — przerwał Herman: dowiodę tego. Są miłości, co próbę ognia i wody wytrzymają, a prysną potém od prószynki... W próbach gra rolę miłość własna .. Na co się zdało próbować? serce powinno czuć...

— Nic nie czuje! rozśmiała się Viola.

— A ja nie rozpaczam, że się to może zmienić.

— Wątpię... hrabiowie jak pan, kochają się w Cygankach jak ja, dwa tygodnie... dopóki nowe nie przyjadą.

— Nie licze się pani do tych Cyganek.

— Niestety! gdybym ja nie chciała się liczyć, to drudzy mnie do nich zapiszą.

Herman siadł na kanapie.

— Teraz, rzekł zmieniając rozmowę, rad jestem Sylwanowi, że nie przychodzi... A bardzo ja panią nudzę?

— Mogę wytrzymać!

— Długo?...

Viola nie odpowiedziała... Herman westchnął.

— Ja się pani muszę okrutnym szalawiłą wydawać — ale przysięgam, mam serce, na które rachować można.

Viola uśmiechając się patrzyła na niego ironicznie.

— A! miły Boże — poczęła smutnym głosem — jakież to upokarzające dla mnie, co mi pan mówisz!

jak mi się chce zapłakać bezbronną słysząc te słowa... Powiedz pan? miałabyś odwagę w salonie pierwszej lepszej paniency je powtórzyć?

— Gdybym czuł — niechybnie — rzekł Herman.

— A powiedziawszy je, byłabyś związana.

— Ja się równie czuję niemi związaną względem pani...

Ruszyła ramionami Viola i odwróciła głowę. Szerszeń wszedł coś mruczając, popatrzał na hrabiego, na aktorkę... ruszył ramionami i wysunął się...

Herman wziął kapelusz.

— Widzę, rzekł, że się Sylwana nie doczekam. Mówmy seryo... Pozwól mi czasem przyjść, przynieść sobie słowo pociechy... Do serca, zajętego może, nie roszczę praw, szannę nieczucie — lecz czemużbym nie mógł być jej dobrym bratem i przyjacielem?

— Dla tego, że w tę przyjaźń, niestety! nikt nie uwierzy... Wam się nie stanie... na mnie powiedzą że wietrznicą... Chcesz że pan, żebym okupowała te miłe chwile wstydem i — obmową ludzką?..

— To prawda! ale gdybyś miała serce litościwe, dobre... a zrozumiała mnie i wierzyła... możebym to pozwolenie uzyskała...

Była chwila milczenia, biednemu dziewczęciu czegoś łza zakręciła się w oku, spojrzała się na Hermana milcząco...

— Tylko mi pan już o żadnej nie mów miłości! szepnęła cicho — to boli!

— Zgoda — ale mam pozwolenie.

— Czasami... bardzo rzadko... z panem Sylwanem, tak lepij... choć — ja się pana nie boję, ja się boję ludzi.

Hrabia poskoczył do jéj ręki, pochwycił ją namiętnie, przycisnął do ust gwałtem i uciekł...

Szerszeń, który całej téj sceny był świadkiem przez szparę odedrzwi, zamknąwszy drzwi wszedł poważnie do pokoju.

— Jak Boga kocham, mości dobrodzieju — panienko — odezwał się surowo — to już źle. No, jeden ten pocziwy pan Sylwan, człek wytrawny, jak sobie chce... ale już i brat. a potem swat, a potem się ich tu zejdzie cała kopa... To dalipan źle... Już niech panienka mi daruje — że ja to mówię...

Viola zaczęła płakać, Szerszeniowa przystąpiła do męża, aby go pohamować.

— Upośledzona istoto, mości dobrodzieju — idź sobie odemnie — zawołał Paweł — ja mam poczucie świętych obowiązków... Ja tego hrabiątka nie lubię... i jak powiada nieśmiertelny nasz mistrz...

Wyjście Violi, która się schroniła do drugiego pokoju — przerwało potok przygotowanych słów Szerszenia. — Poczęło się małżeństwo klócić z sobą.

Herman, któremu się udało nareszcie zbliżyć do Violi — wyszedł bardzo szczęśliwy... Wszystko mu się udawało... wesół był i nie mógł nsiedzieć na miejscu... popędził do Sylwana...

Tu zastał nad spodziewanie jakby przygotowanie

do drogi... Lelia smutna i blada siedziała na kanapie. Zbierano papiery, wiązano książki... chłopiec zwijał się po pokojach.

— Co to jest? zawołał wchodząc Herman.

— Jeszcze nic—ale chcę być gotowym do drogi—rzekł Sylwan, i móżdż wyjechać gdy mu znak będzie dany, że mają wypędzić.

— Niech-no pani Sylwanowi doda otuchy—rzekł Herman witając się z Lelią. Nadto widzi czarno świat cały.

— Czarny on jest, wyszepnęła Lelia.

— Nie... Dla kliki czarnej a brudnej, która nam go chwilowo zaskania? o! nie! Sylwan... od czasu jak panna Hanna się rozkaprysiła...

Lelia spojrzała na niego złośliwie.

— A pan nie przyczyniłeś się do tego jój rozkapryśnienia? spytała cicho.

— Ja? — bardzo wątpię — odparł Herman; ale za to pani ręczyć mogę, że ja się panny Hanny boję...

— I nie więcój? spytała Lelia.

— Myślisz pani żem się zajął! rozśmiał się Herman... A zaciekawilem się... ale—zakochać? Ja-bym się z nią na śmierć zanudził... Idealna jest, ale postawiwszy ją na postumencie, okadziwszy go i pokłoniwszy się, trzeba gdzieindziej szukać życia i sereca.

— Chociaż Hanna zadała mi cios bardzo bolesny, odparła wdowa wstając, ale powiem żeś pan

niesprawiedliwy dla niej... Hanna ma wiele dumy, Hanna jest poważna—lecz w piersiach jęj bije serce, a w głowie żyje myśl... Bojaźliwość dziewczęca osłania oboje przed oczyma ludzi.

— Może to być — kłaniając się rzekł Herman; ale ja... ja się jęj boję...

Lelię to wyznanie rozweseliło: wielki ciężar spadł jęj z serca...

— Przyznam się panu, że tam na pana już rachują. Nie Hanna, ale rodzina i łaskawi opiekunowie dobrowolni... Gdy zobaczą, że hrabia o niej nie myślisz, rozpoczną się dopiero wyscigi...

Herman ruszył ramionami.

— Ja pani powiem jedno: nigdy się nie ożenię dla pieniędzy, stosunków i imienia — za to ręczę. Z miłości choćby niedorzeczność popełnić — ha! no! przynajmniej wiem, że brylant choć raz miał w ręku... którego drudzy szukają nadaremnie.

Co się tycze Sylwana — począł po chwili — ponieważ pani abdykujesz, on rozpacza... pozwólcie mi pochozić w tym interesie, mam wiele śmiałości, a czasem dużo szczęścia...

Sylwan się odwrócił, bo stał pakując książki, i począł się śmiać ujawszy w boki, śmiechem suchym i niewesołym.

— Herman moim plenipotentem!

— Wiesz, że szalonym się powodzi! — Kto wie, jaby m jeszcze mógł wszystko połatać.

— Ja rzeczy połatanych nie lubię — zamknął Sylwan.

— A ja tylko o jedną rzecz proszę: — nie śpieszcie się.

To mówiąc odprowadził Lelię na bok, coś z nią poszeptał i wyniósł się bardzo prędko.

XIX.

Nazajutrz rano, gdy hrabina miała rozpoczynać toaletę, która zwykle trwała bardzo długo, a teraz się przeciągała do nieskończoności, bo chciała się przypodobać Lubiczowi... panna Złocińska, którą snadź Herman sklonił do tego... oznajmiła jój, że jakaś młoda przyzwoita osoba z małym dziecięciem, prosi koniecznie, aby na osobności z hrabiną widzieć się i pomówić mogła.

— To pewnie jakaś żebraczka... stęknęła matrona — zlituj się, uwolnij ty mnie od niej... daj jój co tam uważasz...

— Ale to wcale nie wygląda na żebraczkę.

— No, już ja ci powiadam... choćby w atłasach była... pewnie po pieniądze... Tym natrętom opędzić się nie można.

— Wyraźnie mówi, że ma interes osobisty, ważny... tyżący się... podobno, jeśli dobrze zrozumiałam, pana Lubicza...

Hrabina przestraszyła się.

— Cóż to? ktoś już z jego ubogiej rodziny, czy co?

— Nie, zdaje się być Niemka...

— A no... to trzeba ją poprosić — ale cóż to może być? proszę ciebie, co to może być?

— Nie wiem, szepnęła Złocińska...

Hrabina przejrzaawszy się w lustrze i mączką ryżową przypudrowawszy twarz... wsunęła się do salonu...

Tu stała już z maluchném śliczném dziecięciem, wystrojona po parafiańsku. *in flocch'*, panna Gretchen Frisch, cała różowa ze wzruszenia i wstydu... Mówiła szczęściem po francuzku i po polsku, że się z hrabiną roznówić mogła, a użyła francuzczyzny, aby dowieść, że przecie należała do *gebildowanych*.

— Pani hrabina Ramułt?

— Tak jest... pani...

Gretchen zaczęła płakać i z za łez mówić — pokazując jój dziecię.

— Widzisz pani przed sobą nieszczęśliwą ofiarę... niewiary i nieczciwości mężczyzn... Zostałam przyrzeczeniami małżeństwa... które złożyć mogę w listach... uwiedziona przez hrabiego (dodała mu ten tytuł) Lubicza.

Matrona z krzykiem padła na kanapę łamiąc ręce: sądziła z razu, że to sprawa syna, tycząca się tylko jój worka... cios uderzył ją w serce...

— Tak jest, mówiła zapominając już płakać Gretchen, a zapalając się coraz więcej; tak jest, ten niegodziwy człowiek... jest ojcem niewinnój istoty, którą pani widzisz na mych rękach... Wiem z ogłosu publicznego, iż hrabia Lubicz zamysła się

żenić... ja będę stawiała opozycję w imię praw dziecięcia mego i moich.

Pani Ramułtowa zakrywszy twarz rękami, już słuchać nie chciała nawet. Obawa skandalu przerażała ją — Lubicz zaręczał zawsze, że jego miłość była pierwocinami uczucia... W jednej chwili miłość jaką hrabina miała dla niego obróciła się w chęć zemsty i nienawiść.

Wstała trzęsąc się z kanapy.

— Mogę pani zaręczyć, zawołała, że noga tego człowieka nie przestąpi mojego progu... nie myślę rywalizować z waćpanną... Proszę mnie zostawić w pokoju...

Ale panna Frisch nie była tak łatwa do pozbycia...

— To bardzo pięknie, rzekła — jednakże gdybym miała być zwiedziona przez panią, jak byłam przez tego niewiernego... przysięgam, że gdziekolwiekbyście skryć się chcieli...

— Ale ja się krokiem nie ruszam! nie znam tego pana! daj mi waćpanna pokój! krzyknęła hrabina i głośniej jeszcze zaczęła wołać: — Złocińska wody! wody!...

Na głos dzwonka służba się zbiegła cała, kamerdyner w białym krawacie i rękawiczkach... lokajów dwóch, kredencierz, garderobiana, Złocińska...

Hrabina miała mdleć...

Domyślając się, że stojąca przed panią kobieta była całego tego nieszczęścia przyczyną, kamerdyner nie czekając rozkazów, począł ją grzecznie wy-

praszać... Panna Frisch oburzona nie następowała. Hrabinę porwał płacz ze śmiechem serdecznym...

Wysłano po doktora, ktoś ze służących dał znać Hermanowi... Syn nadbiegł, ale nie dał poznać po sobie, że zna i widział pannę... Przez Złocińską wszakże kazał jęj powiedzieć, żeby jechała do domu spokojna...

Z wyjściem panny Frisch, pokój został przywrócony... hrabina pila wodę z cukrem i kroplami laurowymi — i płakała... Herman sam przy niej pozostał. Wzięła go za rękę bojaźliwie niemal zawstydzona...

— Hermanie, rzekła — trzeba zapobiedz skandalowi — na miłość Boga! Oszukano mnie... Lubicz jest człowiek niktzemny... Idź powiedz mu.

— Mamo kochana, ja — nie mogę, odparł Herman... Trzeba, żeby mama napisała list, posłemy mu odpawę... a ręczę, że jeśli się ośmieli próg tego domu przestąpić... nie wróci z niego cało...

Długimi łzy, a nawet kilkodniową chorobą, skończył się tak nieszczęśliwie jesienny romans hr. Ramułtowój, która, pobożną będąc zawsze, stała się po téj próbie tak bolesnej, stokroć jeszcze gorliwszą w modlitwach i praktykach religijnych...

Herman już tego dnia, przewidując, że może być w domu potrzebny na krok się nie ruszył.

Straszliwa burza, natychmiast zażegnana, zagroziła Lubiczowi... Odebrał list hrabiny i osłupiał. Z razu sądził, że mu się uda wytłómaczyć; lecz ojciec

Frisch nadszedł i oznajmił, że córka podaje skargę, a on gotów jechać do króla i paść mu do nóg dla ocalenia jej honoru. Widząc się w tak krytycznym położeniu, Lubicz zwrócił się do swoich, wołając: „Ratujcie!”

Nie można go było opuścić, gdyż skandal tak znakomitego obrońcy społeczeństwa dotykający, cały obóz w złém świetle wystawiał. Trzeba było sprawę przydusić. Radzono różnie, nawet się żenić i rozwieść... Lubicz za nie zawiązywać sobie świata nie chciał, przewidując, że dojrzałą osobę, jeśli nie tę to inną, wyszuka dla zabezpieczenia przyszłości. Posłano uproszonego bardzo poważnego urzędnika, aby *interes* ten starał się załatwić z pomocą indemnizacyi. Z razu o żadnej *Entschödigung* słuchać nie chciano. Ojciec panny był kawalerem dwóch wysokich i dwóch niskich orderów, radcą pocztowym i czemś jeszcze... panna wołała o ołtarz i benedykcyę...

Dwa dni trwały umowy, których na ostatek dokonał mąż poważny wypłatą parę tysięcy talarów, na które obóz się złożył — choć wiedział dobrze, że ich nigdy nie odbierze... Lubicz otrzymawszy formalne pokwitowanie z matrymonjalnych pretensyj, chciał z niem wrócić *à ses premières amours*, do hrabiny — lecz tu drzwi zastał hermetycznie zamknięte. Na straży stał syn.

Mściwy choć nader słodki Lubicz, domyślając się w swém nieszczęściu ręki „zawistnych wrogów” po-

święcił się odkryciu sprawców katastrofy — lecz nie było sposobu się dowiedzieć, a panna przez wdzięczność dla ładnego chłopaka, który jój myśl tę poddał. wydać go nie chciała.

Herman dopiero w parę dni na świat się ukazał, a lżej mu było na sercu, bo matkę od wstydu i niedoli ocalił... Tak mu się już wiodło teraz, że jak kapitalista, któremu się jedna spekulacya poszczęściła — pragnął nowój.

Pokrewieństwo z Lelią i Sylwanem, z którym Junosza nigdy zupełnie stosunków nie zerwał, nieświadomego niby tego co zaszło Hermana upoważniało zaprosić ich na obiad nie w domu u mamy, która była chora, ale w restauracyi. Lelię i Sylwana zaklął naprzód, żeby mu nie odmawiali. Poszedł potem zapraszać p. Aleksandra Junoszę.

— Niechże mi pan uczyni tę łaskę — rzekł, a nie odmówi zjeść z parą dobrych znajomych skromny obiadek: Mam parę czeskich bażantów, które K... umie przyrządzić z trufkami i prawdziwemi perygordzkimi... doskonale.

Smutny Oleś ożywił się zaraz, słysząc o pieczy-stém...

— Ale czy z różną? z różną? zawołał...

— A! jakżeby inaczej znośne być mogło pieczy-ste! krzyknął Herman...

— Serdeczuiem ci wdzięczem, że z góry wiem co mnie czeka, bobym się dał skusić sztucemięsa — z wyrazem wdzięczności szepnął Oleś.

Ścisnęli się serdecznie, umówiono się o godzinę. Herman zaprosił Dołęgę, który teraz był mu (pożyczwszy od niego paręset talarów) jak najlepszym przyjacielem. Lelia i Sylwan... niewiedzieli może o Junoszy, bądź co bądź obiecywali przyjść i na godzinę się stawili. Towarzystwo tak dobrane... zmieszało się nieco z razu... ale gospodarz był pewien, że chmury do pieczystego i szampa na się rozejdą. Lelia zajmowała miejsce gospodyni, pan Aleksander zajął obok niej krzesło. Naprzeciw niego siedział Sylwan, przy Olesin Dołęga, gospodarz przy bracie.

Obiad rozpoczął się zimno.

Dopiero po Sherry żywsza rozmowa słyszeć się dała—podano Chambertin niewidzianej doskonałości i do wyboru Château Lafitte i d'Yquem wonny... tak, że cały pokój aromatem swym napełnił... pan Aleksander przy rybie począł mówić z Lelią i wzdychać... około pieczystego śniano się głośno... Sylwan był wprawdzie ponury, ale tego Herman wzięwszy na siebie, tak od reszty gości odciągnął, iż nikomu nie przeszkadzali... Dołęga zaś z niezrównaną zręcznością wiązał na nowo rozerwaną sieć, w którą był wpadł Oleś czuły...

Przy szampańskiem pochylił się on uśmiechnięty ku Lelii i zaklinał ją, by ofiary serca nie odpychała.

Jak tam dalsza poszła rozmowa, nikt nie słyszał, dosyć, że wstając do czarnej kawy i likworów, byli wszyscy w najmiłszém usposobieniu — a Oleś odosobniony siedział z Lelią i na wieczór do siebie gwał-

townie zapraszał, dowodząc, że starościna po niej tęskni, że Hanna płacze, że on usycha...

— Ale ja nie pójdę nigdzie bez brata — odparła Lelia.

— No — a dla czegożby pan Sylwan nie był łaskaw?

— Proś go pan...

Oleś posłuszny — gospodarza, Dołęgę i szanownego pułkownika (dawano czasem ten tytuł cudzoziemski Sylwanowi) poszedł gorąco prosić na herbatę.

Sylwan skłonił się tylko...

Dotrzymywał placu Oleś, dopóki Lelia siedziała... odprowadzili ją potem wszyscy do mieszkania, i dano sobie słowo zejść się o ósmą do starościny. Oleś wesół, różowy, nucąc poszedł ją uprzedzić.

Starościna w ciągu tych wszystkich przemian prawie całkiem nieświadomą ich była: nie o wszystkim jej powiadano, nie wszystkiego się domyślać mogła, wiele starano się ukryć, a nie koniecznie była ciekawa. Obchodził ją tylko los Hanny, a że Sylwan się usunął a Herman przybliżył, rada była i spokojna. Osoby co ją otaczały działały na pobożną niewiastę w ten sposób, by ją do Sylwana i Lelii zrazić, a ku sobie przyciągnąć. Udało im się to łatwo; — modliła się i była spokojna.

Co się tyczy Olesia, o którego też czasem się niepokoiła, bo go dosyć dobrze знаła... wołałaby była może Lelię dla niego, niż inną jaką nieznaną a nie-

bezpieczną niewiastę, a miała przekonanie to, że się nicocliybnie ożeni. Tém jedném gryzła się jeszcze czasami.

Gdy w poobiedniej godzinie odmawiała właśnie wieczorne nabożeństwo — wsunął się, nie o swojej porze... Oleś — pokornie, cicho a różowy i poobiedni (co starościna poznawała zawsze). Domyśliła się, iż z czémś niezwykłym przychodzi, najpewniej z intereselem... do woreczka...

Oleś ręce zacierał. był to znak dobrego humoru...

— No cóż tam u ciebie słychać? zapytała zakładając książkę...

— Tak, szczególniejszego nic... na herbatę musiałem prosić kilka osób — nie wiem czy mama im będzie rada, a mnie bury nie da.

— No! no! a kogóż?

— Lelię...

— Ech! znowu Lelię... jużem myślała, że sobie pojechała.

— Ale nie mamy powodu zrywać... i toć przecie dawne stosunki... a z Lelię musiałem i Sylwana prosić.

— Otóż masz! odezwiała się starościna — otóż masz! po co? Hanna już to sobie była wyperswadowała, sam go znowu do domu wprowadzasz!

— Cóż, że raz przyjdzie? po co sobie mam robić nieprzyjaciół!

Starościna westchnęła.

— Zdaje mi się, o ile mogłam uważać, że i Hanna mu nie będzie nawet rada. Kogóż więcéj?

— Dołęga. może jeszcze osób parę — a! Herman.

— No—to przynajmniéj dobrze — Hermana lubię i Hannie od niejakiego czasu jest dosyć miły.

Oleś ucałował rękę staruszki.

— Ale po cóż też Sylwan? dodała wzdychając... Wście co to o nim mówią... wszyscy ludzie poważni utrzymują, że to jest niebezpiecznych zasad człowiek.

Na to zamilkł pan Aleksander.

— Trudnoż go było pominąć zapraszając Lelię.

— Hm! Lelia dobra osoba, i ty masz do niéj słabość — już coś była z razu znikła, teraz znowuście się zbliżyli.

— Mama ją dawniéj dosyć lubiła...

— Ale ja ją i teraz lubię... tylko — tylko, ten brat... i... ale już dajmy temu pokój... jeśli proszeni.

Oleś spojrział na staruszkę... i nie przeciągał rozmowy... Hanna też nadeszła na ostatnie wyrazy... a że trzeba było herbatę i przyjęcie przygotować, staruszka oznajmiła jéj o gościach.

Obróciła się do ojca.

— Któż będzie? spytała.

— Lelia, Sylwan, Herman... Dołęga... rzekł prędko Oleś. Hanna się zarumieniła.

— Jakto? Sylwan i Herman...

— Tak! tak! arł ojciec.

Ruszyła ramionami... Babka popatrzyła na nią:

nie można było zrozumieć czy rada jest temu, czy niezadowolona... zakłopotana była widocznie...

O naznaczonej godzinie, Dołęga, który od sieni i spotkania ze służącym już śmiał się tak głośno, że go na cały dom słychać było — pierwszy się stawił i przyszedł do starościny. Lubila go dosyć i miała za przyjaciela domu. Począł i dopytywać o gospodarza który był znikł. Starościna szepnęła mu na ucho.

— Wystaw sobie, znowu Lelię i Sylwana zaprosił...

Dołęga usta skrzywił. — Widzi pani starościna trzeba było — musiano. Ja sam Sylwana nie bardzo lubię — pedant, purytanin, zapaleniec, ale znowu tak zły człowiek ani tak czerwony jak go okrzyczano nie jest. Mnie się zdaje, że jegoby nawrócić można.. że on się nawróci... a co się tycze pani Lelii, dodał ciszej, pan Aleksander zaszłapał się, formalnie zaszłapał... Pani dobrodziejko — daremna to rzecz, trudno go będzie utrzymać... Lepiej żeby to mniejsze głupstwo zrobił, niż inne, któreby niebezpieczniejsze być mogło.

— Ale najlepiej żeby żadnego nie zrobił, odparła żywo starościna biorąc za pończochę... Do czego mu to!...

Zamilkł Dołęga... Herman ofiarował się razem z Lelią i Sylwanem, i towarzyszył im też tutaj... Powitanie było nieco ceremonialne... Starościna zagadała do Lelii chłodno, prosiła siedzieć, zadzwoniła

zaraz, żeby Hannę proszono. Zjawila się i ona, także nieco inna niż dawniej była z przyjaciółką... Sylwanowi skłoniła się z daleka... do Lelii przemówiła.. w oczach widać było rozdrażnienie i niepokój.

Herman przyniósł z sobą cały swój dobry humor, aby towarzystwo nim jeśli można ożywić. Nie była to rzecz łatwa... lecz częstokroć ton dany przez jednego człowieka... energicznie, może zmienić usposobienia.

Szło mu głównie o zbliżenie Sylwana do Hanny. Zaczął od tego, że sam się do niej przysunął.

— Przyprowadziłem panimego brata, rzekł, i mam nadzieję, że zostanie dobrze przyjęty... Podobało się pani odebrać mu zbyt wielkie i śmiałe nadzieje jakie mógł powziąć... ale to przecię nie przeszkadza stosunkom dobrym i wzajemnemu szacunkowi...

Mocno zarumieniona Hanna spojrzała na Hermana i mileząc podała mu rękę.

— Wdzięczną panu jestem — rzekła cicho — życzyłam sobie zgody z przyjacielem lat dzieciennych... Chwilowemu nieporozumieniu był może on winien, a może trochę porywczosć moja...

— Gdybyś pani chciała wypędzać ze swego salonu wszystkich admiratorów pięknej Violi — rzekł Herman śmiało — to moja nogaby tu postać nie powinna... Sylwan miał dla niej litość patryarchalną, a ja — słowo pani daję — mam głowę zawróconą...

Odwróciła się Hanna i popatrzała nań.

— Pan? pan? spytała.

— Ja! tak! niestety! westchnął Herman: bijąc się w piersi, przyznając! Przy pani trudno o czarodziej-kach mówić, bo pani jedną z nich jesteś, ale Viola czarnie dziecinną śmiałością, talentem, a nawet wynędznieniem swoim i chorobą...

— Co za entuzjazm! rozśmiała się Hanna.

— Panibyś go podzielała, gdybyś ją widziała z blizka...

— Sądziś pan?

— Jestem tego pewien... a zatem przypuśćże pani do zgody i łaski swój biednego Sylwana, który niewinnie ncierpiał wiele...

Na to nie było odpowiedzi... Herman odszedł, Hanna postąpiła do stolika, ogólna rozmowa o wypadkach dnia toczyć się zaczęła — Sylwan się do niej przyłączył... Parę razy Hanna zwracała się wprost ku niemu odpowiadał jęj grzecznie, spokojnie, nie okazując wzruszenia ani najmniejszego gniewu.

Złożyło się tak, że Dołęga przysiadł do starościny, papa Oleś do Lelii, Herman zaś Sylwanem pokierował, aby go z Hanną odłączyć i dozwoić się im rozmówić z sobą. Miał wszelką nadzieję, iż przyjdzie do porozumienia.

Lecz Sylwan łatwy nie był do takiego pokierowania, ociągał się nieco i brat musiał bardzo czynnie chodzić około niego, nim go oddał nieznacznie pannie Hannie...

Wpółród rozmowy we troje poczętęj, wymknął się

zręcznie, Hanna zdawała się na to czekać tylko i natchmiast odezwała się do Sylwana:

— Czy mi pan moją porywczosć a może niesprawiedliwość przebaczyłeś?

— O! najzupełniej — kłaniając się odparł Sylwan...

— I uie gniewasz się pan na mnie?

— Mógłżebym...?

— Zatem... zapomnij proszę co zaszło...

— Nie mówmy o tém pauno Hanno, począł Sylwan, usiłując utrzymać ton chłodny. Ja powinienem wdzięcznym być pani i jestem wdzięcznym. Młody, mogłem śmieliej patrzeć w przyszłość, łudzić się — nie rachować odległości jakie dzielą ludzi... mogłem się uyllić, myliłem... paui mnie zwróciłaś na drogę rozważań... zastanowienia... i zawsze wdzięcznym ję za to będę.

Zarumieniała się Hanna, nie mogąc zrazu odpowiedzieć.

— Herman, który pana kocha i szanuje... przekonał mnie, że obwiniłam go niesłusznie... zazdrość moja była śmieszna...

Sylwan znowu zamilczał.

— Więc jesteśmy jak byliśmy znowu starymi, dawnymi przyjaciółmi?...

— Tak, pauno Hanno, rzekł Sylwan z westchnieniem: ja będę całe życie cichym ję wielbicielem... lecz dalekim i milczącym... Tuśmy się dopiero wszedłszy w świat żywy mogli przekonać jak nas

dziela losy nieodwołalnie... W tym koncercie jaki odgrywa otaczająca panią społeczność, byłem, jestem i będę wiecznie nutą dyszharmonijną... Spójrz pani jakie mnie tu nieufne wejrzenia ścigają... nie mogę wymagać, abyście państwo dla mnie poświęcili stosunki wasze... więc się usunę... a dziś, panno Hanno, z dawném uczuciem przyszedłem ją — pożegnać.

— Pożegnać? pan się mścisz na mnie? podchwyciła Hanna.

— A! pani! cóż za myśl! — spełniam com obowiązany, — co czuję, żem powinien... Przychodzi mi to z boleścią, — ale muszę... Gdybyś pani była sierotą, ubogą, bez rodziny... dobijałbym się szczęścia pozyskania opieki nad nią i towarzyszenia jęj do zgoun; — w tych stosunkach, w jakich jesteś, byłbym występny egoistą, gdybym ją narażał na... nieobrachowane skutki — mego przywiązania... Wierz mi pani, pozostanie ono nie zachwiane — lecz musi być... modlitwą gwebra do słońca...

Hanna popatrzała nań smutnie.

— Nie rozumiem, rzekła — nie jestem winna, żem się urodziła w tém kole do którego należę... Od dzieciństwa przywiązałam się do was panie Sylwanie... a teraz przez jakąś delikatność niezrozumiałą... chcesz zerwać...

— Ja nie zrywam nic... pani to dałaś mi uczuć żem był zuchwały... i że nie miałaś wiary we mnie... Co się stało wczoraj, może powtórzyć się jutro... Kocham panią, czczę, wielbię, ale zepchnęłaś mnie

tak nisko tą białą rączką swoją... że się już podźwignąć z upadku nie potrafię...

— Jeszcze raz panu powtarzam: nierozumiem was! Zawiniłam? daruj mi...

— Ale pani winna nie jesteś! przerwał Sylwan — jam winien, pozory były przeciwko mnie, gniew pani słuszny, oburzenie konieczne było... Pani nie jesteś winna, powtarzam — a mimo to jam się od téj chwili bólesci miał czas rozmyślić i poznać położenie moje... Pani nie możesz rozstać się z tém co ją otacza, a ja w tém kole przyjęty być nie mogę...

— Ale gdzie są te koła, podziały społeczne, światy o których pan marzysz! odparła Hanna. Należymy do jednego świata, do jednego koła.

— A do dwóch różnych obozów... rzekł Sylwan. Na mnie ciąży to, że demokratyczne zasady poślubił, na mnie ciąży, że w postęp i nowe doktryny nawierzył, gdy to co was otacza wierzy w powrót ku starym porządkom i błogosławieństwu patryarchalnego żywota...

— I dla tego, że ludzie biją się o teorye, my się pożegnać mamy na zawsze? spytała Hanna. Panie Sylwanie! to doprawdy śmiechu godne!

— Pozwólże mi się pani tłumaczyć — począł Sylwan spokojnie. Przypominasz sobie pani, że w dawnych wiekach religia stanowiła zaporę do małżeństwa... rzadko kiedy kojarzyły się związki między osobami wyznań różnych. Krzyczano na nietole-

rancę! Była w tém przyczyna rozumna i przewidywanie przyszłości. Różnica wiary stanowiła w małżeństwie ogromną przekonań, zasad... postępowania różnicę. Dziś społeczne doktryny roznamiętniają tak jak dawniej spory religijne — i tak samo dzielą ludzi... Jedno z dwojga: albowym ja musiał pójść za panią, lub pani za mną.

— Przypomnij sobie żeśmy zawsze szli razem — odezwała się Hanna — nie popełnię apostazy żadnej godząc się na wasze zasady... Były one niegdyś nam wszystkim wspólne... Najdemokratyczniejsza ze wszystkich europejskich szlacht była polska... to czém się ona stała winniśmy sprowadzonym z zagranicy ideom... Po francuzku i po niemiecku nawrócono nas na nową wiarę... która nigdy naszą nie była...

Sylwan stał niemy...

— Przyjacielu młodości mojej — odezwała się Hanna... długi rozdział nasz nie daje ci już czytać w méj myśli, zrozumieć mojego serca... Upominam się o to, byś chcąc mnie porzucić, przynajmniej w chwili rozstania... nie miał mnie za obłąkaną. Modliliśmy się w jednym kościele, panie Sylwanie — dwiema polskimi duszami, które Chrystusa i jego naukę kochały... mieliżbyśmy dziś mieć dwie różne wiary i dwa przekonania? Czyżbyś się pan zaparł Chrystusa dla świata, a ja Ewangelii dla jezuityzmu?

— Ja jestem czém byłem — rzekł wzruszony Sylwan — a panna Hanna, dzięki Bogu, jest moją dawną, odzyskaną polską dziewicą... nie zaś fanatyczną i namiętną sekciarką.

— Mogłeś mnie pan o to posądzić?

— Otoczona pani jesteś siecią téj propagandy, co restauruje katolicyzm słowem a rzeczą go obala... sądziłem, żeś się dała pięknym ich słowom uwieść.

— Nie — milczalam, bo walka słów jest mi wstrętna, ale w duszy zostałam z moją wiarą dzieciinną... nie należymy więc do dwóch obozów i razem przecię iść możemy.

— Ale — zawołała nagle stając — niech się to raz skończy! niech wszelkie niepewności ustaną... Proszę pana abyś się jutro starościnie i ojcu oświadczył.

Sylwan osłupiał...

— Pozwalasz pani?

— Każę!

— A jeśli... mnie odrzuca...

— Ja wam rękę moją daję, idziemy razem... odpowiedziała Hanna — nie mogą bez méj woli mną rozporządzać, a ja mam odwagę w obec całego świata powiedzieć: — jestem twoją.

Rozpromieniony Sylwan całował podaną mu rękę, a Herman poglądał na to z daleka, gdy starościna, która także z pod okularów w tę stronę zwrócone miała oczy, przywołała Hannę.

Staruszka była drżąca, smutna i widocznie przestraszona.

W drugim końcu salonu prawie współcześnie lysy Oleś naglił Lelię o przyjęcie pierścionka na powrót...

— Ostatecznie powiadam panu, jeśli się ślub nasz ma odbyć kiedy, odbędzie się razem ze ślubem Sylwana i Hanny... inaczej nigdy...

— Ale Hanna! jać przecię jój przymuszać nie mogę...

— Nie stawaj pan na przeszkodzie tylko...

Oleś się mocno zmieszał. W téj chwili Lelia mu wskazała stojących na uboczu Sylwana i Hannę... która mu rękę podawała. Nie słysząc nawet co mówili, można się było domyślać między nimi zgody i jakiejś zмовy... Pan Aleksander popatrzał na starościnę.

— A babunia? szepnął.

— Babunia jest słaba, ale dobra... na jój sercu polegać można... będzie się obawiała trochę i — zezwoli...

— Patrzaj - no pan, kochany hrabio — szepnął Dołęga Hermanowi: dzisiejszy wieczór zakrawa na walną bitwę... starościna ma przecucia i bardzo nie spokojnie spogląda.

— Cicho!... odparł Herman — my nie powinniśmy nic widzieć i niczemu przeszkadzać. Pan baw starościnę, ja będę czuwał nad ogólnym porząd-

kiem... Po tośmy przecię raz przyszli, abyśmy ich uszczęśliwili. Jak długo to szczęście trwać będzie, za to nie ręczę... ale czemuż go nie mają choć pokosztować?... Bawmy starośćinę i — nie przeszkadzajmy...

XX.

Dołęga wykalając sobie zęby wracał z obiadu z pewnym warszawskim finansistą, który potrzebując jego pomocy, najprzód go nakarmił i upoił, nim wysłał za interesami — był w humorze, syt, z kieszenią dobrze zaopatrzoną, w stanie błęgiego spokoju ducha... szedł powoli aby strawności nie przeszkodzić gdy go napadł Paprzyca, który biegł jak człowiek na obiad śpieszący... a wielce głodem podrażniony. Nie próżny go żołądek w ten stan wprowadził, ale fatalne wiadomości, które z hukiem grzmotów po bruku tego dnia się toczyły... Wpadł tak na Dołęgę, że ten obawiając się uderzenia... z wolna się cofnął.

— Wiesz! wiesz! co się stało? począł Paprzyca — ale prawda? miałeś tam być? prawda to? mów!

— Co? nie nie wiem...

— Ty, co powinienes wiedzieć wszystko?

— Ale cóż?

— Te intrygantki bezczelne! ta klika czerwona... te łajdaki, proszę ciebie! no? jakże niedomyślasz się? nie wiesz? Wszyscy przecię mówią o tém. Baba

obrzydła ta Lelia... Wszak potrafiła Hannę wyswatać temu spiskowcowi, radykałowi, rewolucyoniście... Sylwanowi, godnemu braciszкови swemu! A jak to cicho, ostrożnie, zręcznie poprowadzili! jak ojca uwiklali... jak starośćinę pocziwą, zasnę staruszkę annihilowali! jak oni to umieli cichaczem, ślicznie wykonać! A! prawdziwie żeśmy się do nich nie umywali... Cha! cha! cha! I Hermana jak sobie pozyskać umieli podstawivszy mu aktorkę... Co to za stek brudów! I tego pocziwego naszego Lubicza. już po zaręczynach. jak potrafili odsadzić...

Dolęga słucał ciągle, opatrując zęby i uwalniając je od resztek obiadu...

— Prawda, że wszystko to bardzo zręcznie się im udało—rzekł spluwając, ale—*à la guerre comme à la guerre*, cóż tu z tém począć!

— Taki majątek jak panuy Hanny! taki drugi po hrabinie — patrzajże, to wszystko oni obróca do swych celów... I ten pocziwy Lubicz! co on teraz wart... bez grosza przy duszy?... Rachowaliśmy, że gdyby był się z hrabiną ożenił... mógł nam być bardzo użytecznym.

— No, ale przyznacie — odezwał się Dolęga — że ten jego romans z tą Niemką...

— Proszę cię, z takiego głupstwa robić wielkie rzeczy! któż w życiu będąc młodym nie dopuścił się podobnego grzechu?

— Zapewne — rzekł Dolęga...

— A ten Herman! wiesz? — dodał Paprzyca pod-

nosząc pięść,—ja na niego jestem najbardziej zagniewany... Zdawał się iść z nami... położenie jego towarzyskie, stosunki, wychowanie... i — żeby tak czarną zdradą się wypłacić żeśmy go tak przyjęli. To jest zdrada!... to zdrada!...

Dołęga milczał obojętny...

— Albo ten głupi Oleś... wiesz? — wołał Paprzyca... żeby się tak dać złapać... staremu... nie pojmuje! Wszystko to sieć ich intryg... spiski... spiski... dalej trzeba się będzie z kraju wynosić.

— He! myślisz? spytał Dołęga...

— I myśmy winni — dodał cicho Paprzyca — te delikatności, te skrupuły sumienia! Co to z takimi ichmość skrupulizować... wprost wskazać ich: — bierzcie i transportujcie na granicę... Konspiratorów dosyć mamy naszych własnych...

Paprzyca był czerwony z gniewu, drżał cały, rzucał się... Dołęga zapalał cygaro...

— Wczoraj jeszcze nikt się nie domyślał... Wypadek z Lubiczem, sądziliśmy, *c'est un fait isolé* — ale gdzież tam!... knuto... spiskowano... myśmy byli ślepi... I ty, kochany panie Maryanie... także się nie spisał.

— Ja? czém? jakto? spytał Dołęga.

— Byłeś z nimi jak najlepiej... nic alboś nie wiedział, lub — przemilczałeś...

Pogroził mu na nosie.

— Proszę cię, Paprzysiu mój, odezwał się Maryan — co mnie do tego! Wy bystrzejsi jesteście

odemnie, a nie widzieliście nic, jak ja miałem co zobaczyć!

— Myśmy wszyscy wiuni...

Lubicz idący ulicą zbliżył się. Po katastrofie, która go spotkała był już wywczasowany, lecz smutny jeszcze i pełen goryczy. Z pewną dumą patrzył na ten świat, wśród którego doświadczył tylu niesprawiedliwości.

Postąpił ku rozmawiającym z miną pedagoga.

— Mówicie o wypadkach — zagadnął — ale inaczej być nie mogło. My... z naszym sentymentalizmem przegramy zawsze, dla nich wszelkie środki dobre... Czulem w wypadku, który mnie spotkał, rękę tych ludzi... zaczęli odemnie... a potem na całej linii wygrali, zniósłszy placówkę... O! Hermanek! to chłopaczek! Ja wam ręczę, że on wszystko prowadził! Nie mamy organizacyi jak należy, zaniedbujemy się — rozprzęga się karność... idziemy na dno! to oczywista...

Dolega się rozśmiał.

— *Farceur!* zawołał — dla tego, że cię ocalono od stariej baby, że jedna młoda panna idzie za uboższego chłopaka, że stary wdowiec żeni się z podsza-rzaną wdówką, świat ma się obalić! *Allons donc.*

— To są przecież znaki — przerwał Lubicz... nie umieliśmy nawet w tak małych rzeczach zwyciężyć — cóż dopiero w innych! Połowa tych co z nami są na dwóch stołkach siedzi, gorliwości żadnej, odrętwiałość...

— Prawcież wy sobie treny—przerwał Dołęga,—
ja muszę iść za interesami...

Powlókł się pomału, śmiejąc tak, że w wąsach nie
widać było uśmiechu.

Nie jeden Lubicz i Paprzyca — lecz cały obóz lamentował dnia tego i następnych. Próbowano wysyłać świeckie i duchowne osoby do starościnęj, ale zacna staruszka choć wylękniona brała stronę Hanny, broniła trochę swojego zięcia nawet, utrzymując, że to obłąkanych właśnie nawróci... że Sylwana żona uczyni najgorliwszym konserwatystą... i że, Pan Bóg da, wszystko się to jak najpomyślniej ułoży... O zerwaniu z pomocą starościny ani myśleć nie było można. Uznano ją za zbyt słabą...

Herman po dokonaniu tych wielkich czynów, znikł jakoś z horyzontu... Dokąd wyjechał, niewiedziano; pewnoś była jednak, że wyjazd jego zszedł się dziwnie z zamknięciem teatru i przeniesieniem go do jednego z prowincjonalnych miasteczek. Sylwanowi oznajmił, że dla interesów matki musi się udać w Krakowskie...

Dwa śluby, Sylwana z Hanną i Olesia z wdową, odbyły się bardzo cicho i prywatnie... Obie pary wyruszyły podług terażniejszego obyczaju na boży świat... aby swe szczęście ukryć przed szpiegującemi ludzi oczyma... Starościna udała się na wieś, hrabina zupełnie zamknęła dom, do którego teraz nikt prawie oprócz duchownych nie uczęszczał.

Hermana przez cztery miesiące nie było, pisywał

co tydzień do matki, prawie równie często odbierał o niej wiadomości przez pannę Złocińską... naostatek zjawił się napowrot... Wielka była radość w domu... hrabina nie chciała go na chwilę puścić od siebie, lecz ku wieczorowi zaszło coś takiego, że Złocińska musiała przybiedz z kroplami... z wodą... a syn na klęczkach w ręce całując uspakajał. Snadź o czémś się dowiedzieć musiała, ale nawet pannie Złocińskiej pozostało to tajemnicą... a pan Herman zamilczał... Kilkanaście dni upłynęło nim przyszła powoli do siebie i dawny spokój ducha odzyskała. Smutna była wszakże ciągle... Złocińska doskonale umiejąca z niej dobywać najskrytszych serca tajemnic, tym razem, mimo największych zachodów — o co szło, ani się dowiedzieć, ani domyślić nie mogła.

Głuche tylko zaczęły chodzić wieści po świecie, że hrabia Herman Ramułt się żeni.

Nie wiedziano z kim, a dorożumiewano się, że nie tam osobliwego być nie może, kiedy tę rzecz kryją.

W istocie Herman się ekwipował, a co dziwniejsza, robił wyprawę dla żony. Można miarkować, jakie ztąd wnioski ciągniono. „Gdzieś takie to musi być ubogie, że koszuli nie ma na grzbiecie, bo słyszę szyją dla niej bieliznę.“

Ruszano ramionami... Lubicz poniekąd uważał to za palec boży nad familią, która go na łono swoje przyjąć nie chciała.

Jedni powiadali, że zaślubia córkę ekonoma, drudzy, że chłopkę, inni nawet szli tak daleko, iż szep-

tali o żydóweczce z Rzeszowa. Zkąd ją wzięli? panu Bogu tylko wiadomo.

Gdy się kto Hermana gwałtownie spytał:

— A co żenisz się hrabio?

— Żenię się, odpowiadał.

— A z kim?

— To wam wszystko jedno — ja żenię się dla siebie.

Dołęgi nie było naówczas w mieście, nadjechał właśnie gdy o tém najwięcej mówiono, gubiąc się w domysłać... Poszedł tedy do Hermana.

Z przedpokoju zwiastował się już śmiechem...

— Jak się masz! drogi Hermanku, jak się masz! Kope lat! Cóż mi się z tobą dzieje? całe miasto plecie, że się żenisz, jedni mówią, że z księżniczką. drudzy, że z żydówką...

— A tobie jak się zdaje?

— He? mnie się zdaje, że ty tego głupstwa tak prędko nie zrobisz. rzucając się w fotel zawołał Dołęga — po co ci to... żebyś potem gdy ci się żona postarzeje, sam zostawszy młodym, bałamucić się musiał.

— No — wiesz co, że może ja to wolę, niż żebym spóźniwszy się z ożenieniem, stary, zmusił młodą żonę, żeby się ona bałamucila... rozśmiał się Herman...

— Ale... słowo! przyznaj się! żenisz się?

— Żenię.

— Z kim?

— Z bardzo ładną osobą...

— Bogato?

— Ma—o ile wiem, sześć grubych koszul i cztery kaftaniki... trzewików nie liczyłem. sądzę jednak, że kapitał ten dwóch par nie przechodzi...

— Ale z kimże u dyabła?

— Miejcie trochę cierpliwości — zobaczycie...

Dołęga zaczął się śmiać...

— Otóż widzisz, kochanie Hermanku, ja cię nie zdradzę, ale ja wiem z kim się żenisz...

— Naprzykład...?

Dołęga obie ręce przyłożył do ust, nachylił mu się do ucha i szepnął słowo, któremu ogromny wybuch śmiechu towarzyszył.

— A co? nie prawda?

— Tak jest...

Herman spuścił głowę zafrasowany...

— Niedługo to będzie tajemnicą, rzekł; jadę po nią i przywożę ją tutaj.

Dołęga dal uroczyste słowo, że tajemnicy nie wyjawia... Herman wyekwipowawszy się wyjechał, i w parę dopiero tygodni jednego rana dowiedziano się, że z żoną przybył.

Dom hrabiny od tak dawna był zamknięty, iż gdy rozesłała zaproszenia na wieczór taneczny, zdumienie było powszechne... Wiedziano już, że państwo młodzi przyjechali, lecz do śmieszności zamknięci byli i nikt ich nie widział, a słudzy nie umieli nic powie-

dzieć o młodej swój pani, prócz tego, że była bardzo piękna...

Można sobie wystawić, jak biegał lud boży gnany ciekawością, plotąc niestworzone androny o młodej hrabinie... Najbardziej upowszechnione było mniemanie, iż to była żydówka z Rzeszowa...

Stara hrabina występowała tego dnia ze wspaniałością monarchiczną... Dom począwszy od ulicy uilluminowano, wschody ubrano w kwiaty zwierzciadła i dywany, salony jaśniały rześisto światłem... Służba ugalonowana, szeregi ustawiona, kamerdynerów kilku, mistrz ceremonii, szwajcar... było wszystko czego tylko tradycja wielkiego domu lub próżność dorobkiewicza wymagać może...

Salony napełniły się gośćmi, których hrabina przyjmowała sama, cała w brylantach, koronkach, ze swym krzyżem gwiazdzistym i piękną koroną hrabiowską na głowie... Wyglądała majestatycznie...

Było już około dziewiątej, gdy naostatek drzwi bocznych pokoiów otworzyły się i wszedł Herman prowadząc pod rękę... Violę, w białej muślinowej sukience... z niebieskimi wstążkami, ubraną z gorszą prostotą i zaniedbaniem.

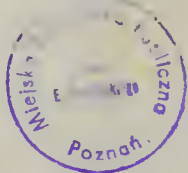
Zdziwienie, osłupienie, popłoch stał się nadzwyczajny... Mimo to zdrowa doktryna: *Le pavillon couvre la marchandise*, żona idzie za mężem,—przemogła... Córka ubogiego aktora uznana została za hrabinę Ramułtową... Osobliwsza rzecz!...

Co się najwięcej przyczyniło do przyjęcia jój w to-

warzystwie — to, że się wyuczyła ślicznie po francuzku i szczebiotała w tym języku z taką łatwością, jakby jój był poufały od dzieciństwa. Panie znajdowały ją zachwycającą, cóż mówić o mężczyznach!! Przynosiła z sobą szczerość i prostotę, naiwność jakąś dziecięcą, którą daje wychowanie wśród ludu i piastunka nędza... Nic w niej nie przypominało artystki, lecz wiele ubogie dziecko ludu... któremu szczęśliwa gwiazda świeciła jasnym promieniem nad kolebką... i blasku swego trochę zostawiła na bladym czole.

Jedna tylko prezesówna Iza, która miała jakieś nadzieje, że Hermana serce pozyskać potrafi, utrzymywała, że Viola miała *des manieres bien communes*. Dołęga zaś znający świat, szeptał w wielkiej tajemnicy wszystkim, iż to było dziecko krwi książęcej... Inaczéj jakżeby mogła tak swobodnie obracać się w tym świecie do którego jój pan Bóg nie stworzył?

K O N I E C .



Biblioteka Raczyńskich

JIK 508



JIK0508